

HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 46/2025



• Joanna Krupińska-Trzebiatowska	3
Słowo od Redakcji	
• Walne Zgromadzenie Członków Stowarzyszenia Twórczego POLART	4
• Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska	5
II Creative Woman Festival POLART 2025. Koncert Piano Duo	
• Wystawa malarstwa Janusza Trzebiatowskiego	7
• Krzysztof Sperski	9
50-lat czwartkowych wieczorów muzycznych	
• Wacław Krupiński	12
Motion Trio czyli akordeon bez granic	
• Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska, Sebastian Pstrokoński-Komar, Gesine Schröder	15
Tradycje śląskiej kultury muzycznej	
• Małgorzata Karolina Piekarska	19
Erotyczna zmysłowość w rzeźbach Gian Lorenzo Berniniego	
• Jacek Romański	23
„À mon seul désir” - o pewnej damie, jednorozcu i filozofii Michela Serresa	
• Halina Poświatowska	28
Wiersze	
• Marek Sołtysik	29
Noce mojej matki	
• Bolesław Faron	33
Wysowa we mgle	
• Ma Yongbo	38
Wiersze	
• Małgorzata Felicka	39
Poszukiwanie skarbu	
• Barbara Korta-Wyrzycka	41
Analogowa	
• Krystyna Habrat	45
Wytwórnia czułych plastrów na duszę	
• Jadwiga Nowak	48
Wiersze	
• Joanna Krupińska-Trzebiatowska	49
Dlaczego zginęła Miriam Weiss	
• Edward Kurleto	57
Mroczna muza. Samobójstwa w literackim panteonie	
• Rafał Wojacek	61
Wiersze	
• Jakub Ciećkiewicz	62
" Tutejsi" Barbary Korta -Wyrzyckiej	
• Bolesław Faron	63
40-lecie Teatru Witkacego w Zakopanem	



- **Wojciech Antoni Sobczyński w Morley Gallery w Londynie.** 67
Z artystą rozmawia Melisa Baksh
- **Andrzej Pytlak** 70
Wiersze
- **Adam Miks** 71
"Simulacrum" Andrzeja Pytlaka
- **Wacław Krupiński** 72
"Kulturałki". Moje lustro
- **Łukasz Maciejewski** 73
Jeszcze się spotkaliśmy
- **Wacław Krupiński** 75
Mój jest ten kawałek "Dziennika"
- **"Abakanowicz bez reguł". Rzeźby w Ogrodach Królewskich na Wawelu** 77



CREATIVE WOMAN FESTIVAL POLART

ANNA PRABUCKA-FIRLEJ i MIROŚŁAWA SUMLIŃSKA
KONCERT PIANO DUO
ZAMEK KRÓLEWSKI W NIEPOŁOMICACH
6.04.2025

WYSTAWA MALARSTWA
JANUSZ TRZEBIATOWSKI "KOBIETA NA FALI"
MUZEUM NIEPOŁOMICZKIE
6.04.- 30.06.2025

KONCERT SYMFONICZNY
AKADEMISCHES ORCHESTER BONN
IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA- FORTEPIAN
ANDREAS WINNEN - DYRYGENT
ZAMEK KRÓLEWSKI W NIEPOŁOMICACH
13.10.2025 G.18.00
FILHARMONIA IM .KAROLA SZYMANOWSKIEGO KRAKOWIE
14.10.2025 G.18.00

WYSTAWA JUBILEUSZOWA XXXV-LECIA POLARTU
MUZEUM NIEPOŁOMICZKIE
26.10.- 30.12.2025

SŁOWO OD REDAKCJI



Szanowni Państwo,

założone wiosną 1990 roku Stowarzyszenie Twórcze POLART, którego misją było i jest popieranie sztuki najnowszej, na przestrzeni trzydziestu pięciu lat swojego istnienia wielokrotnie ewoluowało. Początkowo skoncentrowane głównie na sztukach wizualnych, w miarę jak przybywało mu członków, a w tym artystów innych branż, poszerzało spektrum zainteresowań, eksplorując coraz to nowe pola do działania, by osiągnąć pewien balans w zakresie korespondencji sztuk, szczególnie dobrze widocznej podczas organizowanych festiwali. Dwunastu edycji międzynarodowego festiwalu *Związki pomiędzy kulturą Południa i Północy Schubert-Chopin-Grieg- wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze* oraz pierwszej edycji również międzynarodowego festiwalu *Kreatywne kobiety*, który wystartował w roku ubiegłym. Poszerzał się też zasięg oddziaływania stowarzyszenia i wykraczająca poza granice naszego kraju współpraca międzynarodowa z organizacjami podobnymi do naszej, głównie w Niemczech i Austrii.

Wszystkie podejmowane działania były dokumentowane w ukazującym się nieprzerwanie od 1999 roku Piśmie Artystyczno-Literackim Hybryda, którego 46 numer publikujemy właśnie w wersji papierowej i elektronicznej.

I tym razem, znajduje się w nim relacja z drugiej edycji międzynarodowego festiwalu Kreatywne Kobiety zainaugurowanego w niedzielę 6 kwietnia 2025 w Zamku Królewskim w Niepołomicach koncertem Piano Duo Anny Prabuckiej-Firlej i Mirosławy Sumlińskiej. Tam też zorganizowano wystawę malarstwa Janusza Trzebiatowskiego *Kobieta na fali*, zorientowanej na pokazanie roli, jaką kobieta pełni w sztuce. Wystawa artysty, który wszak kobietą nie jest, i kreuje co najwyżej jej wyobrażenie, stanowi swoistego rodzaju *pendant* do wystawy zorganizowanej w roku ubiegłym z udziałem siedmiu artystek w Muzeum Niepodległości w Warszawie

W 46 numerze zamieszczamy też relację z Walnego Zgromadzenia Członków Stowarzyszenia Twórczego POLART, które przed koncertem obradowało w Muzeum Niepołomickim i dokonało wyboru nowych władz, a także szereg interesujących artykułów, a w tym wywiadów, recenzji, opowiadań i fragmentów nowo powstających książek.

Zapraszam do lektury!

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

SPRAWOZDAWCZO-WYBORCZE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW STOWARZYSZENIA TWÓRCZEGO POLART



Od lewej: prof. Bolesław Faron, Janusz Trzebiatowski, prof. Andrzej Ziębliński



Od lewej: mec. Janina Zielonka, Janusz Trzebiatowski, prezes Joanna Krupińska-Trzebiatowska



Od lewej: J. Krupińska-Trzebiatowska, prof. K. Sperski, prof. A. Prabucka-Firlej, dr M. Sumlińska

Walne sprawozdawczo-wyborcze Zgromadzenie Członków Stowarzyszenia Twórczego POLART, obradujące w dniu 6 kwietnia 2025 roku pod przewodnictwem mecenasa Janusza Panka, w Muzeum Niepołomickim, po wysłuchaniu sprawozdań (prezesa z ubiegłorocznej działalności merytorycznej oraz finansowego skarbnika) zatwierdzając bilans, udzieliło ustępującemu Zarządowi absolutorium, a następnie dokonało wyboru nowych władz. Na czele Zarządu stanęła po raz czwarty z rzędu jako prezes Joanna Krupińska-Trzebiatowska. Funkcje wiceprezesów Zarządu objęli: Marta Patena oraz profesorowie Andrzej Ziębliński i Stefan Dousa. Stanowisko skarbnika zachował Franciszek Gałuszka, a sekretarza Zarządu Janusz Panek. W skład Zarządu weszły ponadto dwie panie dr Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska i prof. Ewa Okoń-Horodyńska oraz dwaj panowie mec. Józef Mędrala i prof. Jerzy Nowakowski, pełniący w poprzedniej kadencji funkcję wiceprezesa.

Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani: Bronisław Krzysztof, dr Jacek Romański i mec. Janina Zielonka.

Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia Twórczego POLART przyjęło w poczet członków:

prof. Annę Prabucką-Firlej

Włodzimierza Wowę Brodeckiego

prof. Elżbietę Mańczak

prof. Mieczysława Pasowicza

dr Bogusławę Rajpold

dr Teresę Róg

Biesiadując przy lampce wina, dyskutowano nad dalszym losem Stowarzyszenia i organizacją uroczystych obchodów XXXV-lecia zaplanowanych na dzień 14 października 2025 r. w Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie.

(RED)

II CREATIVE WOMAN FESTIVAL POLART 2025

KONCERT PIANO DUO W ZAMKU KRÓLEWSKIM W NIEPOŁOMICACH



prof. Krzysztof Sperski

Koncert inauguracyjny II Międzynarodowy Festiwal Kreatywne Kobiety POLART 2025 Piano Duo na cztery ręce, w wykonaniu prof. Anny Prabućkiej-Firlej i dr Mirosławy Sumlińskiej, dwóch wspaniałych pianistek z Akademii Muzycznej w Gdańsku, poprowadził w niedzielę 6 kwietnia 2025 roku w Zamku Królewskim w Niepołomicach niegdysiejszy rektor tej uczelni profesor Krzysztof Sperski.

W programie koncertu, wpisującego się w drugą edycję międzynarodowego festiwalu "Kreatywne kobiety", a zorientowanego na promowanie sztuki kobiet oraz przywracanie pamięci tych artystek, które zostały prawie zupełnie zapomniane, znalazły się również *Trzy utwory Allegro-Allegro Molto-Allegretto Grazioso* napisane przez kobietę kompozytorkę, Fanny Hensel-Mendelssohn, i specjalnie przygotowane z okazji festiwalu przez pianistki. Profesor Krzysztof Sperski, snując swoją barwną opowieść, podkreślił, że Fanny Hensel-Mendelssohn skomponowała w swoim życiu ponad pięćset utworów, a pomimo to, nie tylko zawsze pozostawała w cieniu swojego brata Feliksa Mendelssohna, a nierzadko też publikowała swoje utwory pod jego nazwiskiem, bo takie były czasy. Stawiały one restrykcyjne ograniczenia nie tylko przed Fanny Hensel-Mendelssohn, ale również wieloma innymi kompozytorkami, jak na przykład Clara Schumann, Emilie Mayer, czy Amily Beach, których utwory zostały zaprezentowane w poprzedniej edycji festiwalu "Kreatywne kobiety".



Od prawej: prof. Anna Prabućka-Firlej i dr Mirosława Sumlińska

Anna Prabućka-Firlej i Mirosława Sumlińska grając na cztery ręce, wydo były z *Trzech utworów* Fanny Hensel-Mendelssohn ich w pełni nostalgiczne przesłanie, a można by powiedzieć, że przywołały ducha kompozytorki.

W dalszej części koncertu słuchacze, licznie zgromadzeni w pięknej sali renesansowego zamku, usłyszeli zagrana wyjątkowo czarującym dźwiękiem pierwszą *Allegro* i drugą *Andante* część *Sonaty G-dur* (KV357), stworzoną przez cudowne dziecko tamtych czasów Wolfganga Amadeusza Mozarta.

Wszystkich jednak zachwyciło brawurowe wykonanie *Tria fortepianowego „Dumky” op.90* Antoniego Dwořáka/*Lento maestoso - Allegro quasi doppio movimento, Poco adagio - Vivace non troppo- Vivace, Andante - Vivace non troppo - Allegretto, Andante moderato- Allegretto scherzando - Quasi tempo di marcia, Allegro, Lento maestoso/* w transkrypcji samego kompozytora na cztery ręce, w którym pianistki zabrzmiały niemal tak, jakby grała cała orkiestra.



prof. Anna Prabucka-Firlej i dr Mirosława Sumlińska (z prawej).



prof. Anna Prabucka-Firlej i dr Mirosława Sumlińska (z lewej) i Janusz Trzebiatowski

Koncert zakończył się owacją na stojąco i wspaniałym bisem, w trakcie którego artystki wykonały niezwykle utwór, jedną z części cyklu "Z obcych stron" - "Italia" Maurycyego Moszkowskiego. Gratulacjom nie było końca.

Warto podkreślić, że prof. Anna Prabucka-Firlej postawiła w swojej karierze zawodowej na niezbyt jeszcze spopularyzowaną, i wciąż niezbyt często pojawiającą na estradach koncertowych formę kameralistyki, powołując do życia między innymi festiwal Duetów Fortepianowych w Gdańsku, przyciągający obecnie muzyków z całego świata. Sama też była zapraszana do najdalszych jego zakątków, jak choćby Peru, Chile, czy Tajlandia. Brała udział w wielu międzynarodowych festiwalach, jak choćby bułgarskie "Warneńskie lato", "Music for visitors" w Helsinkach, czy "Fadjr international music festival" w Teheranie. Wychowała w trakcie swojej działalności pedagogicznej wielu wspaniałych muzyków, do których należy Mirosława Sumlińska, laureatka między innymi Grand Prix w kategorii zespołów kameralnych IX Międzynarodowego Konkursu- Festiwalu "Muzyka bez granic" w Druskiennikach na Litwie i drugiej nagrody Międzynarodowego konkursu Pianistycznego "Bradshaw & Buono" w Nowym Jorku; pracująca obecnie w katedrze kameralistyki.

Dla niepołomickiej publiczności koncert Piano Duo był z całą pewnością pewnym zaskoczeniem, żeby nie powiedzieć, że absolutnym *novum*.

IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA

II MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL KREATYWNE KOBIETY POLART WYSTAWA MALARSTWA JANUSZA TRZEBIATOWSKIEGO "KOBIETA NA FALI" W MUZEUM NIEPOŁOMICKIM



Od lewej: Janusz Trzebiatowski, dyrektor Muzeum Niepołomickiego Aleksandra Kopacka, prezes ST POLART Joanna Krupińska-Trzebiatowska

1 IV – 30 VI 2025

Wystawa malarstwa Janusza Trzebiatowskiego "Kobieta na fali" – zaprezentowana 6 kwietnia w Muzeum Niepołomickim – składa się z dwóch niezależnych, a nawet antagonistycznych ze sobą części. Jednej dedykowanej kobiecie, bo te kilkanaście interesujących aktów koresponduje z ideą przewodnią Festiwalu "Kreatywne kobiety" i drugiej, złożonej z najnowszych prac artysty z cyklu "Rzeka", całkowicie wyabstrahowanych od spotykanych w naturze rzek. Abstrakcyjne a nawet geometryzujące, a przy tym wykraczające poza pierwotne koryta, rzeki i rozlewiska zmierzają w stronę pewnej syntezy i stanowią próbę odnajdywania tego, co właściwe wodzie w najszerszym tego słowa ujęciu. Płałońskiej idei. Ta dwubiegunowość tematu i formy zaskakuje odbiorcę, a nawet wprawia w pewne zadziwienie, bo przechodząc z sali do sali odkrywa dwa całkowicie różne sposoby obrazowania świata. Największe zainteresowanie i najwięcej kontrowersji wzbudził obraz "Zesłanie Ducha Świętego", nie przypadkiem umieszczony przez kuratorkę wystawy na plakacie.

JKT



Janusz Trzebiatowski, Aleksandra Kopacka - dyrektor Muzeum Niepołomickiego



KRZYSZTOF SPERSKI

50 LAT CZWARTKOWYCH WIECZORÓW MUZYCZNYCH



Pięćdziesiąt lat to pokaźny przedział czasu w życiu człowieka. Z dumą odnieść się mogę do szerokiej mojej działalności, na którą składają się aktywność pedagogiczna, koncertowa, prace redaktorskie, udział w gremiach jury i komisjach, czy prowadzone kursy muzyczne. Jednym z liczących się dokonań jest także cykl prowadzonych przeze mnie „Czwartkowych Wieczorów Muzycznych”. Znalazienie się w roli organizatora koncertów, przy wsparciu ówczesnego Kierownika Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu miasta Sopotu – kolegi wiolonczelisty – Zdzisława Miodowskiego oraz Towarzystwa Przyjaciół Sopotu, postawiło przede mną szereg obowiązków ale i wątpliwości. Będąc zaledwie asystentem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Gdańsku, zapraszałem uznanych artystów, często dużo starszych od siebie, oferując im bardzo skromne honoraria. Chętnych jednak, jak się szybko okazało, nie brakowało. Moje przywiązanie do koncertów pogłębiło się, od kiedy znalazły one stałą siedzibę w Dworcu Sierakowskich. W 1945 roku rodzice na krótko zamieszkali po drugiej jego stronie, przy ulicy Czyżewskiego 13. Miałem wówczas zaledwie 3 lata, ale najdawniejsze moje zmaterializowane wspomnienia wiążą się właśnie z tą ulicą i pięknym dworkiem naprzeciwko drewnianego balkonu na drugim piętrze naszego mieszkania.

Jak to się zaczęło

Pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, w klasie docenta Romana Suheckiego w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Sopocie rozpoczęło studia dwóch młodych wiolonczelistów: Zdzisław Miodowski i ja – Krzysztof Sperski. Klasa nasza stanowiła aktywną artystyczną rodzinę, którą nasz mistrz od pierwszych dni przysposabiał do publicznych występów. Charakterystyczną cechą klasy wiolonczeli były dość regularne koncerty o starannie przygotowanych programach jak na przykład: Sonaty barokowe, *Suity* Jana Sebastiana Bacha, Sonaty Beethovena czy sonaty kompozytorów XX wieku. Wtedy, jako studenci, graliśmy dość dużo. Koncerty organizowane były w Domach Kultury ościennych miast powiatowych (Wejherowo, Kartuzy, Kościerzyna, Tczew) a także w klubach Międzynarodowej Prasy i Książki (Gdańsk, Sopot, Gdynia). Szczególnym wyróżnieniem był występ w sali Grand Hotelu w Sopocie, gdzie niekiedy udostępniano taką możliwość naszej uczelni.

Jakże fascynujące były koncerty studenckiego kwartetu wiolonczel (Zdzisław Miodowski, Jadwiga Raatz, Andrzej Bartoszewicz, Krzysztof Sperski), a nieco później niezwykłego tworu, jakim był Gdański Zespół Wiolonczel. Profesor budował w nas potrzebę metafizycznych przeżyć, które dawały żywy kontakt na styku słuchacze – wykonawcy. Jak mawiał profesor: „Kto raz zasmakuje tych niezwykłych emocji, trudno go będzie ściągnąć z estrady”.

Jakże inne to były czasy. Między nami nie czuło się rywalizacji, byliśmy szczęśliwi, gdy można było gdzieś grać. Dziś w dobie licznych konkursów najważniejszym dla młodych muzyków stało się kolekcjonowanie dyplomów, nagród i wyróżnień. Głównie temu podporządkowane są działania studentów, uczniów ale niestety też ich pedagogów

Wróćmy jednak do historii. Jeszcze w czasie studiów Zdzisław i ja dostaliśmy się do orkiestry Państwowej Opery i Filharmonii Bałtyckiej. Z jednej strony to duże wyróżnienie, wręcz awans i szczęście być jednym z wielu drobnych elementów tworzących „wielką sztukę”, z drugiej zaś ilość czasu potrzebna na próby, koncerty, spektakle ograniczała szanse własnego indywidualnego rozwoju.

W 1972 roku w naszych losach nastąpiła radykalna zmiana. Zdzisław został kierownikiem Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Sopocie, a mnie Profesor zaproponował asystenturę w swojej klasie.

Sopot bezpośrednio po zakończeniu wojny był głównym ośrodkiem, gdzie odradzała się wybrzeżowa kultura. Tu w 1945 roku Zbigniew Turski zorganizował Orkiestrę Symfoniczną, tu zaistniał Teatr Dramatyczny (później jako Teatr Wybrzeże Iwo Galla), tu wokół Biura Wystaw Artystycznych prężnie działało środowisko plastyków. Stopniowo jednak instytucje kulturalne przenosiły się do Gdańska. Najbardziej dotkliwie odczuła to muzyka, mimo, że do roku 1967 działała tu Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna. Życie koncertowe w Sopocie w zasadzie zamarło. Ożywiało się nieco jedynie latem w Operze Leśnej. Dlatego właśnie nowy kierownik sopockiego Wydziału Kultury postawił sobie cel, by w ofercie dla mieszkańców było więcej muzyki i to nie tylko latem, ale na przestrzeni całego roku. Szczególnie zależało mu na tym, by były to stałe, cykliczne, regularnie powtarzające się

impresy. I tak zrodził się pomysł „Sopockich Wieczorów Muzycznych”. Zastanawialiśmy się, jaki dzień tygodnia byłby dobry na cykliczne spotkania z muzyką. Konkurencję stanowiły tu przede wszystkim programy telewizyjne. Tak więc poniedziałek nie, bo Teatr Telewizji, może wtorek, ale to jeszcze początek tygodnia, środa też nie, bo mecze piłki nożnej, czwartki teatr kryminalny „Kobra”, piątek i sobota koncerty filharmoniczne. Ostatecznie doszliśmy do wniosku że skoro „Kobra” zaczyna się o 20:20, to gdyby koncert zacząć o 18:00, słuchacze zdążą wrócić do domu. I tak pozostało.

Pedagodzy i najzdolniejsi studenci Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej mieliby stanowić tu podstawową bazę artystów wykonawców, a na miejsce koncertów upatrzyliśmy sobie wdzięczną salę w kompleksie Biura Wystaw Artystycznych zwaną „Okraślakiem”. Był tam stary, gabinetowy fortepian firmy „Bechstein”, a ówczesny dyrektor BWA Romuald Bukowski – mądry, bardzo kulturalny człowiek, mający dużo serca do muzyki, przyjął naszą propozycję z otwartymi ramionami.

Jednak za czwartkami przemawiały jeszcze dwie ważne tradycje. Jedna bardzo polska, druga bardzo sopocka.

W początkach panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego od 1771 roku na Zamku Królewskim regularnie co tydzień organizowano Obiady Czwartkowe. Trwały one od 3 do 4 godzin, a celem spotkań były rozmowy na tematy związane ze sztuką, nauką, literaturą. Spotykali się na nich artyści: malarze, rzeźbiarze, poeci, muzycy, literaci itp. Obiady czwartkowe pełniły funkcję niemal instytucji, której działalność znacząco wpłynęła na rozwój literatury i sztuki tego okresu.

W Sopocie bezpośrednio po zakończeniu wojny w mieszkaniu Feliksa Smosarskiego (z wykształcenia artysty malarza), przy ul. Obrońców Wybrzeża 17 na I piętrze zaistniały „Czwartki Literackie”. Uczestniczyli w nich przedstawiciele wszystkich dziedzin sztuki. Obok pisarzy i poetów, bywali na nich malarze, rzeźbiarze, ludzie teatru, a każde spotkanie kończyło się muzyką. Czwartki literackie u Feliksa Smosarskiego stały się ważną platformą wymiany myśli i mobilizacji dla wszystkich ludzi sztuki. Po latach wspominali je m.in.: prof. Kazimierz Śramkiewicz, prof. Władysław Walentynowicz, Malwina Szczepkowska, prof. Roman Heising. Niestety, po jakimś czasie tradycję literackich czwartków przejął Klub Literacki Związku Zawodowego Literatów Polskich

Również w latach powojennych jeszcze do połowy lat 60. XX wieku, dość regularnie w jednej z sal sopockiego Grand Hotelu odbywały się recitale i koncerty kameralne organizowane przez Centralne Biuro Koncertowe w Warszawie, którego oddział w Sopocie prowadziła Halina Ocioszyńska. Z początku każdy artysta występował na własne ryzyko. Z wpływów za bilety pokrywał koszty reklamy, sali, procent dla biura koncertowego i podatek miejski – resztę miał dla siebie.

Wśród wykonawców znajdujemy nazwiska najwybitniejszych postaci tamtych czasów, jak m.in.: Zbigniew Drzewiecki, Jan Ekier, Jan Gorbaty, Władysław Kędra, Tatiana Nikołajewa, Stanisław Szpinalski Zbigniew Szymonowicz, Bolesław Woytowicz, (pianiści), Irena Dubiska, Igor Bezrodny, Stefan Herman, Franciszek Jamry, Henryk Palulis, Wanda Wiłkomirska,

Tadeusz Wroński (skrzypkowie), Beata Artemska, Franciszek Bedlewicz, Kazimierz Czekotowski, Janina Cygańska, Maria Fołtyn, Maurycy Janowski, Ewa Bandrowska-Turska (śpiewacy), a także inni instrumentalisci i zespoły kameralne. Ta forma koncertów cieszyła się dużym powodzeniem, ale z nieznanych przyczyn pod koniec lat 60. przestała istnieć.

Nasze „Czwartkowe Wieczory Muzyczne” jeszcze w formie próbnej (8 recitali), udało się przeprowadzić latem 1974 roku. Chętnych do grania nie brakowało. Bez trudu udało się ułożyć zestaw wykonawców do końca wakacji. Koncerty pod hasłem „Przedstawiamy młodych muzyków Wybrzeża” rozpoczęły się 11 lipca 1974 roku, wystąpili: Joanna Słojewska – skrzypce i Piotr Kusiewicz – fortepian. Dwa dni później w „Dzienniku Bałtyckim ukazał się następujący tekst Romana Heisinga: „Piękna rotundowa sala w BWA przy molu w Sopocie, zaczyna tętnić artystycznym życiem. Jest niejako dopełnieniem kilku sal wystawowych, gdzie staraniem władz miejskich zainaugurowano koncerty kameralne nie tylko jako integralny akcent otwierania wystaw i dowód współpracy z BWA, ale także koncerty te weszły z stałą kalendarz muzycznych imprez w Sopocie. Należy więc wyrazić uznanie władzom miejskim za ten fragment kulturalnego planu, zabezpieczony od strony finansowej i pogratulować kierownikowi miejskiego Wydziału Kultury i Sztuki, mgr Zdzisławowi Miodowskiemu (wielonczelista, absolwent PWSM) za realizowanie tej inicjatywy na co dzi eń. [...] W koncertach zapewniono udział utalentowanych młodych artystów oraz zespołów PWSM, która przecież narodziła się w Sopocie i przez 10 lat cieszyła się gorącym uznaniem sopockiego społeczeństwa. [...] Mające niebawem powstać Towarzystwo Przyjaciół Sopotu na pewno rozwinię tę pożyteczną akcją koncertową i wzmocni kulturalne życie sopockiego środowiska”.

Zgodnie z przewidywaniami Romana Heisinga 10 grudnia 1974 roku powołano do życia Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, które wzięło na siebie organizacyjne obowiązki uruchomienia tego cyklu w formie stałych cotygodniowych koncertów. Grudzień nie był dobrą porą na rozpoczęcie cyklu, postanowiliśmy więc, by udział wakacyjnych gości w Sopocie dodał rozmachu, splendoru i by przez wakacje wybrzeżowi melomani przyzwyczaili się, że w każdy czwartek w Sopocie słuchamy koncertów kameralnych. Dyrektor Biura Wystaw Artystycznych Romuald Bukowski przekonał nas (Zdzisława Miodowskiego i mnie), że z powodu niezbyt szczelnych okien „Okraślaka” zimą nie uda się ogrzać, zatem oddaje nam na koncerty salę klubową na parterze budynku, w północnym skrzydle pawilonów, by od razu publiczność przyzwyczaiła się do stałego miejsca.

Inauguracja stałego cyklu Czwartkowych Wieczorów Muzycznych przy obecności Władz Miasta i Towarzystwa Przyjaciół Sopotu miała miejsce 29 maja 1975 roku. Wystąpili: Taimi Airola – śpiewaczka z Finlandii oraz Anna Prabucka-Firlej – fortepian i Krzysztof Sperski – wielonczela.

Kolejne „Czwartki” odbywały się z wzorową regularnością i tak w zasadzie nieprzerwanie trwają do dziś. Zdarzały się niestety różne przypadki jak: „stan wojenny”, pandemia Covid 19, czy dni żałoby narodowej, kiedy „odgórnie” zabroniono publicznych zgromadzeń. Podobnie, gdy w czwartek przypadały

Święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok lub Święto Zmarłych, po prostu koncertu nie było. Poza tym jednak regularności można nam pozazdrościć.

Podstawową bazą dla doboru wykonawców było przede wszystkim środowisko Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, po roku 1981 Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku. Najbardziej żywego kontaktu ze słuchaczami – „jak kania dżdżu” potrzebowała utalentowana młodzież. Wśród jeszcze uczących się muzycznej profesji, znajdowała się zawsze dość pokaźna liczba zdolnych, nieźle już przygotowanych młodych instrumentalistów i wokalistów, których żadna profesjonalnie działająca instytucja nie odważyłaby się zatrudnić. By zaistnieć na estradzie młody artysta musiałby mieć jakieś referencje, jakieś spektakularne sukcesy na swoim koncie, a w latach 70. nie było tyłu konkursów co dziś. Rekomendację mógłby dać znany pedagog, ale i tak instytucje muzyczne (filharmonie, teatry operowe, organizatorzy festiwalu) korzystały wyłącznie z największych, którzy mieli już ugruntowaną pozycję. Nasze koncerty otwarte były dla młodych i dawały im szansę na publiczne występy przed żywą publicznością.

Pierwsze lata Czwartkowych Wieczorów Muzycznych sprawdziły się nieźle. Większość tych młodych, nieznanymi jeszcze artystów, wykonywała swoje recitale na tak wysokim poziomie, jakiego nie powstydziliby się renomowane sale koncertowe nie tylko Polski, ale i Europy. Przyznać trzeba również, że mimo bardzo skromnych, wręcz symbolicznych honorariów, chętnie występowali tu również czynnie koncertujący pedagodzy naszej Uczelni. Zaszczycem dla sopockich koncertów, ale także radością dla słuchaczy, już w pierwszych miesiącach cyklu, był udział takich wybrzeżowych mistrzów, jak Krystyna Jastrzębska, Tadeusz Kochoński, Roman Suchecki, Zofia Janukowicz-Pobłocka.

W początkowym okresie obsadę koncertów stanowili nasi miejscowi wykonawcy. Jednak fakt, że odbywały się one regularnie, nie tylko w miesiącach wakacyjnych, fama o Czwartkowych Wieczorach Muzycznych wędrowała w głąb kraju i stopniowo zaczęły proponować swój udział artyści z innych ośrodków muzycznych Polski. Chętnie przyjeżdżali do nas muzycy z Poznania, Wrocławia czy Szczecina, a jeszcze później z całego kraju. Nie było żadnych problemów z wypełnieniem wszystkich kolejnych czwartków, a kiedy zdarzały się szczególnie wartościowe propozycje, trzeba było organizować „dodatkowe czwartki” w niedzielę lub inne dni tygodnia.

Zdarzały się też sporadyczne występy zagranicznych wykonawców. Już w pierwszym koncercie stałego cyklu (29 V 1975 r.), od którego czwartkowe koncerty trwają nieprzerwanie do dziś, wystąpiła mezzosopranistka – śpiewaczka z Finlandii, Taimi Airola. Była ona żoną pastora działającego w Gdańsku kościoła dla skandynawskich marynarzy, a ich dzieci uczyły się w gdańskiej szkole muzycznej. Ich syn Tuomas był moim uczniem w klasie wiolonczeli. Dużo później, po uzupełnieniu studiów w rodzinnym kraju, wracał do Sopotu trzykrotnie, by zaprezentować się sopockiej publiczności. Natomiast matka jego była częstym gościem naszych koncertów, w tym kilka razy wystąpiła z najwybitniejszym fińskim pianistą-kameralistą Penttim Koskimiesem.

Na początku zagranicznymi wykonawcami byli głównie skrzypkowie – młodzi zdolni muzycy, którzy często prywatnie przybywali do Sopotu na lekcje do rosnącego w międzynarodową sławę profesora Stefana Hermana. Po sukcesie Konstantego Andrzeja Kulki na Konkursie ARD w Monachium (1966) nazwisko jego mistrza przyciągało wielu młodych skrzypków, by mogli czerpać wiedzę i doskonalić swoje umiejętności pod kierunkiem profesora Hermana. Jakie były ich dalsze losy nie do końca wiadomo, ale recitale skrzypcowe w początkach naszego cyklu m.in. wykonali: Abigail Rushworth (Wk. Brytania) czy Alfred Pflieger (Austria).

W czasach minionego ustroju możliwości kontaktów zagranicznych były bardzo ograniczone. Pewnym skromnym, ale cennym „okienkiem na świat” była narzucona odgórnie współpraca z uczelniami partnerskimi. Partnerami Gdańskiej PWSM były: Franz Liszt Hochschule für Musik w Weimarze (NRD), Janačkova Akademia Musičkich Umeni z Brna (Czechosłowacja), Akademia Muzyki Tańca i Sztuk Pięknych z Płowdiw (Bułgaria) oraz Państwowe Konserwatorium im. M. Rimskiego-Korsakowa w Leningradzie (ZSRR). Każdą wizytę pedagogów lub studentów zaprzyjaźnionych uczelni wykorzystywaliśmy w ramach Czwartkowych Wieczorów Muzycznych. Zagraniczni wykonawcy bywali też gośćmi kulturalnych instytucji Wybrzeża (Opera Bałtycka, Teatr Muzyczny). Innych polecali nam przedstawiciele Korpusu Konsularnego.

Po ustrojowych przemianach było już dużo łatwiej.

By utrzymać w miarę wysoki poziom wszystkich koncertów, w zasadzie nie korzystaliśmy z wykonawców reprezentujących wcześniejsze etapy muzycznej edukacji, to znaczy z uczniów szkół muzycznych II i I stopnia. Zdarzało się to jedynie w przypadku nadzwyczajnego talentu bardzo młodego muzyka lub też sporadycznie, w ciekawym modelu koncertów typu „mistrz i uczeń”. Natomiast te nieliczne wypadki sprawdziły się w późniejszym rozwoju najmłodszych wykonawców. Sztandarowym przykładem jest pełny recital 12-letniego pianisty Rafała Blechacza, który niezwykle dojrzałe wykonał dwa *preludia i fugi* Jana Sebastiana Bacha, *Sonaty* Scarlattiego i Mozarta, *Mazurki i Nokturn* Chopina oraz *Rondo Capriccioso* Mendelssohna, a osiem lat później zdobył I nagrodę w XV Międzynarodowym Konkursie im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Podobnie dzieckiem jeszcze był skrzypek Hubert Pralicz – uczeń profesora Stefana Hermana, po studiach w Konserwatorium w Paryżu i „Mozarteum” w Salzburgu, dziś robiący karierę w Stanach Zjednoczonych.

Nie sposób, wspominając długą, pięćdziesięcioletnią historię Czwartkowych Wieczorów Muzycznych, nie wymienić kilkunastu czy kilkadziesiątu postaci o ugruntowanej pozycji wśród światowych muzycznych gwiazd, które zaszczyciły nas swoimi występami w sopockim cyklu. Dokonanie wyboru tych najważniejszych, to zadanie bardzo trudne. Wszak nikt nie odważy się oddzielić grubą czy nawet cieniutką kreską, gdzie kończą się ci najwięksi, a odkąd liczyć tych pozostałych.

Krzysztof Sperski, 50 lat Czwartkowych Wieczorów Muzycznych

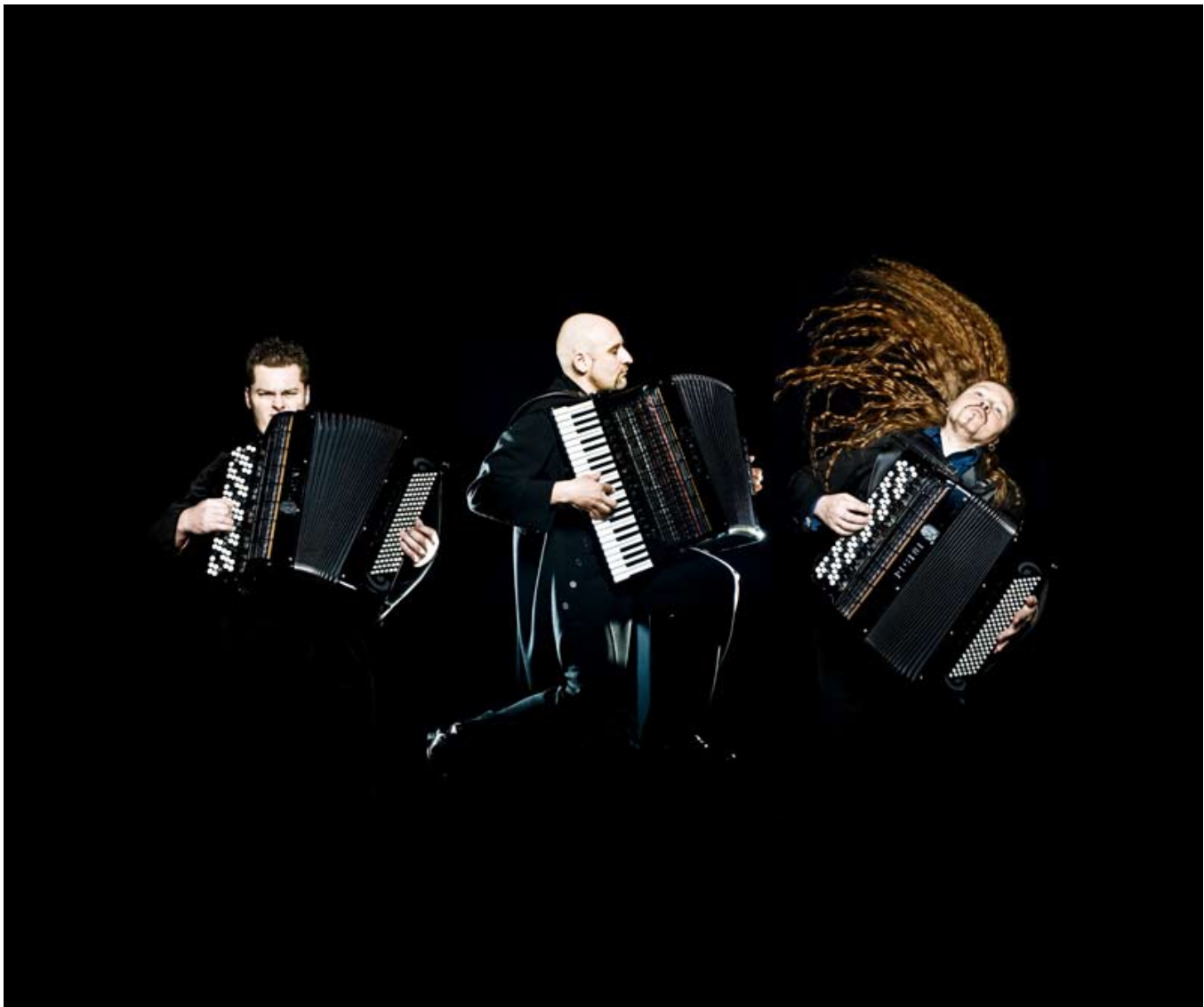


Motion Trio, fot. Jacek Poremba

WACŁAW KRUPIŃSKI

MOTION TRIO CZYLI AKORDEON BEZ GRANIC

Towarzyszę tej formacji niemal od zarania; a to już blisko 30 lat; nie słuchałem jej tylko w prapoczątkach, kiedy jeszcze nie nazywała się Motion Trio. Ale od kiedy są już w składzie Janusz Wojtarowicz – lider, Paweł Baranek i Marcin Gałazyn, od kiedy rozstawiają Kraków w prestiżowych salach – jak nowojorska Carnegie Hall, wiedeński Konzerthaus, czy Tokyo Forum Center, śledzę fenomen tego tria konsekwentnie i z uznaniem. Oto trzech akordeonistów, spotkawszy się w krakowskiej Akademii Muzycznej, postanowiło, iż uczynią z pogardzanego akordeonu – czego przejawem takie nazwy jak zmarszcz, wstyd, kaloryfer czy świnią – instrument na miarę tych najbardziej szlachetnych. I dowiodą jego uniwersalności, tego, że może on być wykorzystany do grania muzyki Chopina i Brahmsa, Kilara i Pendereckiego, że może towarzyszyć gwiazdom jazzu, jak Bobby McFerrin, Tomasz Stańko, Michał Urbaniak, Trilok Gurtu, że może współbrzmieć z głosem gwiazdy Metropolitan Opera Małgorzaty Walewskiej, że wydobędzie piękno kompozycji światowej sławy twórcy muzyki filmowej Michaela Nymana, ale i dopełni nagrania wrocławskiego rapera skrywającego się pod pseudonimem L.U.C.



Motion Trio Fot. Jacek Poremba

I oczywiście odda piękno muzyki tworzonej przez trzech instrumentalistów tria, głównie jego lidera – Janusza Wojtarowicza.

Punktem zwrotnym w karierze krakowskiego tria (acz żaden z jego członków nie pochodzi z tego miasta) było zdobycie w roku 2000 Grand Prix IV Międzynarodowego Konkursu Współczesnej Muzyki Kameralnej im. Krzysztofa Pendereckiego. Osiem lat później już grało w słynnej Carnegie Hall, dając dwugodzinny koncert muzyki Pendereckiego, Góreckiego, Kilara oraz własnej, zakończony dwiema owacjami na stojąco. Takich koncertów w karierze tria można by przywołać wiele, choćby ten w londyńskiej Barbican Center - z bandem Michaela Nymana (efektem współpracy wspólna płyta), czy z Deutsches Film-orchester Babelsberg w Poczdamie, gdzie publiczność biła brawo na stojąco przez 15 minut!

Dziś chlubi się Motion Trio występami w 44 krajach sześciu kontynentów, udziałem w międzynarodowych festiwalach zarówno muzyki klasycznej, jak i world music czy jazzowych. Ich nazwy, jak i nazwiska innych zapraszanych tam gwiazd długo by wymieniać. Wspomnę o jednym - Folle Journé we francuskim Nantes, festiwalu rozsławiającym klasykę. To na nim, zapraszane

wielokrotnie, nagrało Motion Trio wspaniałe, będące efektem rejestracji konkretnego koncertu, płyty live z opracowanymi przez Wojtarowicza kompozycjami Chopina, Brahmsa, Liszta, Szostakowicza, Musorgskiego, Chaczaturiana...

Trzy akordeony - od lat są to instrumenty Pigini Sirius Millennium, uważane za najlepsze na świecie - w rękach wirtuozów potrafiły zrodzić entuzjazm słuchaczy zarówno w wielkich salach koncertowych, jak i w prywatnej posiadłości amerykańskiego multimilionera Arie Zweiga, w wiedeńskim klubie jazzowym Joe Zawinula, czy w Warszawie na urodzinach Andrzeja Wajdy.

I tak Janusz Wojtarowicz, mając znakomitych kompanów – Marcina Gałazyna i Pawła Baranka, dowiódł niezwykłych możliwości brzmieniowych akordeonu, pokazał, że nie jest on gorszy od skrzypiec, klarnetu czy fortepianu. Potwierdzały to i liczne koncerty z wirtuozem ostatniego z wymienionych instrumentów - Leszkiem Możdżerem, dowodziła współpraca z Janem A.P. Kaczmarkiem, z orkiestrą AUKSO, z Jerzym Maksymiukiem. „Zespół Motion Trio tak bardzo mi zaimponował, że, myśląc o tej grupie muzycznej, napisałem dwa utwory: „Arbor



Paweł Baranek, fot. Sebastian Banaś



Marcin Gałązyn, fot. Sebastian Banaś



Janusz Wojtarowicz, fot. Sebastian Banaś

vitae II” dla dużego (symfonicznego) składu orkiestry oraz Motion Trio (40 minut) i utwór na trio akordeonowe pt. „Gdy marzenia płoną” – wyznał wybitny dyrygent.

Ważne dla zespołu było spotkanie z Krzesimirem Dębskim. To on przygotował aranżę kompozycji członków tria wykonywanych z Deutsches Filmorchester Babelsberg. A we wrześniu 2007 roku poprowadził koncert Motion Trio z brazylijską Rio de Janeiro Orquestra na słynnej plaży Copacabana.

- Dzięki Grand Prix w Międzynarodowym Konkursie im. Krzysztofa Pendereckiego ten instrument dostał certyfikat jakości, udowodnił, że trio akordeonowe może być tym samym, co kwartet smyczkowy – mówił mi z dumą i radością po odebraniu tej nagrody lider MT.

Dziś mają na koncie 14 płyt, z których na przykład premierę „PlayStation” odnotował wraz ze zdjęciem zespołu „New York Times”. Dowodziła, jak i kilka innych, w tym „Metropolis” jeszcze jednego talentu tria – do pisania pięknej, urzekającej, to rzewnej, to pulsującej rytmem, muzyki. Wojtarowicz, Gałązyn i Baranek po prostu czarują i zniewalają swą muzyką, jej siłą, magią. Jej, krótko mówiąc, urodą. Wystarczy wpisać na YouTube Motion Trio, by się przekonać; polecam na przykład jego „Little Story”, „Happy Band”, „The Heart”, „Balkan Dance”, „The Rose”, jak też Chopinowskie „Preludium e-moll” Op.28 nr 4 lub graną z AUKSO „Orawę” Kilara. Wspomniana kompozycja „The Rose” to fragment muzyki filmowej Wojtarowicza do „Szczęścia świata” w reż. Michała Rosy, nagrodzonej na 41. Festiwalu Filmowym w Gdyni. A dodam, że w ostatnich latach muzykę filmową zaczął z powodzeniem tworzyć i Marcin Gałązyn.

Dziś zarówno kompozycje członków tria, jak i dokonywane przez Janusza Wojtarowicza transkrypcje klasyki są istotnym elementem literatury muzycznej na trzy akordeony i grane są przez zespoły z różnych stron świata.

Towarzysząc triu przez lata obserwowałem po wielokroć entuzjazm i zachwyt słuchaczy. I tak było również przed ostatnimi świętami wielkanocnymi, gdy trio, w ramach VII Metropolitalnego Festiwalu Chóralnego, zaprezentowało „Stabat Mater” - najnowszą kompozycję swego lidera. Wykonawcami - w kościele bł. Karoliny Kózkówny w Tychach - było MT oraz Chór Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach i sopranistka Aleksandra Raszyńska. Dyrygował Michał Brożek.

Nie wiem, jak oceniają to dzieło muzykologdy, zestawiając kompozycję Wojtarowicza z dokonaniem twórców, którzy mierzyli się z tym tematem na przestrzeni wieków, ale widziałem, z jakim wzruszeniem, z jakimi emocjami odbierała tę śpiewaną po łacinie opowieść o boleści Matki Boskiej po ukrzyżowaniu Chrystusa szczerze wypełniająca kościół publiczność. Czuło się, jak piękno muzyki porusza emocje słuchaczy, rodzi skupienie i łzy. Serdeczne brawa i trzykrotna owacja na stojąco wieńczyły ponad półtoragodzinny koncert. Koncert, w którym wybrzmiały i kompozycje pozostałych członków tria, a zamykała go „Gloria” Wojciecha Kilara, z jego dzieła „Missa pro Pace”. Oczywiście były to brawa i dla Aleksandry Raszyńskiej i dla 70-osobowego znakomitego chóru, mającego na koncie liczne laury i osiągnięcia. Mam nadzieję, że na tej jednorazowej prezentacji „Stabat Mater” się nie skończy...

Jesienią natomiast Motion Trio, niezmiennie poruszające się w najrozmaitszych rejonach muzycznych, spotka się w koncercie „The Happy Sounds Session” ze wspaniałym perkusjonistą Mino Cinelu - m.in. w sali katowickiego NOSPR-u i w Warszawie, a także w Nowohuckim Centrum Kultury. Ponadto Janusz Wojtarowicz kończy właśnie radosną suitę kosmiczną na orkiestrę akordeonową, pod tytułem „Akordeonista i pies Ksenofanes na Marsie”. Zarazem na pytanie, co przygotowuje na zbliżające się 30-lecie tria, tajemniczo się uśmiecha...

A ja nie mam wątpliwości – Motion Trio jeszcze niejedną raz pokaże swą muzyczną klasę... Wszystko dla nobilitacji akordeonu, dla wykazania niesamowitej gamy jego brzmieniowych możliwości, a tym samym wyniesienia go na muzyczny Olimp.

IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA /KRAKÓW

SEBASTIAN PSTROKOŃSKI-KOMAR /LIPSK

GESINE SCHRÖDER /LIPSK-WIEDEN

"TRADYCJE ŚLĄSKIEJ KULTURY MUZYCZNEJ" EDYCJA SPECJALNA : "NA SKRZYŻOWANIU SZLAKÓW EUROPY"

XVII MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA 25-27.03.2025

AKADEMIA MUZYCZNA IM. KAROLA LIPIŃSKIEGO WE WROCŁAWIU



Miłosz Kula, fot.IJT

W dniach 25-27 marca 2025 roku w Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu odbyła się XVII Międzynarodowa Konferencja "Tradycje Śląskiej Kultury Muzycznej", która zainaugurowana została po raz pierwszy w 1980 roku.

Za koncepcję merytoryczną siedemnastej edycji międzynarodowych konferencji odpowiadał Miłosz Kula, adiunkt wrocławskiej uczelni i wicedyrektor Filharmonii Dolnośląskiej im. Ludomira Różyckiego w Jeleniej Górze.

Temat tegorocznej edycji – Wrocław „Na skrzyżowaniu szlaków Europy” – został wybrany w kontekście objęcia przez Polskę w pierwszej połowie 2025 r. prezydencji w Radzie Unii Europejskiej. Po otwarciu konferencji przez prorektor uczelni Julitę Przybylską-Nowak można było usłyszeć dwadzieścia pięć wykładów referentów i referentek z Polski (17), Niemiec (5), Czech (2) oraz Ukrainy (1). Wykład otwierający wygłosił Artur Błazejewski, archeolog reprezentujący Uniwersytet Wrocławski. Mówił o odnalezionych w miejscach pochówku na ziemiach śląskich prehistorycznych instrumentach muzycznych, przybliżając w ten sposób współczesne badania etnomuzykologiczne i archeologiczne nad krajobrazem dźwiękowym Śląska.

Jako pierwszy prelegent sesji zatytułowanej *Sacrum et profanum* wystąpił Thomas Ertelt (Berlin), który opowiedział o powstaniu i o pierwszych szkicach opery *Lulu* Albana Berga. Poruszył problem, w jakim stopniu *Lulu* inspirowana była projektami muzycznymi, które kompozytor pierwotnie poświęcił operze zatytułowanej *Und Pippa tanzt!* Jej libretto oparte zostało na dramacie Gerharta Hauptmanna o tym samym tytule, którego akcja rozgrywa się na Śląsku. Berg chciał nadać *Pippie* specyficznego, śląskiego kolorytu, dlatego też zgromadził liczne zbiory śląskich pieśni ludowych. W oparciu o szkice kompozytora referent ukazał, jak Berg przez długi czas równoległe opracowywał oba projekty operowe, ponieważ nie było jednoznaczne, po który materiał ostatecznie sięgnie. Można było zaobserwować, jak fragmenty szkiców *Pippy* zostały ostatecznie włączone do *Lulu* i w jaki sposób Berg chciał wydobyć lokalny koloryt za pomocą pewnych, czasami wcale nie oryginalnie śląskich, instrumentów ludowych.

Drugim prelegentem sesji był Remigiusz Pośpiech (Wrocław), który opowiedział o legendach otaczających kompozytora Melchiora Wiesnera (ok. 1751–1825), znanego pod przydomkiem „Śląskiego Mozarta”, gdyż przez długi czas jego *Missę ex C* przypisywano właśnie Mozartowi. Referent postawił pytanie, czy Wiesner był kimś więcej

niż tylko zręcznym imitatorem stylu i odwoływał się do niedokończonych studiów stylokrytycznych, aby zbadać cechy indywidualne tego dzieła muzycznego. Należy podkreślić, że tożsamość Wiesnera do dziś nie została jednoznacznie ustalona.

Druga sesja poświęcona została twórczości muzycznej współczesnych kompozytorów górnośląskich. Przedtakt dla trzech wykładów tej sesji przygotowała Magdalena Stochniol (Katowice), przedstawiając szkice kompozytorskie Aleksandra Glinkowskiego (1941–1991) związane z miejscami historycznymi. Glinkowski z powodu przedwczesnej śmierci mógł tylko częściowo zrealizować projekty, których celem była muzyczna eksploracja miejsc pamięci na terenie Górnego Śląska, z ich unikalnymi możliwościami brzmieniowymi. Stąd jego niezwykle i nowatorskie pomysły pozostały w dużej mierze w sferze koncepcji twórczej.

Inaczej jest w przypadku oratorium *Canticum puerorum* Eugeniusza Knapika (ur. 1951), które przedstawił Bartłomiej Barwinek (Katowice). Mowa o kompozycji na wielką obsadę, w której przez cytaty muzyczne zostają uruchomione procesy długotrwałego powtarzania, służące muzycznemu opracowaniu trudnego doświadczenia historycznego: zesłania przez władze radzieckie na Syberię polskich dzieci i ich rodzin w czasie II wojny światowej. Opierając się na analitycznym zarysie *Canticum puerorum*, udało się Barwinkowi zachować równowagę między omawianiem środków muzycznych i wyrażaniem za ich pomocą programem.

Sesja zakończyła się wykładem Anny Stachury-Bogusławskiej (Katowice) na temat twórczości Władysława Skwiruta (1946–2020). Stosunkowo wąska twórczość Skwiruta, która nawet w Polsce jest niemal nieznana, powstawała od końca lat 60. do około 1980 roku. Po prawie trzydziestoletnim okresie milczenia kompozytora powstały nieliczne późne dzieła, które napisał tuż przed śmiercią. Zdaniem prelegentki dla utworów Skwiruta charakterystyczne jest przenikanie się porządku matematycznego z jednoczesnymi eksperymentami w sferze dźwięku, co mogło wynikać z wpływu, jaki wywarł na jego twórczość jego mistrz i nauczyciel Witold Szalonek (1927–2001).

W panelu zatytułowanym *Post bellum*, dotyczącym losów kompozytorów śląskich, a także tych związanych z regionem przez wiele lat, i przesiedlonych po wojnie, wystąpili Sebastian Pstrokoński-Komar (Lipsk) i Florian Schuck (Weimar), koncentrując się na ich dalszej powojennej działalności w latach 1945–1970. Losy licznych uchodzących ze Śląska muzyków i muzykologów i trudności, z jakimi borykali się przy aklimatyzacji w nowych miejscach zamieszkania, opisał Pstrokoński-Komar. Szczególną uwagę poświęcił karierze kompozytora Hermanna Buchala (1884–1961), pianisty Bronisława von Poźniaka (1887–1953) i muzykologa Fritza Feldmanna (1905–1984). Po raz pierwszy odniesiono się do wyzwań, jakie stanęły na drodze zawodowej muzyków, których

ucieczka zaprowadziła do radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec.

W nawiązaniu do tego tematu Schuck zaproponował ujęcie monograficzne twórczości Gerharda Strecke (1890–1968), który po ucieczce ze swojego ojczystego Śląska w wieku około 50 lat, miał trudności ze zbudowaniem w Niemczech Zachodnich kariery podobnej do tej, jaką cieszył się przed 1945 rokiem. Szczególne znaczenie miało zaangażowanie Strecke w podtrzymanie tradycji śląskiej kultury muzycznej, czego przykładem był wydany przez niego w 1953 roku zbiór pieśni śląskich *Lieder[n] der Schlesier*, a także działalność na rzecz dokumentacji twórczości śląskich kompozytorów Thomasa Stoltzera (1475–1526) i Johanna Nuciusa (1556–1620).

Drugi dzień konferencji rozpoczął się od sesji poświęconych śląskiemu życiu muzycznemu i repertuarowi od XVI do XVIII wieku. Mimo wybuchu wojny trzydziestoletniej, około 1640 roku we Wrocławiu rozwinęła się imponująca kultura późnego humanizmu renesansowego, która obejmowała także poezję i muzykę. Gesine Schröder (Lipsk/Wiedeń) mówiła o zbiorze ódduchowych pod tytułem *Früelings=Mayen* (1644) Matthäusa Apelles von Löwensterna (1594–1648). Na skutek eksperymentów z realizacją antycznych stóp metrycznych w języku niemieckim oraz opracowaniem muzycznym neoantycznych wierszy, powstały skomplikowane rytmicznie miniatury tego kompozytora. Ich specyfika, wiążąca się prawdopodobnie z recepcją *villanelli*, do tej pory nie została omówiona w kontekście historycznej teorii kompozycji.

Zofia Chankowska (Wrocław) przedstawiła zbiór manuskryptów pochodzących z Wrocławia, a przechowywanych w Bibliotece Państwowej w Berlinie, zawierający tabulatury organowe z XVI i XVII wieku. Zawiera on, zanotowane w większości w nowej niemieckiej tabulaturze, transkrypcje organowe muzyki na różnorodne instrumenty melodyczne lub głosy z instrumentami. Stanowią one dowód na to, że w ówczesnym Wrocławiu zbiegały się ścieżki prowadzące po niemal całej Europie.

O charakterystyce stylistycznej arii pochodzącego z Trzebini Augustina Volckmera (1755–ok. 1820) opowiedziała Elżbieta Cabała (Wrocław). Wskazała na szczególne wpływy neapolitańskiego stylu kompozytorskiego z dekad około 1800 roku. Referentka podkreśliła te wpływy zarówno w ukształtowaniu formalnym, jak i w ilości i rodzaju koloratur, dominujących na długich odcinkach niektórych arii.

Tomasz Jeż (Warszawa) odwołał się w swoim wykładzie na temat wciąż słabo zbadanej kultury muzycznej Wrocławia XVII wieku do licznych źródeł muzycznych, a także do relacji historycznych. Do źródeł historyczno-narracyjnych należy sztambuch Christoph'a Bremer'a (1621–1696), kantora kościoła św. Krzysztofa we Wrocławiu. Wpisy w jego *album amicorum* pozwalają nie tylko

na odtworzenie drogi życiowej Bremera i sieci kontaktów z osobami, które poznał podczas podróży do tak odległych miejsc jak Siedmiogród, ale także pozwalają lepiej zrozumieć, jak funkcjonowało życie muzyczne ówczesnego Wrocławia.

Referat Ewy Hauptmann-Fischer (Warszawa), odczytany przez Jeża, dotyczył *Arii del Signor Annibali* jako przykładu arii kastrackich z repertuaru cystersów w Lubiążu na Dolnym Śląsku. Autorka przedstawiła strukturę tego repertuaru, kładąc szczególny nacisk na silnie reprezentowaną kontrafakturę arii operowych.

Podsumowując sesję poświęconę dawnej śląskiej kulturze muzycznej, Grzegorz Joachimiak (Wrocław) przedstawił swoje badania nad zbiorami muzycznymi klasztoru Grüssau (Krzeszów). W XIII wieku, po najeździe mongolskim, księżna śląska Anna Przemysłidka sprowadziła benedyktynów z Opatowic nad Łabą do regionu dolnośląskiego w okolicy Grüssau, gdzie działali do 1289 roku. Trzy lata później jej wnuk Bolko I Surowy ufundował w tym miejscu klasztor cystersów, w którym rozwinęło się bogate życie muzyczne, a który funkcjonował nieprzerwanie do 1810 roku. Joachimiak przyjrzał się dotychczas nieeksplorowanemu katalogowi zbiorów muzycznych *Katalog für die Musikalien (instrumental u. vokal) der Abtei Grüssau – Schles.* Na licznych przykładach przedstawił muzykę sakralną i świecką, która rozbrzmiewała w klasztorze.

Kolejny panel trzech wykładów poświęcony został życiu i twórczości Carla Dittersa von Dittersdorfa (1739–1799), który przez długi czas pracował na Śląsku. Jana Burdová (Ołomuniec) szczegółowo opisała nowo odkryte śląskie kantaty gratulacyjne Dittersa. W ostatnim czasie przypisano kompozytorowi ponad dwadzieścia utworów, należących do gatunków kantaty i serenady. Burdová poświęciła szczególną uwagę dwóm kompletnie zachowanym kantatom gratulacyjnym, które udało się jej zidentyfikować jako dzieła Dittersa dzięki badaniom w Kłodzku i Jeseníku: *Clori e Nice* oraz kantatę dedykowaną królowi pruskiemu *Federico il Re della Prusia*.

Następnie Tomasz Fatalski (Warszawa) opowiedział o roli muzyki kościelnej Dittersa w osiemnastowiecznym Wrocławiu. W rozproszonych archiwach zachowało się, głównie w formie rękopisów, wiele mszy, requiem, motetów i antyfon, Trudnością dla prowadzonych obecnie badań, na którą do tej pory zwracano niewielką uwagę, jest fakt, że wiele spośród motetów i arii Dittersa było zmienianych przez kopistów na potrzeby nowych okazji, poprzez kontrafakturę tekstów sakralnych łacińskich i niemieckich. Fatalski podkreślił, że do tej pory nie powstał kompleksowy katalog dzieł Dittersa, prawdopodobnie ze względu na charakter użytkowy jego muzyki.

Kristýna Krejčová (Ołomuniec) przedstawiła swoje ustalenia dotyczące opery Dittersa *Il viaggiatore americano in Joannesberg*, której premiera odbyła się w 1771 r. na dworze biskupa wrocławskiego Philippa Gottharda

von Schaffgotscha. Po przedstawieniu fabuły dzieła i okoliczności jego prawykonania, referentka wskazała na odniesienia do zamku Jánský Vrch i otaczającego go regionu Javorníka, który dawniej leżał na granicy pruskiej i austriackiej części Śląska. Krejčovej udało się udowodnić, poprzez skrupulatną pracę detektywistyczną, że aria *Quanti sparser mai sudori* z opery zawiera informację o przebudowie dawnej sali owalnej zamku na salę teatralną.

Miłosz Kula (Wrocław) otworzył sesję składającą się z trzech referatów poświęconych śląskiemu życiu muzycznemu i twórczości kompozytorskiej XX i XXI wieku. W swoim wykładzie szczegółowo opisał – opierając się na szerokiej dokumentacji – działania, jakie po II wojnie światowej podjęto, aby utworzyć profesjonalną orkiestrę w Jeleniej Górze. To znaczące, że obecnie zajmujący stanowisko wicedyrektora Filharmonii Dolnośląskiej im. Ludomira Różyckiego Miłosz Kula, świadomie nawiązuje do korzeni tej instytucji.

Prezentacje Anny Granat-Janki (Wrocław) i Martyny Krymskiej-Renk (Wrocław) poświęcone zostały twórczości dwojga wciąż aktywnych kompozytorów. Granat-Janki przedstawiła przegląd dotychczasowej działalności Adama Porębskiego (ur. 1990), dyrektora Instytutu Kompozycji wrocławskiej Akademii Muzycznej. Szczególną uwagę skierowała na wykorzystanie przez niego nowych mediów, a w tym tworzeniu pejzaży dźwiękowych w celach terapeutycznych i medycznych.

Krymska-Renk przedstawiła natomiast szczegółową genezę jednego dzieła, *Zywych rzeźb Mistrza Andrzeja* (1962/63) – symfonii-baletu Leszka Wiśłockiego (ur. 1931), profesora kompozycji wrocławskiej Akademii Muzycznej. Po omówieniu kontekstu utworu i inspiracji, zadawano pytania obecnemu na sali kompozytorowi, między innymi o dostępność nagrań. Do tej pory nie powstał niestety album monograficzny poświęcony jego twórczości.

Bernward Speer (Bergisch-Gladbach) otworzył trzeci i ostatni dzień konferencji prezentacją działalności dwóch stowarzyszeń: Institut für Deutsche Musik im Osten e.V. i Arbeitskreis Schlesische Musik e.V. od okresu powojennego aż do dziś. Obie organizacje zajmowały się pielęgnowaniem i ochroną dziedzictwa muzycznego Śląska. Do lat 90. XX wieku regularnie organizowały konferencje i festiwale muzyczne (*Musikwoche*), a także wspierały działalność koncertową i badawczą. Godny uwagi jest cel, jaki postawiono sobie już na samym początku: wykorzystanie muzyki jako pomostu i zacieśnianie relacji z polskimi kolegami.

Następnie Tomasz Grochalski (Wrocław) przedstawił artystyczno-naukowe badania nad rogiem oktawowym (*Oktavwaldhorn in F*), który był produkowany pod koniec lat 80. XIX wieku w wytwórni instrumentów dętych E.G. Heidrich we Wrocławiu, w oparciu o pomysł wrocławskiego badacza muzyki i kompozytora Hermanna Eichborna (1847–1918). Był to rodzaj waltorni

dyszkantowej, wyposażonej w prosty mechanizm wentylowy i zapisywany notacją kornetową. Grochalski, jako specjalista w zakresie historycznych technik gry na waltorni, pokazał działanie instrumentu na przykładzie oryginalnych instrumentów z końca XIX wieku. Zaprezentował on również kompozycje Eichborna na róg i fortepian, aby zademonstrować możliwości nowego instrumentu i spekulował, dlaczego instrument ten nie był w stanie konkurować z wynalezionym w niedługi czas później podwójnym rogiem.

Aleksandra Pijarowska (Wrocław) zaprezentowała fragmenty dziesięciu dotychczasowych produkcji teatru muzycznego Katarzyny Dziewiątkowskiej (ur. 1984), a w tym spektakl teatru tańca inspirowany muzyką techno i pop oraz produkcję teatru lalkowego. Prelegentka podkreśliła, że muzyka Dziewiątkowskiej zawsze usuwa się na drugi plan w stosunku do innych elementów teatralnych, takich jak gra światłem czy ruch aktorów na scenie. Po prelekcji obecna na spotkaniu publiczność mogła zadawać pytania samej kompozytorce. W dyskusji okazało się, że autorka powstrzymuje się od korzystania z zaawansowanych technologii cyfrowych, takich jak sztuczna inteligencja, a także od wykorzystywania rozszerzonych technik aktorskich, często spotykanych we współczesnych dziełach scenicznych, wierząc, że zaowocuje to intensywniejszą ekspresją.

Ostatni panel konferencji poświęcony był zjawiskom na peryferiach Śląska. Wcześniej przedstawiona jako kompozytorka, teraz Dziewiątkowska (Wrocław) w roli referentki opowiedziała o muzyce filmowej Jana A. P. Kaczmarka (1953–2024), który zyskał międzynarodową sławę po 1989 r. dzięki filmom wyprodukowanym w Stanach Zjednoczonych. Jej zdaniem na ukształtowanie formalne i nastrój jego muzyki decydujący wpływ miała współpraca z pianistą jazzowym Leszkiem Możdżerem (ur. 1971).

Badając historię studiów muzykologicznych we Lwowie i Wrocławiu Oksana Hysa (Tarnopol) porównała poziom kształcenia w obu miastach i postulowała zacieśnienie w przyszłości współpracy między nimi. W jej opinii we Wrocławiu ciągłość kształcenia muzyczno-praktycznego na poziomie podstawowym i średnim zapewnia działalność Instytutu Muzykologii Uniwersytetu Wrocławskiego – ciągłość, którą Hysa uważa za zagrożoną w krajach Europy Zachodniej ze względu na brak takich instytucji jak specjalne szkoły muzyczne.

W ramach konferencji odbyły się dwa koncerty, których programy odpowiadały poruszanej tematyce, a jednocześnie dawały żywy obraz tak przeszłości jak i dzisiejszego życia muzycznego Śląska.

Pierwszego dnia konferencji lipska pianistka Charlotte Steppes zagrała utwory od końca XIX wieku do okresu przed wybuchem II wojny światowej, napisane przez czterech kompozytorów śląskich: *Preludium* (1882) Eduarda Francka (1817–1893), kontynuujące ówczesną recepcję kantat Bacha, *Moderne Suite* (1918) Arnolda Mendelssohna

(1855–1933), neorenesansowy, surowy *Temat z wariacjami na temat polskiej pieśni ludowej* (1929) Güntera Białasa (1907–1995) i na zakończenie *Sechs Klavierstücke* Hermann Buchala. Zarówno jakość muzyczna samych kompozycji, jak i mistrzowskie wykonanie stanowiły punkt kulminacyjny dnia, a trwałe wrażenie pozostawił finał koncertu, w którym zabrzmiała pełna wyrazu dramatycznego i odważna brzmieniowo muzyka Buchala.

Koncert drugiego dnia konferencji był wydarzeniem współorganizowanym przez Katedrę Nowych Mediów, Studio Kompozycji Komputerowej Akademii Muzycznej we Wrocławiu, Koło Artystyczno-Naukowe Nowych Mediów działające przy Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu, a także pracownię Małych Instrumentów Pawła Romańczuka i Galerię Toy Piano. Prezentowane dzieła pięciu kompozytorów ukazały różnorodne nurty w muzyce elektroakustycznej, a inkorporowanie materiałów wideo zwiększyło ich atrakcyjność dla publiczności. *Matching component* autorstwa Cezarego Duchnowskiego (ur. 1971) i Marcina Rupocińskiego (ur. 1971) z interaktywną warstwą wideo autorstwa Mai Wolińskiej (ur. 1972) sprawia wrażenie gry, w której elementy audytywne i wizualne reagują na siebie. Karolina Kułaga w utworze *EMT na live electronics* eksplorowała subtelne połączenia barwowe i poszukiwała nowych jakości brzmieniowych poprzez złożone procesy przekształcania. Improwizacja elektroakustyczna *Immersion-Emersion* autorstwa Macieja Michaluka (ur. 1997) i Marcina Rupocińskiego oparta została na sterownikach ruchu *Leap Motion*. Kompozytorka młodego pokolenia Alina Dzieciół (ur. 1998) w utworze *kanałowe* wykorzystwała topofonię i zderzenia dźwięków o subtelnych różnicach brzmieniowych. Mocnym zwieńczeniem wieczoru był "[[-]]", intensywny i prawdopodobnie inspirowany muzyką klubową pejzaż dźwiękowy Maćka Michaluka, który ponownie został dopełniony generatywną warstwą wizualną Bartosza Radzikowskiego.

Tegoroczną specjalną edycję cyklu konferencji poświęconego tradycjom śląskiej kultury muzycznej zakończyło podziękowanie Miłosza Kuli skierowane do prelegentów, a także wyrazy wdzięczności dla Anny Granat-Janki, która po wielu latach działalności przekazała w jego ręce odpowiedzialność zarówno za kształt merytoryczny, jak i za organizację konferencji.

Tekst oryginalny powstał dla Gesellschaft für Musikforschung. Tłumaczenie z języka niemieckiego: Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

**MAŁGORZATA KAROLINA
PIEKARSKA**



EROTYCZNA ZMYSŁOWOŚĆ W RZEźBACH GIAN LORENZO BERNINIEGO APOLLO I DAFNE ORAZ EKSTAZA ŚW. TERESY



Barokowa sztuka katolicka jest silnie związana z soborem trydenckim, który odbywał się w latach 1545–1563. Był odpowiedzią na rosnącą potrzebę reform w Kościele katolickim, które wynikały z reformacji i uważany jest za początek kontrreformacji. Uporządkowanie doktrynalne i teologiczne miało znaczący wpływ na sztukę sakralną. Podczas soboru uzgodniono, że twórczość artystyczna musi służyć katechizmowi katolickiemu. Sztuka miała poruszać, pouczać i wychowywać. Musiała być czytelna, unikać skomplikowanych, bajecznych hagiografii. Podstawowe prawdy wiary, najwyższe wartości religijne miały być wyrażane poprzez dynamiczną i ekspresyjną sztukę wizualną. Ta sztuka miała oddziaływać na uczucia zarówno mniej, jak i bardziej wykształconych wiernych[1].

Architekci, malarze i rzeźbiarze pracujący pod patronatem Kościoła stosowali się do zaleceń i musieli uwzględniać postanowienia soboru trydenckiego. Wśród nich był Gian Lorenzo Bernini. Urodził się w Neapolu, ale najbardziej znany jest jako wielki architekt i rzeźbiarz działający w Rzymie. Jest autorem dwóch rzeźb, które są zarówno erotyczne, jak i religijne. Pierwsza z nich to *Apollo i Dafne* – na pierwszy rzut oka bardziej erotyczna niż religijna, ale w rzeczywistości jest inaczej. Druga to *Ekstaza Świętej Teresy*, która z kolei, pomimo pierwszego wrażenia, jest bardziej erotyczna niż religijna.

Kardynał Scipione Borghese był pierwszym promotorem Berniniego. To on zamówił posąg *Apollo i Dafne*. Został on wykonany przez Berniniego zgodnie z hasłami soborowymi: *delectare* (sprawiać przyjemność, cieszyć się, delectować), *docere* (uczyć), *permovere* (wzruszyć), *persuadere* (przekonać)[2]. *Apollo i Dafne* to najslynniejsza rzeźba Berniniego. Przedstawia patrona sztuki, który zakochał się w nimfie – próbuje ją złapać, obejmując ją i w ten sposób próbując zdobyć. Ale ona, broniąc się przed niechcianymi uczuciami, zamienia się w drzewo, broniąc w ten sposób swojej cnoty. Jest to historia opisana przez Owidiusza w *Przemianach*[3] – *Apollo i Dafne*.

„Jeśliś Bóg broń mię ojczy, niech zginie w przemianie,
Piękność zbyt ujmująca i prześladowanie.

Ledwie skończonej prośbę wysłuchała rzeka,
Miękką kora pieszczoną pierś Dafny powleka.
Widać włos w liściach, rękę nikałą w gałęzi,
Nogę dawniej tak lekką ziemia w sobie więzi,
Wierzch pokrywa jej czoło; i w drzewa postaci
Jeszcze nadobna Dafne piękności nie traci.
Jeszcze do niej Apollo silnym ogniem płonie,
Czuje bicie jej serca w zdrewniałem już łonie;
Przyciska lubię drzewo do pocałowania,
Ale i drzewo jeszcze uścisków zabrania[4].

Fakt, że nimfa wodna woli umrzeć lub stać się częścią natury (a konkretnie: trzech), niż być niewolnicą niekochanego boga, a zatem cnota jest dla niej najważniejsza, wydaje się być niezwykle chrześcijańskim poglądem na kwestię miłości.

Apollo staje się tutaj symbolem erotycznego pożądania, które według Kościoła nie ma nic wspólnego z szlachetną, głęboką miłością. Fizyczne piękno jest symbolem piękna duchowego.

Howard Hibbard w swojej wspaniałej i słynnej książce o Berninim napisał: „Bernini wybrał kluczowy moment: wtedy, gdy Apollo myśli, że osiągnął swój cel, uciekającą Dafne zatrzymuje otaczając ją kora; jej palce zamieniają się w liście; jej palce u stóp zapuszczają korzenie. Apollo właśnie dogonił swoją ukochaną i obejmuje ją pewnym ruchem ramienia; ale wyraz jego twarzy wskazuje na początek świadomości, że coś poszło nie tak. Dafne wydaje się nieświadoma swojej przemiany, gdy spogląda przez ramię z przerażeniem i rozchylonymi ustami. Jej usta wydają się układać w niemym krzyku, a twarz staje się pusta pod wpływem przemiany – co stanowi paralelę do paradoksu formy, wciąż biegnącej i zakorzeniającej się na naszych oczach. Włosy Dafne powiewają w wyniku jej nagłego zatrzymania i rozwiewają się z lekkością, której sam Bernini nie był w stanie dorównać”[5].

Apollo i Dafne to jedna z tych rzeźb, które emanują erotyzmem. Jest to jednak niezwykle subtelne ucieleśnienie erotyzmu. Pożądanie na twarzy Apolla nie jest zauważalne na pierwszy rzut oka. Widzimy je dopiero wtedy, gdy spojrzymy na rzeźbę jako całość i zrozumiemy, który moment w historii obu postaci ona przedstawia. Z kolei erotyczne piękno Dafne jest widoczne od razu i być może to właśnie ono wywołało taką, a nie inną reakcję współczesnych artyście.

Pierwszymi odbiorcami tej rzeźby byli duchowni. Kardynał François d'Escoubleau de Sourdis ostro skrytykował „nagą kompozycję”. Twierdził, że jest ona nieco skandaliczna. Źródła podają, że był tak oburzony, że zabronił Scipio Borghese przekraczać próg swojego domu[6]. Kardynał Maffeo Barberini, późniejszy papież Urban VIII, wielki

miłośnik sztuki Berniniego, stanął w obronie rzeźby. Napisał wówczas epigram (dwuwiersz) umieszczony na cokole:

„Quisquis amans sequitur fugitivae gaudia formae,
Fronde manus implet baccas seu carpit amaras”.

Oznacza to:

„Kto kocha, goni za ulotnymi radościami formy,
Napełnia dłoń liśćmi lub zrywa gorzkie jagody”[7].

Znaczenie tych słów pozwoliło na szerszą interpretację dzieła, a przede wszystkim na znalezienie innego, niemal religijnego kontekstu. Cieleśność jest tylko gorzkim owocem, uschniętym liściem, niczym – w końcu przemija. Wierność ideałom jest trwałą i stanowi cnotliwą konsekwencję. Pożądanie jest grzechem, od którego chrześcijanin powinien uciekać.

Rzeźba Berniniego jest przykładem ucieleśnienia maksymy soborowej.

Dafne ma być wzorem do naśladowania: uczyć i przekonywać. Porusza i jest pouczającą wskazówką. Każdy może cieszyć się (*delectare*) sztuką i finezją wykonania. Dla mistrza twardy marmur nie ma tajemnic[8] – staje się ciałem, skórą, włosami, tkaniną powiewającą na wietrze. Włosy są częściowo zaplecione, dłonie przekształcają się w liście laurowe, a palce stóp w korzenie. Widz może obserwować przemianę nimfy – wtapia się ona w świat flory i staje się jego częścią. Materiał, ułożony jak w kompozycji hellenistycznej, płynnie otacza pięknie zbudowaną postać pożądanego boga. Dynamicznie rozwijająca się akcja rozgrywa się przed widzem – może go poruszać (*permovere*) i prowokować do refleksji. Dramaturgię narracji podkreślają ukośne linie i żywy *chiaroscuro*. Imponujące jest również wykończenie powierzchni – faktura kamienia jest niemal gładka jak lustro, a wszystkie anatomiczne detale wykonane są z jubilerską precyzją[9].

Rzeźba została zaprojektowana tak, aby widz mógł śledzić każdy szczegół. Możemy ją zacząć oglądać np. od Apolla do Dafne – patrząc od ich twarzy do stóp. Kontrast, tak popularny w epoce baroku[10], jest również wyraźnym zabiegiem artystycznym. Apollo nie może uwierzyć, że nie zdobędzie dziewczyny. Dlatego jego twarz jest stosunkowo spokojna, a dłoń kładzie na brzuchu nimfy, jakby za jej zgodą. Jednak ten delikatny dotyk Apolla nie powstrzymuje Dafne. Nimfa odrzuca zaloty boga. Pochyliła ciało, gwałtownie odwraca głowę od zalotnika, a z jej ust wydobywa się krzyk wołający o pomoc. Za zachowanie niewinności trzeba zapłacić wysoką cenę. Dlatego Dafne zostaje przemieniona w drzewo laurowe. Przechodzi w wieczność jako symbol dziewictwa i nieugiętej postawy. Apollo zerwał jeden z liści i włożył go do ust. Dzięki temu, poznając gorzki smak, zdał sobie sprawę, jak gorzka będzie dla niego Dafne[11]. Odnosi się do tego łaciński epigram napisany przez kardynała Maffeo Barberiniego[12].

Chociaż znaczenie ideologiczne jest ważne, podstawą

tych posągów jest fizyczna uroda obojga bohaterów. Widz nie jest zaskoczony pożądaniem Apolla wobec pięknej nimfy. Dafne wykonana przez Berniniego uosabia klasyczne piękno.

Bernini twierdził, że piękno wszystkich rzeczy na świecie tkwi w proporcjach. Dotyczy to również ludzkiego ciała i jest to udział Boga[13].

Rzeźba przedstawiająca *Apollo i Dafne* otworzyła Berniniemu drogę do kariery. Od tego momentu rzeźbiarz zaczął otrzymywać wiele zamówień. Był nie tylko wybitnym i poszukiwanym rzeźbiarzem, autorem *Wyznania nad grobem św. Piotra*, papieskich nagrobków, licznych popiersi, ale także twórcą drugiej rzeźby uznanej za skandaliczną ze względu na ukryty erotyzm. Jest to *Ekstaza św. Teresy* w kościele Santa Maria della Vittoria w Rzymie, w kaplicy Cornaro.

Święta Teresa z Ávili (1515-1582) była jedną z najpopularniejszych świętych w XVII wieku. W 1644 roku kardynał Federico Cornaro zlecił Berniniemu dekorację kaplicy w kościele Santa Maria della Vittoria w Rzymie. Po konsultacjach z fundatorami wybrano wizję, którą święta opisała następującymi słowami:

„Widziałam anioła, stojącego tuż przy mnie z lewego boku, w postaci cielesnej (...). Nie był wysokiego wzrostu, raczej mały, a bardzo piękny. Z twarzy jego płonącej niebieskim zapałem znać było, że należy do najwyższego rzędu aniołów, całkiem jakby w ogień przemienionych. Musiał być z rzędu tych, których nazywają cherubinami (...). Ujrzałam w rękę tego anioła długą, złotą włócznię, a grot jej żelazny u samego końca był jakby z ognia. Tą włócznią kilka razy przebijał mi serce, zagłębiając ją aż do wnętrzości. Za każdym wyciągnięciem włóczni miałam to uczucie, jakby wraz z nią wnętrzości mi wyciągał. Tak mnie pozostawił całą gorejącą wielkim zapałem miłości Bożej. Tak wielki był ból tego przebiccia, że wyrwał mi z piersi te jęki, o których wyżej wspomniałam. Ale taką zarazem przewyższającą wszelki wyraz słodycz sprawia mi to niewypowiedziane męczeństwo, że najmniejszego nie czuję w sobie pragnienia, by ono się skończyło i w niczym innym dusza moja nie znajduje zadowolenia, tylko w samym Bogu. Nie jest to ból cielesny, ale duchowy, chociaż i ciało niejaki, owszem, nawet znaczny ma w nim udział. Taka mu towarzyszy słodka, między Bogiem a duszą, wymiana oznak miłości, że opisać jej nie zdołam, tylko Boga proszę, aby w dobroci swojej dał zakosztować jej każdemu, kto by mnie nie wierzył”[14].

Rzeźba stworzona przez Berniniego jest podobna do tej wizji. Święta Teresa, w długiej szacie zakonnej, upada na chmurę, a jej fizyczna bezsilność jest tak wielka, że lewa ręka i stopa zwisają bezwładnie. Skrzydlaty serafin zbliża się do niej i chwyta lewą ręką brzeg świętego habitu, jednocześnie kierując strzałę w jej serce. Twarz świętej jest niezwykle piękna. Wyraża zarówno ból, jak i przyjemność. Zamknięte oczy i rozchylone usta potęgują to wrażenie.

Cała grupa jest oświetlona naturalnym światłem. Przenika ono przez ukryte okno w kopule otaczającej edyкулę i podkreślone jest połączonymi promieniami stiuku. Teresa jest przedstawiona w ekstazie, leżąca na chmurze. Świadkowie pojawiają się na bocznych ścianach – są to mężczyźni z rodziny Cornaro. Wyglądają jak widzowie podczas przedstawienia teatralnego. Powyżej, sklepienie kaplicy jest pokryte freskiem przedstawiającym iluzjonistyczne niebo pełne cherubinów, z zstępującym światłem Ducha Świętego alegorycznie przedstawionym jako gołąb. Wszystko wygląda jak teatralna inscenizacja ekstazy św. Teresy[15]. O czym oni myślą? Według Lavedana św. Teresa Berniniego jest ogólnym zaprzeczeniem tego, co przedstawiał w swojej sztuce Michał Anioł, który chciał przekazać wyraz myśli przedstawionych postaci[16]. Bernini ukazał zachwyty św. Teresy niczym malarz, wywołując grę światła i cienia w marmurze, świadomie wykorzystując architekturę ołtarza. Cała scena została oświetlona mistycznym światłem padającym z okna ukrytego pod belkami ołtarza. Z bocznych ścian kaplicy, z umieszczonych tam łóż, publiczność obserwuje scenę ekstazy na ołtarzu, adorując św. Teresę – to rzeźbione postacie członków rodziny Cornaro. W omawianej grupie Bernini jest prekursorem awangardowego nurtu w rzeźbie XVII wieku. Ze względu na trydencki zakaz obnażania ciała, przywiązywał dużą wagę do drapowania szat. Według Kauffmanna[17] Seraf najbardziej przypomina *Amora Vincitore* Caravaggia. Święta Teresa, poprzez ułożenie stóp i rąk, wygląda jak *Nawrócenie św. Pawła* Nicolasa Poussina. Cała grupa rzeźbiarska była przedmiotem wielu sporów interpretacyjnych, które podsumował Konstanty Kalinowski[18]. Wcześniej Winfried Ranke zajmował się tym dziełem Berniniego jako powodującym skandal w kościele rzymskim od połowy XVIII wieku. Kalinowski uważał, że ołtarz św. Teresy należy traktować jako konkretny przykład języka epoki historycznej. Punktem odniesienia dla każdej kolejnej interpretacji nie jest już dzieło Berniniego, ale stan badań – suma opinii kolejnych pokoleń krytyków i historyków sztuki. Nie ma dowodów na to, że ekstaza duchowa w swoim zewnętrznym wyrazie różni się od ekstazy erotycznej lub jest do niej podobna. Mnogość skojarzeń i interpretacji wyrazu twarzy zarówno świętej, jak i Serafina przemawia na korzyść rzeźby, która „istnieje” w historii sztuki nie tylko ze względu na rozmiar skandalu interpretacyjnego, ale także ze względu na mnogość interpretacyjnych wyrazów twarzy postaci i bogactwo kompozycji architektonicznej. Bernini uważał ją za najpiękniejszą ze swoich dzieł.

Obie rzeźby: *Apollo i Dafne* oraz *Ekstaza św. Teresy*, choć w czasach Berniniego postrzegane były jako rzeźby religijne, są również rzeźbami niezwykle nasyconymi erotyzmem. Są też próbą utrwalenia ułamka sekundy, a wybrany moment ma charakter erotyczny. Piękno Apolla i Dafne oraz postać św. Teresy przepełniona erotyzmem oddziałują na zmysł wzroku widza, pobudzając jego erotyczną wyobraźnię. I robią to niezmiennie od prawie 400 lat.

Bibliografia:

- Avery, Charles, *Bernini: Genius of the Baroque*. Londyn, 1997;
- Bacchi, André, *Bernini and the birth of Baroque portrait sculpture*, Londyn, 2008;
- Baldinucci, Filippo, *The Life of Bernini*. (2006) [1682]. University Park: Pennsylvania State University Press;
- Barolsky Paul. Ovid, *Bernini, and the Art of Petrification*. *Arion* 13, nr 2 (1 października 2005): 149–162. JSTOR 29737267;
- Bernardini, Gian Lorenzo Bernini: regista del Barocco, Rzym, 1999;
- Bernini, Domenico *The Life of Giano Lorenzo Bernini*. (2011) [1713], University Park: Pennsylvania State University Press;
- Białoostocki Jan, *Dwugłos o Berninim (Baldinucci i Chantelou)*, Wrocław, 1962,
- Białoostocki Jan, *Sztuka cenniejsza niż złoto*, Warszawa 1963
- Blunt Anthony, *Artistic Theory in Italy 1450-1600*, Oxford 1956
- Bolland Andrea. *Desiderio and Diletto: Vision, Touch, and the Poetics of Bernini's Apollo and Dafne*. *The Art Bulletin* 82, nr 2 (1 czerwca 2000): 309–330;
- Borsi Franco, *Le Bernin*, Paryż, 1984;
- Boucher, Bruce, *Italian Baroque Sculpture*, Londyn, 1998, s. 134–143;
- Campbell T. *Remarks on Mr. Flaxman's Lectures on Sculpture*. *New Monthly Magazine and Literary Journal*. 28 (styczeń 1830). (109): s. 97–104;
- Cocke Richard. *Rysunek Berniniego do kaplicy Cornaro, S. Maria della Vittoria*. [w:] *The Burlington Magazine. The Burlington Magazine Publications Ltd.* 114 (833), (sierpień 1972): 550–553. JSTOR 877068;
- Coliva Anna, *Bernini scultore: la tecnica esecutiva*, Rzym, 2002;
- Dempsey Charles, *Inventing the Renaissance Putto*, Chapel Hill, 2000;
- Fenton James, *Leonardo's Nephew: Essays on Art and Artists*. Chicago, 2000;
- Grell Chantal, *Le Bernin et l'Europe: du baroque triomphant à l'âge romantique*, Paryż, 2002;
- Hans Kauffmann, *Giovanni Lorenzo Bernini. Die figurlichen kompositionen*, Berlin 1970,
- Harbison, Robert, *The Case for Disruption. Reflections on Baroque*. 2000, Chicago 2000, s. 1–32;
- Hibbard, Howard, *Bernini*, Londyn, 1990;
- Kalinowski Konstanty, *Zagadnienia interpretacji św. Teresy Berniniego (Na marginesie artykułu: W. Ranke, Berninis „Heilige Teresa”)* [w:] *Interpretacje dzieła sztuki. Studia i dyskusje*, Warszawa-Poznań 1976;
- Kenseth, Joy. Bernini's Borghese Sculptures: Another View, [w:] *The Art Bulletin* 63, nr 2 (1 czerwca 1981): s. 191–210;
- Kwiatkowska-Frejlich Lidia, *Kontrreformacji sztuka* [w:] *Encyklopedia Katolicka*, Lublin 2002, t. 9, s. 766-771
- Lavedan Pierre, *Historia sztuki*, Wrocław 1954
- Montanari Tommaso, *La libertà di Bernini. La sovranità dell'artista e le regole del potere*, Einaudi, 2016;
- Mormando Franco, *Bernini: His Life and His Rome*, Chicago, 2011;
- Owidiusz, *Przemiany*, tł. Bruno Kiciński, Warszawa 1825,
- Petersson Robert Torsten, *Bernini and the Excesses of Art*, Fordham, 2002;
- Pinton Daniele, *Bernini. Sculptor and Architect*. ATS Italia Editrice, 2009;
- Pope-Hennessy John, *Italian High Renaissance and Baroque Sculpture*, Rzym, 1970;
- Riedl Peter Anselm, *Gian Lorenzo Bernini, Apollo und Dafne*, Stuttgart 1960;
- Teresa z Avila, *Życie Teresy z Avila*. Rozdział XXIX; część 17. Londyn: Thomas Baker., *Autobiografia św. Teresy* w wersji online w ramach projektu Gutenberg. <http://www.gutenberg.org/files/8120/8120-h/8120-h.htm#l1.0>, data pobrania: 3 lutego 2020 r.
- Wilkins Ann Thomas, *Bernini and Ovid: Expanding the Concept of Metamorphosis*. [w:] *International Journal of the Classical Tradition* 6, nr 3 (1 grudnia 2000): s. 383–408;
- Wittkower, Rudolf, *Gian Lorenzo Bernini: The Sculptor of the Roman Baroque*, Londyn, 1

Przypisy:

- [1] Lidia Kwiatkowska-Frejlich, *Kontrreformacji sztuka* [w:] *Encyklopedia Katolicka*, Lublin 2002, t. 9, s. 766-771
- [2] Howard Hibbard, *Bernini*, Londyn 1990, str. 8
- [3] Przez niektórych tłumaczy stosowany jest też czasem tytuł *Metamorfozy*.
- [4] Owidiusz, *Przemiany*, tł. Bruno Kiciński, Warszawa 1825, Księga Pierwsza, wersy: 555-566, s. 41
- [5] Howard Hibbard, *Bernini*, Londyn 1990, s. 48-50
- [6] *Życiorys Berniniego spisany przez Filippo Baldinucci* [w:] *Dwugłos o Berninim* (Baldinucci i Chantelou), Wrocław, 1962, s. 6-7,
- [7] Tłumaczenie własne
- [8] Bernini wykonał rzeźbę z pomocą członka swojej pracowni, Giuliano Finellego, ale Finelli wykonał jedynie korę i gałęzie drzewa oraz włosy Dafne. (Franco Mormando, *Bernini: His Life and His Rome*, Chicago, 2011, s. 45).
- [9] Paul Barolsky, Ovid, *Bernini, and the Art of Petrification*. *Arion* 13, nr 2 (1 października 2005): s. 149–162
- [10] Peter Mayer, *Historia sztuki europejskiej*, Warszawa 1973, s. 170
- [11] Paul Barolsky Ovid, *Bernini, and the Art of Petrification*. *Arion* 13, nr 2 (1 października 2005): s. 149–162
- [12] *Życiorys Berniniego spisany przez Filippo Baldinucci* [w:] *Dwugłos o Berninim* (Baldinucci i Chantelou), Wrocław, 1962, s. 6-7
- [13] Anthony Blunt, *Artistic Theory in Italy 1450-1600*, Oxford 1956, s. 130
- [14] Teresa z Avila, *Księga Życia*, rozdz. 29, 13. <https://brewiarz.pl/czytelnia/swieci/o8-30d.php3> dostęp z dn. 25 kwietnia 2025
- [15] Jan Białoostocki, *Sztuka cenniejsza niż złoto*, Warszawa 1963, s. 414-415
- [16] Pierre Lavedan, *Historia sztuki*, Wrocław 1954, s. 223
- [17] Hans Kauffmann, *Giovanni Lorenzo Bernini. Die figurlichen kompositionen*, Berlin 1970, s. 154-162
- [18] Konstanty Kalinowski, *Zagadnienia interpretacji św. Teresy Berniniego (Na marginesie artykułu: W. Ranke, Berninis „Heilige Teresa”)* [w:] *Interpretacje dzieła sztuki. Studia i dyskusje*, Warszawa-Poznań 1976, s. 162-167.

JACEK ROMAŃSKI

"À MON SEUL DÉSIRES" O PEWNEJ DAMIE, JEDNOROŻCU I FILOZOFII MICHELA SERRESA

„ODKĄD TO ZOSTAŁO NAPISANE, PRAGNĘ. A ŚWIAT JEST NIEOBECNY.”[1]



Dzięki nim czujemy ciepły powiew wiatru na twarzy, słyszymy śpiew ptaka, smakuje nam chleb, podziwiamy widok odległych gór, odurza nas zapach łąki – zmysły. Gdy moment pierwszego, najbardziej bezpośredniego wrażenia mija, nadal pozostajemy zdolni przywołać w myślach obrazy, których źródeł – odmiennie niż u Platona – poszukujemy właśnie w nich: doznaniach zmysłowych – przychylając się, jednakże tylko do pewnego stopnia, ku stwierdzeniu, iż nie ma tego w umyśle, czego by nie było wcześniej w zmyśle. Do pewnego stopnia, ponieważ niekiedy intensywność wrażeń zmysłowych zdaje się przekraczać granicę możliwości ich logicznego wyjaśnienia.

Jednak to ich w gruncie rzeczy poszukujemy – istotnych poznawczo wrażeń, które będziemy mogli, nie w pełni jednak, oddać w języku – wewnątrz którego na co dzień tak bezpamiętnie funkcjonujemy. Gdy mijają pierwsze chwile oszołomienia ową zmysłową płataniną kolorów, form czy struktur – słowem: niemy jeszcze zachwyt nad nowym nieznanym miejscem i niewidzianymi uprzednio dziełami – stopniowo zaczyna wyłaniać się z nich niczym z tła początek nowej narracji. Oto znaleźliśmy się pośrodku klasztornej sali w podparyskim Cluny, otoczeni sześcioma osobliwymi gobelinami. Na każdym z nich widzimy wyodrębnioną od tła sino-granatową wyspę a na niej: jednorożca, damę, niekiedy jej służącą, lwa, oraz całą gromadę innych stworzeń przechadzających się wśród bujnie tu przedstawionej flory i pozostałej fauny, które otaczają owe wyspy. Tylko na jednym z nich widoczny jest dodatkowo namiot z inskrypcją wypisaną nad wejściem: „À mon seul désire”. Jakie jest zatem ogólne przesłanie owych dzieł? Jaką historię opowiadają? Co reprezentują?

Widzimy zatem kolejno jednorożca patrzącego na swoje lustrzane odbicie, kobietę grającą na instrumencie, w innym miejscu dotykającą jednorożca, sięgającą po przysmaki z patery, przypatrującą się wiankowi z wonnych kwiatów. Najbardziej prawdopodobną, popartą badaniami tezą jest to, iż przedstawiają one kolejno pięć zmysłów. Dlaczego zatem gobelinów jest sześć? Czyżby jeden był dodatkowy, tkany osobno i tylko przypadkiem znalazł się w kolekcji? Przyjrzyjmy się przez moment badaniom Alaina Erlande-Brandenburga oraz Élisabeth Taburet-Delahaye z Musée de Cluny. [2]

O tym, że nie był to przypadek świadczy ich zdaniem kilka przesłanek. Po pierwsze, postacie są do siebie podobne, a technika wykonywania poszczególnych gobelinów jest taka sama. Po wtóre, nie jest to jedyna seria gobelinów o tej tematyce, licząca sześć eksponatów, z których jeden zdaje się odbiegać od reszty. Erlande-Brandenburg wspomina tu o tapiseriach kardynała de la Marcka, których również jest sześć. Szóstą z nich nosi tytuł „Liberum arbitrium”, czyli „Wolna wola”. Rozumieć ją należy ich zdaniem w tradycji sokratejsko-platońskiej



jako symbol odrzucenia zmysłowych pokus i zwrócenie się ku głębszej introspekcji, jako życie bez ulegania namiętnościom, skutkujące podejmowaniem racjonalnych decyzji dotyczących własnego postępowania. Jak zobaczymy, szósty gobelin z Cluny zdaje się wskazywać na podobny gest. Tak czy inaczej, odmienny od wszystkich pozostałych stanowi on jednak niezbywalną część tej serii.[3] Pierwotne rozmieszczenie dzieł również było przedmiotem dyskusji. Rozmiar oraz nieco bardziej uroczystry od pozostałych charakter potwierdzałby naturalną skłonność do umieszczenia go w centrum. Nie zmienia to jednak wiele w kwestii właściwego zrozumienia znaczenia, jakie za sobą niesie. Jak zauważa Élisabeth Taburet-Delahaye, bardziej owocne wydają się interpretacje zaproponowane przez Jean-Patrice'a Boudeta (1999, 2000) oraz Antoine'a Glaenzera (2002), wykorzystujące porządek wartości znaczeń najczęściej spotykany w średniowiecznych tekstach, takich jak „Bestiariusz” Richarda de Fournival czy „Księga skarbów” Brunetta Latiniego. Występuje tu pewna hierarchia zależna od „odległości” danego zmysłu od duszy – pierwszy jest dotyk następnie smak, zapach, słuch i wreszcie wzrok. Tę hierarchię, ale w odwrotnej kolejności, odnajdujemy na tablicach zdobionych „Stultifera navis” z paryskiego wydania z 1500 roku. Tam najbliższy światu duchowemu okazuje się właśnie wzrok.[4] Jakiegokolwiek optyki byśmy nie przyjęli, À mon seul désire – choćby nawet intuicyjnie – zdaje się najbliższy transcendencji,

jawiąc się jako przedstawienie owego tajemniczego szóstego zmysłu. Co nas prowadzi ku takiej interpretacji?

Alain Erlande-Brandenburg (1978) jako pierwszy zasugerował, że dama nie wyjmuje naszyjnika z pudełka, lecz przeciwnie - odkłada go z powrotem w owym geście rezygnacji z rozprasających oddziałujących na zmysły dóbr doczesnych, aby zwrócić się ku wartościom ostatecznym, które pozostają w ten sposób jedynym przedmiotem wartym pożądaniam, co oznacza zatem akt oddania pierwszeństwa dla świata pozazmysłowego. Fakt ten w oczywisty sposób konstytuuje ostatecznie rzeczoną hierarchię. Jak wspomnieliśmy jest to podobny gest jaki należy wykonać kierując się *liberum arbitrium*. [5] Czym jest zatem ów szósty zmysł mieszczący się ponad wszystkimi innymi?

Élisabeth Taburet-Delahaye przytacza dwie hipotezy, obie oparte na prądach myślowych rozwiniętych pod koniec średniowiecza, obie przywołane przez Jean-Pierre Jourdan (1996), a za nim Alaina Jauberta, którzy zaproponowali porównanie tych tapiserii z komentarzem do „Uczty” Platona napisanym przez florenckiego filozofa Marsile Ficina około 1468 roku i przetłumaczonym na francuski przez Symphorien Champiera w „Livre de vraye amour”; opublikowanym w Lyonie w 1503 roku. Zgodnie z tym tekstem, człowiek ma do dyspozycji sześć środków do osiągnięcia piękna: pięć zmysłów i "entendement" (łac. mens). [6] Szósty gobelin



stanowiłyby zatem reprezentację wyboru drogi rozwoju umysłowego czy duchowego służącego poznaniu piękna, prawdy, dobra – które są jedynymi słusznymi przedmiotami pragnień. Inna przywołana przez nią hipoteza zawarta jest w pracy J.P. Boudet (1999), który, ze swojej strony, opiera się na hierarchii zmysłów, zaproponowanej przez średniowieczne bestiariusze, a przede wszystkim na pracy Jeana Gersona (1363-1429), kanclerza Uniwersytetu Paryskiego na początku XV wieku. Ten ostatni w kilku kazaniach i w „Moralité du cœur et des cinq sens” „Moralność serca i pięciu zmysłów” przedstawia sześć zmysłów, pięć zewnętrznych i jeden wewnętrzny, którym jest serce. Jako szósty zmysł byłoby ono tutaj powołane, jego zdaniem, do kierowania pozostałymi pięcioma. Należy jednak pamiętać, że myśl średniowieczna dopuszczała wiele znaczeń. Alegoria zmysłów posiadała zatem również inne bardziej ziemskie i doczesne konotacje. Ogród, który podziwiamy na wszystkich gobelinach jawiłby się jako ogród rozkoszy i miłości, a jednorożec posiadałby dwa wykluczające znaczenia – byłby zarówno symbolem czystości jak i męskiej energii seksualnej. W takim kontekście przesłanie całej serii byłoby równie dwuznaczne – odnosząc się zarówno do spraw związanych z poszukiwaniem wartości moralnych, poznawczych, metafizycznych, ale również typowo ziemskich dotyczących relacji międzyludzkich, w tym przypadku zapewne odnoszących się do obyczajów kultywowanych w naszym społeczeństwie jak ślub czy zaręczyny. J.P. Boudet (2000) pisał również, iż, ta świecka interpretacja, każe nam na nowo przyglądać się napisowi widocznemu na zwieńczeniu wejścia do namiotu w naszej szóstej tapiserii. Na pierwszy rzut oka widzimy inskrypcję „À mon seul désir” – oznaczającą w tłumaczeniu ni mniej, ni więcej, ale „Wedle mego jedynego pragnienia”. Jeżeli jednak przyjrzymy się uważniej zobaczymy, że po literze „À” następuje kropka. Kropka występuje również po słowie „Désire” po niej następuje natomiast nieco przysłonięta pionowa kreska najprawdopodobniej litera I. *A.MON SEUL DÉSIRE.I* Napis można zatem odczytać jako opatrzony inicjałami, co zmienia w zależności od przyjętych założeń jego znaczenie. *A mon seul desire*, czyli pewna „A” byłaby tu jedynym przedmiotem pożądania dla pewnego „I”. Kropki zatem wiodą nas ku znaczeniu ziemskiemu, natomiast inskrypcja odczytywana bez nich utrzymywałaby swoje znaczenie odnoszące się poprzez umysł czy serce do pozazmysłowego świata trwałych wartości.[7]

W 1987 roku francuski filozof Michel Serres w swojej książce „Les cinq sens-philosophie des corps mêlés”, czyli „Pięć zmysłów – filozofia ciał zmieszanych” wykorzystuje tę serię gobelinów jako pretekst do zilustrowania własnych, niezwykle oryginalnych pomysłów filozoficznych. Należy nadmienić, iż filozof ten pisze językiem o bogatej ornamentyce, pełnym metafor, niezwykle zabiegów stylistycznych, w którym słowa pozostają w ciągłym ruchu niejednokrotnie zmieniając swoje znaczenia. Jest to jednak język niezwykle liryczny i piękny. Poprzez zdolność do łączenia w nim nawet odległych wątków, omawiana seria gobelinów staje się tu podstawą rozważań nad ciałem oraz jego relacjami ze światem[8]. Na każdym z nich widzimy, jak nadmieniliśmy, wyspę, niczym scenę, na której odnajdujemy atrybuty danego zmysłu: lustro, wianek kwiatów, instrument, cukierek (co istotne, jak zobaczymy, jedynie dotyk nie posiada takowego). Serres pisze o relacji owych wysp do tła tapiserii przyrównując je właśnie do wspomnianych związków ciała i świata. Jego zdaniem owe owalne ciemniejsze wyspy wyłaniają się z drugiego planu dzięki temu, że występuje na nich większe zagęszczenie fauny i flory – jest tu jednorożec i lew, krzewy różane, drzewa, króliki, lisy ptaki, gepardy, słowem cała menażeria, występuje ona jednak również na tle, lecz w mniejszym stopniu. Wyspy utkane z tej samej materii co tło, stają się w wizji Serresa skórą, od której odróżniają się właśnie poprzez to skoncentrowanie – rozumiane są teraz jako narządy zmysłu, fałda na skórze. Jednakże, aby skóra stała się podmiotem dla dotyku konieczny jest, jego zdaniem, właśnie szósty zmysł.

Pisze on:

„Cały opis odnosi się do gobelinu lub ciała, obojętnie. Każdy wyspowy narząd zmysłu tworzy gęstą osobliwość na rozrzedzonej równinie skórnej. Wyspa jest utkana z tej samej tkaniny, co tło, każdy narząd zmysłu umieszczony w tej samej skórze, która go otacza. Zmysł wewnętrzny okrywa się swoim namiotem, nową zasłoną, nowym płótnem, tym samym dywanem i tą samą skórą, zmysł wewnętrzny okrywa się skórą”[9].

Przeanalizujmy teraz bardziej szczegółowo, jakie znaczenie według Serresa kryje się za tajemniczym szóstym zmysłem reprezentowanym przez ów osobliwy gobelin. Francuski filozof odwołuje się tu do założeń średniowiecznej myśli scholastycznej, która dzieli nasze *sensorium* na zewnętrzne



i wewnętrzne. Zewnętrzne pozwala nam czuć zapach kwiatów, oglądać swoje odbicie w lustrze, słyszeć muzykę itp. Natomiast, aby móc odczuć samego siebie, ciało musi być zdolne zwrócić się ku sobie: „musi istnieć szósta wyspa, podwójnie zamknięta wyspa dla samego ciała”, podczas gdy pozostałe wyspy stanowią miejsca kontaktu ze światem zewnętrznym. Możemy zatem przyjąć, że mieszczący się na niej namiot reprezentuje wnętrze – *sensus communis* dla pozostałych pięciu zmysłów. Serres zwraca uwagę, iż szczególnie miejsce pośród nich zdaje się dzierżyć dotyk. Jako jedyny nie posiada on, jak już wspomnieliśmy swojego atrybutu, zdaje się bowiem leżeć u podstaw każdego ze zmysłów zewnętrznych (każdy zmysł nas w pewien sposób dotyka) a razem najbliżej zmysłu wewnętrznego, dla którego otoczkę, schronienie stanowi skóra, płachta namiotu.[10]

„Dotyk zdaje się brać górę, łączy się ze zmysłem wspólnym, sumą pięciu pierwszych, tka namiot. Sam już z siebie nie wymagał narzędzia ani konkretnego przedmiotu, lustro czy odbicia, ani kwiatu, ani słodyczy”[11]

Równocześnie możemy spostrzec, pisze Serres, że na omawianym gobelinie lew i jednorożec unoszą zasłonę, która teraz może być rozumiana jako próg pomiędzy światem zewnętrznym a wewnętrznym.[12] To właśnie dotyk, zdaniem Serresa, wspólny mianownik dla czterech zmysłów zewnętrznych ustanawia tę barierę, pozostając zawsze na pograniczu otwartości i zamknięcia, poznania i tajemnicy,

zewnątrza i wnętrza. Dotyk, jak twierdzi, chroni zmysł wewnętrzny, zaczyna go konstruować a zatem rysuje kształt ciała, zamyka go w sobie, tworzy kontur, formę, tożsamość będąc równocześnie narzędziem granicy, uwięzienia, ale też organizacji. Tę ograniczającą, a zarazem organizującą lub wręcz kontrolującą, funkcję dotyku przywołuje Serres zwracając uwagę na obrozę małpy, pas lwa i jednorożca. [13] Nasza dama zamyka się więc w tak rozumianym dotyku opuszczając pole percepcji, by wejść w zmysł wewnętrzny jedyny z sześciu, który, jak pisze Serres, zdolny jest przemówić. Przywołajmy ten niezwykle fragment:

„Zostawiam moje klejnoty, te, które nosiło moje ciało (...). Noszę je i zamykam w kasecie, żałuję ich. Tęsknię za utraconym światem, utraconym rajem, wyspą między dwoma morzami, gdzie zmysły mieniły się jak jezioro klejnotów. Teraz mówię i chowam się pod namiotem języka lub pisma, to tabernakulum zamyka się, jego drzwi opuszczają się, mieszkam teraz w więzieniu mojego języka i trumna się zamyka. Wycofane pod zasłony z języków ognia i pod koronę zapisanego kartusza ciało, które opuściło świat, opłakuje go kobieta, która porzuca swoje klejnoty, żałuje ich, piękno pięciu zmysłów leży w czarnym pudełku, podczas gdy my śpimy pod niebieską zasłoną wygrawerowaną ogniem”[14]

Po wejściu w przestrzeń owego namiotu, okazuje się, że pozostałe zmysły są nieme. Nie da się pisać dotykiem ani innym zmysłem, nie istnieje język zdolny napisać rzeczy,



dźwięki kształty. Nie da się nic powiedzieć o świecie sprzed pojawienia się języka. Język natomiast jak pisze francuski profesor pochodzi właśnie ze zmysłu wewnętrznego:

„Nie mogę napisać ani powiedzieć o serii pięciu gobelinów, ponieważ jeśli mówię lub piszę, mówię tylko o szóstym”[15]

Dotyk to więc ostatni moment zanim zmysły zostaną przemienione w mowę, a „À mon seul désir”, to pierwsze zdanie, które sprawia, iż na bok odkładamy klejnoty świata doczesnego – zmysły zamykają się w czarnej skrzynce – milczą. Zamieszkujemy tabernakulum języka, nigdy nie widząc, nie znając ani nie rozumiejąc gobelinu z Cluny. Możemy go jednak odczuć a tak rozumiany dotyk staje się, zdaniem Serresa, zmysłowym *cogito*:

„Oto pierwsze *cogito*, bardziej ukryte, lecz lepiej wyeksponowane od *cogito*, które myśli: czuje, odczułem; widziałem, słyszałem, skosztowałem, czułem zapach; zamykam się w moim płonącym językami pawilonie ze skóry; mówię o sobie, o mojej samotności i nostalgii za utraconymi zmysłami, oplakuję utracony raj, żałuję utraty tego, czemu się oddałem lub co zostało mi dane.”[16]

Pozostajemy zatem w mowie, lecz szukamy tajemniczego eliksiru jednorożca, narkotyku zdolnego uwolnić nas z jej okowów, staramy się uczynić pismo bardziej elastycznym, aby mogło doprowadzić nas do miejsc, w których naprawdę czujemy, a nie tylko rozumiemy i analizujemy – język i dotyk łączą się wtedy w owo *cogito sensorialis* – stając się, jak pisze Michel Serres tatuażem.

Bibliografia:

1. Platon, *Dialogi* t.I, t.2, tłum. Władysław Witwicki, Kęty 2005
2. Arystoteles, *Metafizyka*, tłum. Kazimierz Leśniak, Warszawa 2009
3. Michel Serres, *Les cinq sens-Philosophie des corps mêlés*, Paris 1985
4. Anne Crahay, *Michel Serres La mutation du Cogito Genèse du Transcendental Objectif*, Bruxelles 1988
5. Józef Lipiec, *Filozofia Miłości*, Kraków 2016
6. Alain Erlande-Brandenburg, *La Dame à la licorne*, Paris 1989
7. Élisabeth Taburet-Delahaye, *La Dame à la licorne*, Paris 2007

Przypisy:

- [1] Michel Serres, *Les cinq sens - philosophie des corps mêlés*, Paris 1985, s. 57
- [2] Por. Alain Erlande-Brandenburg, *La Dame à la licorne*, Paris 1989, Élisabeth Taburet-Delahaye, *La Dame à la licorne*, Paris 2007
- [3] Por. op.cit. Alain Erlande-Brandenburg, s.69
- [4] Por. op.cit. Élisabeth Taburet-Delahaye s.45
- [5] Por. op.cit. Alain Erlande-Brandenburg, s.70
- [6] Por. p.cit. Élisabeth Taburet-Delahaye s.47
- [7] Por. Ibidem s. 48
- [8] Por. Michel Serres, *Les cinq sens-Philosophie des corps mêlés*, Paris 1985 s.53
- [9] Ibidem tłum. autor
- [10] Ibidem
- [11] Ibidem.
- [12] Ibidem s.54
- [13] Ibidem. s..55
- [14] Ibidem s.57
- [15] Ibidem s.58
- [16] Ibidem s.57 chroniące

HALINA POŚWIATOWSKA

WIERSZE

chcę pisać o tobie
twoim imieniem wesprzeć skrzywiony
płot
zmarzłą czereśnię
o twoich ustach
składać strofy wygięte
otwoich rzęsach kłamać że ciemne
chcę
wplątać palce w twoje włosy
znaleźć wgłębienie w szyi
gdzie stłumionym szeptem
serce zaprzecza ustom
chcę
twoje imię z gwiazdami zmieszać
z krwią
być w tobie
nie być z tobą
zniknąć
jak kropla deszczu którą wchłonęła noc

Kiedy umrę, kochanie
gdy się ze słońcem rozstanę
i będę długim przedmiotem, raczej
smutnym

czy mnie wtedy przygarniesz
ramionami ogarniesz
i naprawisz co popsuł los okrutny

czasem myślę o tobie
czasem piszę do ciebie
głupie listy, w nich miłość i uśmiech

potem w piecu je chowam
płomień skacze po słowach
nim spokojnie w popiele nie uśnie

patrząc w płomień, kochanie
myślę, co też się stanie
z moim sercem miłości głodnym

ty nie pozwól przecież
żebym umarła w świecie
który ciemny jest i który jest chłodny

Ja jeszcze ciągle czekam na ciebie
a ty nie przychodzisz
a jeśli
to jesteś przejazdem na dwa dni
jak ten fizyk z Moskwy w niemodnym
kapeluszu
który usmiechnął się do mnie
i zniknął na zakręcie białych szyn
nie próbowałam go zatrzymać
wiedziałam przecież
że to nie ty

czekam czekam wytrwale
tak lekko dotykają mnie dni
moja tęsknota jest tęsknotą planet
zmarzłych tęskniących do słońca
a ty jesteś słońcem
które pozwala mi żyć
jest znowu wieczór
na dachach leży śnieg
wąskie wieże kościołów nakłuwają
niebo
i dni tak lekko biegną nie wiadomo
gdzie noc

Bądź przy mnie blisko,
bo tylko wtedy
nie jest mi zimno.

Chłód wieje z przestrzeni.

Kiedy pomyślę
jaka ona duża
a jaka ja.

To mi trzeba
twoich dwóch ramion zamkniętych
dwóch promieni wszechświata.

MAREK SOŁTYSIK



NOCE MOJEJ MATKI

Kiedy cię uderzą, nie nadstawiaj drugiego policzka. Nie nadstawiałeś pierwszego. Zostałeś podstępnie zaatakowany. Zwabiony i pobity. W biały dzień, wśród nieznanym.

Czy zresztą (początki manii prześladowczej) byli to nieznanymi? „Nie noszę widoku człowieka, który się przewraca” – powiedziała moja matka (a powtarzała to przy okazji rozmaitych konfiguracji zdarzeń, niekoniecznie przystających do tej refleksji, może nie obsesyjnie, ale często) i wtedy Zofipolski, utalentowany twórca, wymierzył jej policzek. Ubrała się natychmiast i, zostawiając mnie w towarzystwie Zofipolskiego, wyszła ze swojego mieszkania. Zofipolski znalazł się w ten sposób w obcym mieszkaniu. Po raz pierwszy (a nie ostatni) widziałem wtedy, jak masywny mężczyzna płacze. Złapałem i pokręciłem w prawo klamkę okna na naszym wysokim piętrze, zrobiło mi się bowiem niedobrze, chciałem się jakoś wydostać z wnętrza rozdygotanego od energii słabości, zawstydenia i uciskającego bólu, pochłaniającej winnych, niewinnych, zaangażowanych, odstających. Może nawet najwyczerpaniej zamierzałem przewietrzyć. Dostoczył do mnie natychmiast. Jego łyzy wyglądały jak prawdziwe. Odepchnął mnie od okna.

– Czego?! – ryknąłem spod ściany.

– Wymagasz opieki – powiadomił i poszedł spokojnie do łazienki. Był to człowiek opanowany. Nadmiar wyobraźni i intuicji wyładowywał na sobie. Nie mógłby żyć długo. Stałby się potwornym starcem, zabijającym wzrokiem. Bo na pewno nie pierdzącym bez uprzedzenia. Dicti.

Przemoc, jej przypomnienie. Wyszło na jaw po mojej wizycie w obrzydliwym miejscu, w nowo postawionym biurowcu – bez śladu wyrazu, nawet bez śladu weń wpakowanych pieniędzy – na peryferiach miasta, gdzie kiedyś były (jeszcze pamiętam) żywe malownicze ogrody, zaradne, rzekłbym, gospodarskie zabudowania i, do cholery, inne niebo! Teraz blacha, cement, plastik i wieczorem jaskrawe trupie światło halogenów strzegących dóbr na parkingach. Samochody. Ani śladu po najmizerniejszym drzewku. Kupa ludzi z kupą forsy i z kieszeniami, których strzeże kupa. Krajobraz śmierci, jej własność.

Muszę to wszystko jakoś przedstawić, zanim zabraknie mi sił. Ludzie odchodzą – w milczeniu o swoim życiu. Czy są aż tak dyskretni, czy leniwi? A może zdają sobie sprawę, że nie potrafią. To akurat cenna świadomość, rzadkość w czasach przekwalifikowań. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu było jasne: Nie umiesz – nie zabieraj się do tego, bo zepsujesz, zniszczysz! Dziś już przedszkolaki wrzeszczą: – „Ja umiem! Ja umiem! Ja umiem!”. Od 1990 podrosli. Psują świat. Zachęceni przez starych. Dziadygi obieżyświaty jako przedszkolanki wraz z ciotkami rewolucji prowadzą tę koszmarną ochronkę. Każą się nazywać obywatelami świata, te kobiety nazywają od przypadku do przypadku pierwszymi damami, mają dwór składający się z samych

smutnych błaznów. Niekiedy dla zabawy polują na takich jak na przykład Zofipolski.

Zofipolski był ich w pewnym stopniu tworem, w pełnym zaś tego słowa znaczeniu – zabawką. Oraz ofiarą. Pozostanie dla mnie tajemnicą, w którym momencie to sobie uświadomił.

Sny, w których ekipy najemników burzą, rozłupując cegła po cegle, dom stojący naprzeciw okna mojej sypialni. Sny, w których moja matka, ciemna szatynka, ma włosy ufarbowane na blond. Śniłem po jednym z obrzydliwych dni w moim życiu. Należę do tych, którzy przeżywają takie dni. W odróżnieniu od tych, którzy nie są w stanie przeżyć masy przemocy i niepewności, i umierają na serce, oraz do tych, którym los oszczędza takich upiornych dni. Zasypiam potem i raz po raz budzę się – a jestem budzony własnym krzykiem. A ten krzyk odczuwam nie jako swój; mam błędne wrażenie, że on pochodzi wprawdzie z mojego wnętrza, ale ktoś mi go wsadził bez mojej woli, bez mojej wiedzy. Gwałt.

Mężczyźni lgnęli do mojej matki. Czy była piękną kobietą? Wydawała się zgrabna, miała najładniejszą skórę (to w niej niepowtarzalne, ta skóra musiała mieć specjalny zapach, bo jeszcze bez żadnego dotknięcia przyciągała), no i oczy. Tak jasnej, a zarazem intensywnej zieleni nie ma w naturze. Tego rodzaju świetlistej przejrzystości nie uzyskał, jak mi się zdaje, żaden malarz. Jej oczy mówiły: weź mnie, wystarczy, że mnie weźmiesz w ramiona, będzie święto; jestem ci oddana już teraz, a czy to lubię – dowiesz się – tu nie wolno się zastanawiać. Skąd wiem, że aż tak to mogli odbierać? Nie muszę się przyznawać – Zofipolski uświadomił mi, że niczego nie muszę. Skoro tak jest, odpędzam strach. Ponieważ ślepnę, częściej zamykam powieki. Mam teraz więcej wolnego czasu; wewnątrz, bez udziału oczu – choć oczy kiedyś miały ten potężny wpływ – przesuwają mi się obrazy. Gdyby były za bardzo ruchome – szybciej zwariowałbym.

Co mi pozostało? Garsteczka ludzi, do których jeszcze się mogę odezwać (nie zawsze, często im brak humoru albo intensywnie pracują), żałosne próby nawiązania kontaktu z możliwymi tego świata (kiedyś niektórym pomogłem, chyba pamiętają). Oni, jak się może wydawać, stracili umiejętność współodczuwania, patrzą na mnie z perspektywy własnej wyczyszczonej, lśniącej, zapewne i śliskiej, drogi życiowej, której nawierzchnia pieści koła limuzyn takich samych możliwych jak on. Ale też i innych nad miarę zamożnych, którzy się dorobili na krzywdzie biednych. Do nie tak dawna prawy, dla swojej limuzyny, dla jej motoru, powiedzmy, zrobi w końcu nawet najstraszniejsze głupstwo: zwiąże się z tymi, którymi pogardza jednocześnie i których się boi.

Osaczonemu własnymi myślami nie pomoże już nic.

– Czy zauważyłeś, jak mi się przyglądają mężczyźni?

– Zawsze ci się przyglądają. Odkąd sięgam pamięcią.

Siedzieliśmy na tarasie Diego Valmante. Była tam obszerna, rzekłbym, kawiarnia, w której podawano także proste smaczne dania. Zdaje się, że stołowano się tutaj wielu mężczyzn pracujących w okolicznych sklepach i galeriach. Porządne ciemnozielone parasole ochraniały nas od słońca,

z wysoka rzucały na twarze rozproszony, intensywnie butelkowy ton.

– Ale teraz już jestem pomarszczoną staruchą, żyłastą, wiesz – powiedziała.

– Nieprawda, niemożliwe! – rzuciłem szybko; zbyt szybko.

– Mówisz tak, ponieważ się przyzwyczaiłeś i patrzysz już na mnie niestaranie – zaśmiała się bez ironii. – Ale do rzeczy: oni ciągle mi się przyglądają.

– Siła przyciągania nie zależy od wieku.

– Ach, więc jednak mocno się pomyliłam!

– Nic takiego nie powiedziałem. Łapiesz mnie za słówka, które należą do ciebie.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że coś musi we mnie być.

– A ty nie wiesz, co to jest?

– Nie, nie.

– Naprawdę, nie podejmujesz żadnych wysiłków, nie dokładasz starań, żeby...?

– Żeby co?

– Żeby zainteresować. Ich. Sobą. No i?

– Jeżeli na przykład już rozmawiam, to co innego.

W rozmowie oddają się całkowicie sobie i rozmówcy. Wtedy rzeczywiście się staram. Jak kiedyś w szkole. (Miałem wrażenie, że słyszę chichot). Poza tym nigdy.

– Musisz mieć coś takiego, co oni wyczuwają na odległość. Komar.

– Co?

– Komar podobno leci przez kilka kilometrów do tej, a nie innej ofiary, której krew będzie wysysał. Przepraszam cię, mamusiu.

Zupełnie teraz nie rozumiem, jak mogłem odbywać z matką takie rozmowy.

Byłem przyzwyczajony do ich nocnych wizyt w naszym przytulnym mieszkaniu; wtedy nie można było sobie wyobrazić mężczyzny, który by nie palił papierosów – a jeżeli nawet palił mało, to palił zawsze, by tak rzec, w buduarze. Cierpiałem na astmę, często wysyłano mnie do sanatorium – ale dziwnie nie przeszkadzał mi ten łagodny, dobiegający zza drugich drzwi, zapach najprzedniejszego spalanego tytoniu. Uspokajał, niósł na ciągłej fali. Mężczyźni byli jak na tamte czasy wytworni, raczej zębów by im brakowało, nie pieniędzy, sięgali po te najdroższe papierosy: Belwedery, Wawele, Syreny, a jeśli ktoś wolał ostrzejsze – to Grunwaldy. Wszystkie w tekturowych pudełeczkach. A głosy? Dochodziły słabo. Na drzwiach pokoju matki wisiało od niepamiętnych czasów futro, podobno ze srebrnych lisów. I to wyciszało dźwięki. Obserwowałem, czytałem – mechanicznie, raczej dla popisania się przed samym sobą znajomością pochłaniania zadrukowanych stron niż dla zrozumienia – nowości wydawnicze, które przynosili panowie. Poznawałem ich – po chodzie, po chrząkaniu, po co?! – już na

klatce schodowej. Otwiera się na dole brama (wtedy nie było domofonów) z jedynym w swoim rodzaju piskiem, zamyka się ze szczęką, te dźwięki niczego innego nie przywoływały na myśl poza tym, czym były, nie można się było pomylić – i do kamienicy, tak a nie inaczej odbudowanej dzięki planom i staraniom mojego ojca nieboszczyka, wchodził w środę dyrektor P., w czwartek muzyk C., w piątek redaktor Sz., w soboty i niedziele (dość rodzinne) zazwyczaj siedziałem z matką, która mogła się zajmować gotowaniem czegoś domowego (w inne dni przynosiła różne tam takie dania z redakcyjnego bufetu, albo – potem to już weszło w zwyczaj – po szkole pojawiałem się w tamtym bufecie; lepiej smakowało niż odgrzewane, no i można było patrzeć, jak jedzą ludzie oglądani w Polskiej Kronice Filmowej, zawsze świeżej i zawsze wyświetlanej przed właściwym filmem (coraz częściej poprzedzanym krótkometrażówką). Z kina wychodziło się z uczuciem sytości. Czułem, że dogadzają mi. W końcu kino to coś, na co trzeba było sobie zasłużyć. Mimo pozorów i mimo sprzyjających temu warunków nie byłem pozostawiony na łaskę losu. Raz w tygodniu chodziłem z matką na pływalnię, do pewnego momentu – do czego wrócić – raz na trzy tygodnie dostawałem na fryzjera, musiałem wyglądać jak człowiek, a codziennie (prócz sobót) mama sprawdzała, czy mam odrobione wszystkie zadania. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że nie wylewając za kołnierz tych lepszych trunków, które przynosili panowie, wszystko, co dotyczyło mnie, miała pod kontrolą. Bez śladu nachalności, ale zorientowana, o który guzik chodzi, przyszywała go, trudno powiedzieć kiedy, i jakim cudem, w oparach dymu tytoniowego, koniaku, kawy i przekąski z wyczuwalną nutą marynaty, sosu tatarskiego, zimnych mięs i cebulki. Spałem w najlepsze, gdy następował cud. Kiedyś sprawdziłem przez przypadek. Ten mężczyzna także już spał.

Był rozwalony na szerokim tapczanie matki (od tej pory przestałem ten sprzęt tak nazywać), miał kwadratową szczękę, siną pustkę rozwartych szeroko ust i zaczesane do góry, siwujące na razie tylko na skroniach włosy, szare, proste, twarde chyba tylko z pozoru, rozsypywały się bowiem na boki. Biała pościel, możliwe, że już nawet nie pierwszej czystości, tego faceta czarny garnitur starannie rozwieszony na dwóch krzesłach, bielsza nad śnieg koszula z pasemkami świeżego potu i naleciałego nań kurzu – czyli już brudu – na wewnętrznej części kołnierzyka. Śmierdziało wygasłymi papierosami, popiołem z tytoniu, papieru, kleju i farby drukarskiej, i czymś jeszcze. O! Przyplływ nad morzem, kiedy na plaży pojawiał się morszczyn. I nagle – buch, pach! – padlina. I krem do opalania. Teraz, tu, w pokoju mojej matki, pachniał, nagrany słońcem. I wygarbowana skóra. Matka się myła – dochodziły do mnie odgłosy takiego szybciutkiego prysznicu. Trochę tylko skrapiała się wodą. Wystarczyło. Robiła wrażenie schludnej i obłudnie świeżej. Miałem pewność, że dużo dobrego bierze ona dla siebie z tych chłopów! Nawet z takiego jak ten – który teraz leży jak martwy – słowiańskiego Holofernesa.

Tak, z albumów o sztuce, które do nas do domu przynosili, nie przepuściłem ani jednej reprodukcji. Najbardziej, już od małego, zaciekał mnie motyw Judyty z głową Holofernesa,

pól rozebranej, za-do-wo-lo-nej. Będę kiedyś malował. I wiem co, wiem kogo namaluję. Druga rzecz – ale to już mną wstrząsnęło – do strasznego bólu – odchorowałem – przyplątała się dyfteryt – to była Umarła matka Edvarda Muncha. Zupełnie dziki, najprawdziwszy i straszny obraz. Nic z bezczelności. Ale jest uderzenie gorąca, które może paraliżować. Wiesz, dziewczynka zwrócona do mnie, ręce splątane na karku, w najświętszej (zostanie świętą) rozpacz; w tle tej samotności między nimi łóżko, jakieś łóżko matki, pościel ostatniej świeżości i ptasi profil tak pięknej i ciepłej jeszcze niedawno kobiety. Srał pies rysunek i dbałość o subtelne zestawienia kolorystyczne; twarde słowa i majstersztyk siności i ugrów – bez myślenia o cudach warsztatu. Zagarnął mnie Munch tym skromnym obrazem. Potem Madonna, różne wersje uświęconej jakiejś grzesznicy. Pięknej modelki, idealnie dopasowanej do formy wyobraźni malarza. Ale to już zupełny pół-obłęd, nad którym musiałem przejść do porządku dziennego, żeby nie zwariować. Madonna Muncha, czy olejna, czy odbita z kamienia litograficznego, zawsze miała twarz, małe piersi mojej matki. To tak. Madonna Muncha stała się powodem mojego całkowitego odsunięcia się od kobiet. Madonna była moim ideałem (z erotyką, seksualnością, a przede wszystkim chodziło o wyraz), Munch zza grobu wyjaśnił mi, że ideał skupił się – w całości – na mojej matce. Matka – święta, zwłaszcza dla takiego syna jak ja (niemal znalezionej w kapuście), a przecież nie może chodzić po świecie kopia mojej matki. W oszołomieniu nie wziąłem pod uwagę faktu, że Munch dał mi szansę: namalował i narysował kilkanaście wersji Madonny.

A może matka myślała tak: „Nie jest głupim chłopakiem, toteż choć bardziej z niego obserwator niż analityk, musi się zastanawiać, jak ja na przykład wyglądam w nocy. Z jednym z moich gości, a może ze wszystkimi?! Co on sobie myśli. Do jakiego punktu dochodzi? Skończył już dziesięć lat”.

Czy zaczynała się obawiać? Nie trzeba było. Podczas Sylwestra 1961, po obejrzeniu w polskiej telewizji świątecznej rewii (z elementami przedwojennego kabaretu, z wystawnością, przy której wysiada wodewil, ze świetnymi aktorkami w podniecających, ale nie wyzywających kostiumach), kiedy byłem w mieszkaniu sam, już w łóżku, w ciemnościach (za oknem tylko jakiś neon mrugał, ale niedenerwująco, bezpiecznie, z za story), no i przecież w ciepłe, miałem może nie te, co tak je Władysław Strzemiński nazwał, powidoki, ale realistyczne wizje młodej, prawie nagiej kobiety; w jej pępku była biżuteria. Jakim sposobem została tam umocowana, myślałem gorączkowo, ale bez popłochu. Mały diamencik? Tańczyła. Nigdy wcześniej czegoś tak ekscytującego mnie nie widziałem. I miałem przekonanie, że czegoś, co tak dziwnie i błogo odurza, i ponadto orzeźwia, nie zobaczę, na przeżyję wcześniej jak na następnego Sylwestra. Multiplikowała mi się (leżącemu w łóżku) ta kobieta z pępkiem. Jeszcze raz, jeszcze i jeszcze raz – w uszach muzyka, którą słyszałem, choć jej teraz nie było. Tańczyła, była muzyka. Miałem po raz pierwszy w życiu wzwód. Niepokojące, podniecające. I wytrysk nasienia. Cud!

W kilka miesięcy później się dowiedziałem, że to nie cud, lecz rozkosz. Przeżyłem więc rozkosz i co dalej? Niepokoiły mnie wyczyny matki. Często dochodziłem w myślach do sceny, gdy

ten czy inny mężczyzna wpycha się na nią, wyrywa jej kości, maltretuje tkanki, zatrzymuje bieg krwi w żyłach, włazi, szuka... Nie dochodziłem do momentu „trafia”, zdziwiony przekonałem się, że matka była dla mnie świętością. Zaglądałem do kościoła, gapiłem się, słuchałem muzyki organowej, nie znosiłem źle śpiewanych pieśni nabożnych (kojarzyły mi się z brudem i z nieświeżym oddechem), ale szanowałem każdą reprodukcję ze świętym obrazkiem. Te kartoniki, przynoszone przez księdza, którego się w domu przyjmowało raz w roku, służyły mi jako zakładki. Dbałem, żeby nie zagiął się róg, uważałem, by nie kichnąć na reprodukcję. Nie profanować! Z tego samego pnia zasad: nie wtrącać się do spraw najbliższych. Tajemnicze, powinny się spokojnie otaczać kolejnymi warstwami tajemnicy – pajęczyna na pajęczynie. Miętko, coraz bardziej miętko. No i potem cenna materia, nie do zdarcia.

Spytam ją kiedyś, ja na pewno spytam ją kiedyś – myślałem zasypiając. Zdarzało mi się to coraz częściej, a skończyło się w pierwszych dniach pobytu, a raczej bywania u nas Zofipolskiego. Miałem wrażenie, że matkę połączyło z nim wreszcie jakieś autentyczne uczucie, zdawało mi się, że wręcz słyszę dźwięk stykania się dwóch szlachetnych kruszców, było oczywiste, że od jesiennego zgniłozielonego dnia (nawet powietrze zdawało mi się wtedy zielonkawe) nie pojawi się w tym domu już żaden inny mężczyzna. Ale jak ona to zrobiła, że tamci poszli w kąt? Co się stało? Czy ten jeden, ten Zofipolski, już za pierwszym razem zmył skutecznie pot i inne wydzieliny tych wszystkich mężczyzn, których zady, czy to w garniturze, nagie, czy w gaciach, niekiedy prane lub przynajmniej układane w bieliźniarkach przez jakieś żony, przetaczały się przez maminią sypialnię?

* * *

Ludzie, którzy przeżyli za dużo złego, mówią: „Nic nie zostało mi oszczędzone”. Swoją drogą – skąd znają ten zwrot? Posługują się nim od ręki. Tak jak dziś młodzi, na których system zastawił pułapkę, tłumaczą się przed schludnymi, spokojnymi, uważnymi, wygadnymi, uprzejmymi ludźmi ze Straży Miejskiej, swoimi rówieśnikami: „Nie mam pomysłu na życie”. Skąd znają ten zwrot? Ze środków masowego przekazu, z poradni psychologicznych? Wściekła bezradność – brak pomysłu

A ja co? Niczego mi nie brakowało. Żyłem za młodu w umiarkowanym cieple, spałem, kiedy sobie tego życzyłem i nikt nie zakłócał mi ani snu, ani zainteresowania własnym ciałem. Źródła wiedzy były z pokoju matki i wylewały się strumykami, tworząc rzeki książek, które nagle zmieniły bieg i stanęły, i ogarniały od góry do dołu cztery metry od podłogi po sufit. Książki, książki, miałem w okresie, kiedy się we mnie otwarło okno na wiedzę, jak na kryształowe powietrze: takie dwa lata, kiedy z tapczanu do biurka (po ojcu) mogłem się dostać tylko wąską ścieżyną wytyczoną na parkiecie w miejscach, gdzie nie sięgały książki. Kiedy tak szedłem, a trzeba było niemal biec, żeby nie zawadzić o starannie oprawne tomy, woluminy szeleściły, broszury się kołysały cierpliwie, wprawa chroniła mnie i księgozbiór przed zniweczeniem tego porządku,

zmuszała do uzupełniania zaniedbanych tymczasem ćwiczeń fizycznych. (Wiosłowanie, pływanie, z elementami tańca). Nikt nie ingerował w moje ćwiczenia. Moi rówieśnicy z elitarnego liceum robili rzeczy ciekawsze i w domu im tego nikt nie miał za złe. Matka była spokojna, że nie wpadnie mi do głowy, żeby pokój przemałowac na czarno, jak to zrobił Jasio Wolff, nie dałbym rady, musiałby mi najpierw ktoś uprzątnąć cały ten mój warsztat na podłodze. I na parapecie. Bez mojej wiedzy – nigdy. Sam nie tknąłbym książek i czasopism. Matka wiedziała, że ten układ ma sens. Sama zresztą była zajęta swoją chorobą.

Dwadzieścia lat po drugiej wojnie to był czas, kiedy higienicznie żyjący ludzie w miastach nagle zaczęli poważnie chorować.

Medycyna – jak na ironię – święciła wtedy triumfy. Szpitale były coraz lepiej wyposażone, zwłaszcza wielkomiejskie, a już najbardziej te, w których leczono ludzi związanych z kulturą, w dodatku zbliżonych do sfer rządowych. Pojawiły się antybiotyki. Jeżeli jakieś nowe, „rewelacyjne” nie były jeszcze powszechnie dostępne, nie istniał problem dostarczenia ich dla wybranych. Ówczesni głośni opozycjoniści (nieliczni i bardzo przez władze szanowani, w odróżnieniu od sprawiedliwych, „bez nazwisk”, z którymi nikt się nie liczył!) nie mieli problemów ze zdobywaniem antybiotyków, sulfamidów, modnych specyfików nasercowych, świetnych preparatów krwiotwórczych; dzięki swoim kontaktom ze zgniłym Zachodem byli nawet w stanie pomagać swoim przeciwnikom – pożałuj Boże – politycznym. Na palcach rąk można było zliczyć intelektualistów (i w to należy włączyć twórców), którzy mieli pojęcie o politycznych matactwach. Kto starał się być na bieżąco, tracił czas i nerwy na słuchanie Wolnej Europy i Głosu Ameryki, rozgłośni zagłuszanych, ale zarazem słyszalnych. Dziś, pod koniec życia, dowiaduję się – bez satysfakcji, ze smutkiem – że w tych rozgłosniach, z których wytryskały fontanny całej prawdy, pracowali również ludzie poszlakowani. Głównie ci, którzy się przepychali na antenę. (Znajomy głos – głosem przebierańca).

Pan o inicjałach WT okazał się TW. Iluz to do mojej matki przybywało TW! Gdyby dotrwała do listy Wildsteina, nie przeżyłaby rewelacji. Pękłaby ze śmiechu. Mieć tyle w sobie ciała obcego, ciała wrażego, ciała, ciała!

Fragment powieści Marka Sołtysika, *Bezusydne*

BOLESŁAW FARON



WYSOWA WE MGLE

Święta Bożego Narodzenia spędziłem tradycyjnie wraz z rodziną w domu. Na uroczysty obiad świąteczny została zaproszona zaprzyjaźniona Ukrainka wraz z córką, które od marca 2022 r. przebywają w Polsce. Uciekły z kraju po wybuchu wojny. Pochodzą ze wschodniej Ukrainy. Matka pracuje w jakiejś instytucji na krakowskim Kazimierzu, a córka, która jest informatykiem, zdalnie, w ukraińskim przedsiębiorstwie. Ojcem starszej był Rosjanin. Pozytywnie wyrażają się o gościnności Polaków, są zauroczone Krakowem i Warszawą. Tęsknią za domem, z niecierpliwością czekają końca wojny, by wrócić w swoje strony.

Dość ponura aura nie nastrajała do spacerów po odświętnie udekorowanym Krakowie czy wyjazdów w dalsze okolice Małopolski. Jedynie w drugi dzień świąt niebo nieco przejaśniało. Zapadła więc decyzja: udajmy się na Kopiec Kościuszki. Zwłaszcza że na początku października ub.r. zakończono tam renowację terenu czterech bastionów poaustriackiego fortu „Kościuszkę”. Urządzono tam bardzo interesujący park, w którym można oglądać m.in. zarysy murów dawnych budowli. Ponieważ dziś ruch w parku jest dość duży, odkładamy jego zwiedzanie na inny czas i udajemy się ścieżką w kierunku Sowińca. Mijamy po drodze obiekty użytkowane przez Teatr Bagatela, wokół ścieżki zryta ziemia przez dziki, po lewej stronie drogi zatrzymujemy się przed tablicą informującą o rzeźbie geologicznej wzgórza. Na niej po lewej stronie herb Krakowa, po prawej zdjęcie Kopca Kościuszki. Uwagę naszą zwraca dokonana na nim korekta czarnym flamastrem. W podpisie pod zdjęciem Kopiec Kościuszki zamazano słowo Kościuszki i kaligraficznie napisano Bandery, a biało-czerwoną flagę na szczycie kopca zamieniono na flagę ukraińską. Nie wiem, kto tego czynu dokonał. Czy Polak, czy Ukrainiec? Czy to tylko niesmaczny żart? Czy wyraz przekonań? Zastanawiam się nad tym faktem, gdyż za parę dni udaję się na krótki wypoczynek do położonej w zachodnich partiach Beskidu Niskiego Wysowej Zdroju, która przed drugą wojną światową w przeważającej części zamieszkała była przez ludność łemkowską.

Decyzja o spędzeniu kilku ostatnich dni starego roku, Sylwestra i początku nowego, zapadła za namową przyjaciół kilka tygodni temu. Nie będzie to zresztą pierwszy Sylwester w Beskidzie Niskim. Przed paroma laty wraz z inną grupą znajomych spędziliśmy ten czas w Ropiczy Górnej, miejscowości położonej między Gorlicami a Przełęczą Małastowską, a także w Ośrodku Wypoczynkowo-Szkoleniowym gorlickiego Oddziału Lasów Państwowych w Czarnym „Radocyna”. Podczas tych wyjazdów szczególnie interesowały mnie zachowane i liczne systematycznie restaurowane cmentarze wojenne z I wojny światowej oraz ślady życia na tutejszych ziemiach Łemków: cerkwie, przydrożne krzyże i kapliczki oraz stare rozpadające się gospodarstwa (chyże).

28 grudnia 2024 r. (sobota)

Godz. 11.15. Zaopatrzony w przewodnik *Beskid Niski*, wydany w 2019 r. przez Oficynę Wydawniczą „Rewasz” z Pruszkowa, mapę turystyczną firmy Compass *Beskid Niski* oraz broszurę Antoniego Kroha *Piękne odpoczywanie. Cmentarze wojenne Beskidu Niskiego* (Sądecka Oficyna Wydawnicza, 1991) wsiadam do wysłużonego Subaru XV (ponad 10 lat), wygodnego na warunki górskie i zimowe (napęd na 4 koła i stosunkowo wysokie zawieszenie). W Krakowie mgła. Trasę do Wysowej Zdroju zamierzamy pokonać z przystankiem w Nowym Sączu, w domu Andrzeja Stępniewskiego, wieloletniego lekarza rodzinnego w moim rodzinnym Czarnym Potoku, koło Łącka. Droga spokojna. Najpierw autostrada do Brzeska (A4), potem stara droga wokół Jeziora Czchowskiego i Rożnowskiego do miasta nad Dunajcem i Kamienicą. Od Okocimia do Nowego Sącza słonecznie.

Spotkanie ze starym przyjacielem trwa przez trzy godziny. Rozmowa dotyczy jego pracy w wiejskim ośrodku zdrowia, a także oświaty wiejskiej. Antonina Stępniewska, żona lekarza, była przez wiele lat dyrektorką Szkoły Podstawowej w Czarnym Potoku. Poruszamy też tematy rodzinne, ich córka Beata jest farmaceutką i przez kilka lat pracowała w Skandynawii, w Norwegii i Szwecji. W br. wróciła do kraju. Zamierza podjąć pracę w Krakowie lub w Kielcach. Przy tego typu pogaduszkach czas mija szybko. Toteż w dalszą podróż wyruszamy tuż przed czwartą. Zapada zmrok. Opuszczamy miasto. Na początek pojawiają się płaty białego śniegu, a od Grybowa zima w całej krasie. W Ropie skręcamy w prawo na trasę do przejścia granicznego w Koniecznej. Jedziemy wzdłuż Jeziora Klimkówka, w Uściu Gorlickim skręcamy w prawo. Do Wysowej Zdroju dojeżdżamy o zmroku. Tu zaczyna się problem. Znamy tylko nazwę sanatorium, w którym mamy zarezerwowany pobyt: „Uzdrowisko Wysowa nad Parkiem”. Skręcamy w boczną drogę. Okazuje się, że zajęchaliśmy do Parku Zdrojowego. Napotkani kuracjusze wskazują nam drogę. Okazuje się, że też są tam zakwaterowani. Jedziemy. Znowu pogubiliśmy się. Zatrzymujemy się, by uzyskać informację. Młodzi ludzie, których pytamy o drogę, mówią: przecież to my informowaliśmy państwa na dole, jak dojechać do sanatorium. Mężczyzna wsiada do naszego samochodu i wskazuje nam drogę. Okazuje się, że to tylko kilkaset metrów stąd.

Formalności w recepcji trwają krótko. Koszt pobytu za dwie osoby na pięć dni wynosi 3038 zł. W tym „Sylwestrowa Gala Oskarowa”, wejściówki do Parku Wodnego, jeden zabieg, wyżywienie (trzy posiłki dziennie). Koszt pobytu nie wydaje się wygórowany, jeżeli porównamy go z podawanymi w „Gazecie Wyborczej” pakietami sylwestrowymi na trzy dni w Zakopanem, Szczawnicy czy Krynicy. Podobno pod Tatrami w jednym hotelu rachunek dla czteroosobowej rodziny wynosił za ten czas ponad trzydzieści tysięcy złotych. „Uzdrowiskiem Wysowa nad Parkiem” zarządza Grupa Spółek Instytutu Zdrowia Człowieka z Warszawy.

29 grudnia (niedziela)

Mgła. Temperatura -3°C . W Wysowej zima w pełni. Otaczające wzgórze otula kilkunastocentymetrowa warstwa



Cerkiew w Blechnarce

śniegu. Sąsiadujące z naszym ośrodkiem Sanatorium Biaława, które zbudowano w l. 60 XX w. w kształcie piramidy, górujące nad okolicą, dzisiaj ledwo widoczne, choć odległość do niego to zaledwie kilkaset metrów. Ze względów atmosferycznych zmuszeni jesteśmy zrezygnować z wizyt na cmentarzach wojennych (kopny śnieg, mgła). Postanawiamy zatem odwiedzić pobliskie miejsca kultu religijnego: cmentarze i kościół w Wysowej. Zaczynamy od Blechnarki, niewielkiej wsi 2 km na południe od Wysowej Zdroju. Kiedyś była tu duża wieś, dzisiaj zamieszkuje ją kilkanaście rodzin, głównie łemkowskich. W styczniu 1921 r., zgodnie z ówczesnym spisem ludności było tu 3 rzymskich katolików, 329 grekokatolików i siedmiu Żydów. Po 1931 r. wieś przeszła na prawosławie.

W centrum wsi zatrzymujemy się przed murowaną cerkwią p.w. śś. Kosmy i Damiana. Wybudowana w 1801 r. Obiekt obsługiwany przez mnichów z Wysowej. Dzisiaj zamknięty. W przedsiönku informacja: „Klucze Blechnarka 2”. Przed świątynią granitowy krzyż upamiętniający tysiąclecie chrztu Rusi Kijowskiej. Obok zdewastowany, zaniedbany cmentarz łemkowski. Spod grubej warstwy śniegu wystaje jeden krzyż świadczący, że jest to miejsce pochówku zmarłych. Na ścianie cerkwi umieszczono brązową tablicę z napisem: „Wypędzonym z Łemkowszczyzny w 50. rocznicę akcji „Wisła” (1947–1997)” w językach polskim i łemkowskim. Poniżej tabliczka informująca, że Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego dofinansowało montaż sygnalizacji napadu oraz pożaru. W przedsiönku spotykamy młodą rodzinę, która odwiedza cerkiew. Pochodzą spod Krakowa. Zatrzymali się na parę dni w Blechnarce. Naprzeciwko cerkwi ogrodzone



Stary Dom Zdrojowy Wysowa Zdrój

siedliska krzewu kłokoczka południowa, a dalej rozwalające się dawne gospodarstwo łemkowskie. Smutny widok.

Wracamy do Wysowej. Na północnym skraju miejscowości zatrzymujemy się przed drewnianym kościołem p.w. Najświętszej Marii Panny, wybudowanym w latach 1936–1938 według projektu znanego architekta Zbigniewa Mączyńskiego. Kościół zamknięty. Wchodzimy jedynie do przedsionka, skąd przez oszklone drzwi można zerknąć na tonące w mroku wnętrze. Niedaleko od Uzdrowiska Wysowa, nad parkiem, znajduje się jeszcze jeden obiekt sakralny, a mianowicie niedawno zbudowana nowoczesna kaplica zdrojowa.

Na skrzyżowaniu dróg codziennie przejeżdżamy obok drewnianej cerkwi p.w. św. Michała Archanioła, która powstała pod koniec XVIII w. Przebudowana i powiększona w roku 1910. Dzisiaj również obiekt zamknięty. Widać, że niedawno remontowany. Pozostaje nam zadowolić się informacjami na tablicy przed ogrodzeniem. Dowiadujemy się stąd, że należy ona do zachodniołemkowskich obiektów sakralnych. Polichromia o charakterze neogotyckim z lat 1912–1913. Ikonostas barokowy z XVIII w. Opiekę nad cerkwią sprawują mnisi z klasztoru prawosławnego, który mieści się naprzeciwko obiektu.

Wieczór spędzamy przy grillu w specjalnym obiekcie tuż obok sanatorium. Program standardowy podczas tego typu imprez. Moderator opowiadający dowcipy góralskie, muzyka ludowa, ognisko i gorący poczęstunek.

30 grudnia (poniedziałek)

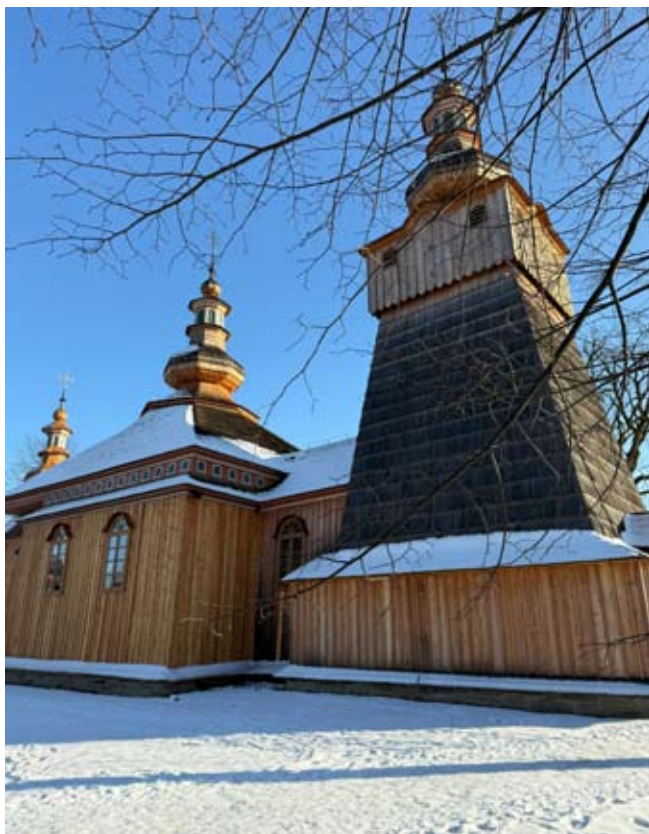
Mgła. Temperatura -4°C . Silny wiatr, który powoduje, że odczuwa się znacznie mocniejsze zimno. Dzisiaj wybieramy się do sąsiadującej z Wysową Hańczowej. To tylko 5 km szosą w kierunku Uścia Gorlickiego i Grybowa. Wieś, podobnie jak dotąd zwiedzane, leży nad rzeką Ropą. Z dostępnych źródeł można się dowiedzieć, że według spisu z 1921 r. żyło w niej 24 rzymskich katolików 685 grekokatolików i 15 Żydów. Podobnie jak okoliczne wsie w latach trzydziestych wieś przeszła na prawosławie. W 1945 r. 15 rodzin dobrowolnie wyjechało do ZSRR, a w 1947 pozostali zostali deportowani na Ziemię Zachodnie w ramach akcji „Wisła”. Po 1956 r. część Łemków powróciła. W 1985 r. odbyła się tutaj III Łemkowska Watra, impreza, która ma obecnie miejsce co roku w Zdyni.

Docieramy do prawosławnej drewnianej cerkwi p.w. Opieki Bogurodzicy. Z informacji przed obiektem dowiadujemy się, że powstała w drugiej połowie XIX

w. i że należy do typowych obiektów zachodniołemkowskich o konstrukcji zrębowej i ścianach pokrytych gontem. Mamy szczęście. Jakaś grupa zamówiła doprowadzenie po świątyni. Zjawia się ksiądz. Ogromnym kluczem otwiera drzwi cerkwi. Okazuje się, że jest tutaj jedynym duchownym, proboszczem parafii, która gromadzi 98 wiernych z 8 wsi. Na pytanie, z jakich środków utrzymuje ten obiekt, odpowiada, że ze świadczeń wiernych, ewentualnie sponsorów. Na dotacje państwowe bardziej mogą liczyć cerkwie użytkowane jako kościoły rzymskokatolickie. Wygląda jak typowy duchowny prawosławny: długie włosy, wypięlgnowana broda. Jest Łemkiem, pochodzi z Florynki. Szczegółowo zaznajamiam nas z polichromią ornamentalno-figuralną oraz ikonostasem, wykonanymi przez Antoniego, Michała i Zygmunta Bogdańskich w XIX w. W prezbiterium zwraca uwagę na barokowy ołtarz główny, a w nawie na dwa ołtarze z ikonami Chrystusa przekazującego klucze św. Piotrowi oraz Opiekunki Bogurodzicy. Omawia po kolei każdą ikonę pomieszczoną w tzw. carskich wrotach. Cerkiew zadbana. Widać za carskimi wrotami rusztowanie. Odbywa się tam zatem konserwacja dzieł sztuki. Przed cerkwią krzyż upamiętniający tysiąclecie chrztu Rusi Kijowskiej.

Jeszcze jedna cerkiew tego dnia. Brunary Wyżne, wieś w dolinie rzeki Białej, między Florynką a Śnietnicą. Od Wysowej około 20 km. Przewodnik po Beskidzie Niskim podaje, że według miejscowej tradycji urodził się tutaj Józef Cyrankiewicz, gdyż jego ojciec, inżynier z Krakowa, pracował przy regulacji rzeki. Zakochał się w córce właściciela tartaku i się z nią ożenił. Podobno premier odwiedził wieś i załatwił fundusze na budowę drogi.

Drewniana cerkiew grekokatolicka p.w. św. Michała Archanioła. Obecnie pełni ona rolę kościoła parafialnego Najświętszej Marii Panny Wniebowziętej. Świeżo po renowacji. Obita nowymi deskami. Jeszcze nie zdjęto tablic „Uwaga, u góry pracują”. Obok obiektu widnieje też tablica informująca, że remont odbywa się przy wsparciu państwa. Na tablicy informacyjnej, że pochodzi z 1797 r. i mimo późniejszych przeróbek



Cerkiew Brunary Wyżne

zachowała cechy cerkwi zachodniołemkowskiej. Obiekt otacza schludne ogrodzenie z kilkoma bramkami. Obok most na rzece Białej, sklepy z produktami dla rolników. Widać, że ta ciągnąca się przez 4 km wieś jest zasobna, nowe, okazałe domy, liczne punkty handlowe itp.

31 grudnia (wtorek)

Mgła. Temperatura -4°C . Z Krakowa od znajomych i syna dostajemy informację, że tam ciepło i słonecznie. Mgła zniknęła po dniu, w którym opuściliśmy miasto. W Beskidzie Niskim możemy się rozkoszować zimą. Dzisiaj zwiedzimy okolicę. Najpierw Uście Gorlickie. Tu tankowanie benzyny. Cena jak w Krakowie: 6,06 zł. Potem jedziemy do Zdyni. Teren, na którym odbywają się w lipcu coroczne łemkowskie watry, pusty, pokryty śniegiem. Powrót do Wysowej przez Kwiatów, gdzie z dala spoglądamy na świeżo odrestaurowaną cerkiew.

Podczas pobytu w Wysowej Zdroju oddaję się lekturze książki Joanny Kuciel-Frydryszak pt. *Chłopki*. Opowieść o naszych babkach. Ten gruby tom podarował mi ktoś z rodziny jako prezent pod choinkę. Wprawdzie życie kobiet wiejskich na Sądecczyźnie w dwudziestolecie międzywojennym znałem dość dobrze z opowieści mojej babki Marii Pulit z Górskich, matki Anny (urodzonej w 1902 r.), a także ciotki Ludwika Pulit z domu Talarczyk, która przeżywszy 100 lat zmarła 3 lata temu. Ich życie nie różniło się wiele od przykładów zarejestrowanych przez autorkę *Chłopek*. Może tylko tutaj, w okolicach Łącka, takiej biedy nie było, jak w niektórych regionach Polski. Brak mi w książce Joanny Kuciel-Frydryszak przykładów z życia kobiet

łemkowskich, a Rusini – jak się tutaj mówiło – zajmowali spory obszar Polski południowej. Tego typu refleksja ma szczególny wyraz tu, w Beskidzie Niskim, w znacznej części zamieszkałym w dwudziestolecie przez tę ludność. Barbarę pochłonęła książka Juliusza Machulskiego pt. *Nikczemny narrator*, o której Borys Szyc napisał: „Czysta przyjemność czytania”, a Maciej Stuhr: „Trudno się Państwu będzie od tego oderwać”. Patrząc na reakcję mojej żony podczas tej lektury, stwierdzić muszę, że te reklamowe sentencje sprawdzają się w całej rozciągłości.

I tak miłowymi krokami zbliża się główna atrakcja pobytu w „Uzdrowsku Wysowa nad Parkiem” – „Sylwestrowa Gala Oskarowa”. Punktualnie o godz. 19 rozpoczyna się ta dość pretensjonalnie nazwana impreza. Ogromną salę gimnastyczną zamieniono na balową. Przed wejściem czerwony dywan i ścianka do robienia sobie grupowych i indywidualnych zdjęć. Na balu zgromadziło się 150 osób. Przekrój wiekowy od małolatów, przez dojrzałe pokolenie średnie, po seniorów. Choć nie przepadam za tego typu imprezami, to jednak do „Sylwestrowej Gali Oskarowej” nie mam żadnych zastrzeżeń. Wielogodzinna zabawa odbywała się sprawnie i kulturalnie. Jadła i picia było pod dostatkiem. Podczas składania życzeń noworocznych podszedł do mnie wraz z żoną mężczyzna, który udzielił mi pomocy przy przyjeździe do sanatorium. Po złożeniu życzeń przedstawił się: „Jestem nauczycielem fizyki. Moi rodzice też byli nauczycielami. Mieszkamy koło Zawiercia”.

Nasza krakowska gromadka (12 osób) została ulokowana przy jednym stole. Warto podkreślić, że znalazły się w niej również dwie osoby z Zakopanego, które „uciekły” przed noworocznym najazdem turystów. Opowiadali, jak z osiedla Szymony, na którym mieszkają, do Szaflar jechali ponad godzinę. Taki już 28 grudnia był tłok na drogach wiodących pod Tatry.

1 stycznia 2025 (środa)

Mgła opada. Temperatura -4°C . Rozjaśniło się nieco. Udajemy się więc do Parku Zdrojowego. Po drodze świetnie wkomponowany w tutejszy krajobraz Park Wodny, pływalnia, o tej porze przed godziną 13 nieczynna. Nieczynna też jest w Nowy Rok Pijalnia Zdrojowa. W poprzednich dniach parę osób degustowało tu znakomite w Wysowej wody mineralne. Natomiast w restauracji – kawiarni „Stary Dom Zdrojowy” tłok. Można tu zjeść smaczne potrawy po stosunkowo przystępnych cenach. W restauracji wisi jeszcze reklama „Święta rydza”, które odbywa się w Wysowej na przełomie października i listopada. Rydze zresztą można tu nabyć marynowane na różne sposoby, a także prawdziwki i miód spadziowy. A propos handlu uzdrowskiego, to w sanatorium można było kupić oscypki, miód z pasieki pszczelarza z Tuchowa, a obok Parku Wodnego indyjskie suknie.

O tej porze w parku spokojnie. Nieliczni przechodnie pojawiają się na śliskich alejkach. Latem zapewne ożywa, gdyż został odrestaurowany. Początki Parku Zdrojowego w Wysowej Zdroju sięgają XVII w. – czytamy na tablicach. I dalej: „W 2011 r. park został zmodernizowany ze środków



Cerkiew w Banicy

UE. Powstał amfiteatr, fontanna, miejsca aktywnego i biernego wypoczynku, altany, ścieżki spacerowe, rabaty kwiatowe oraz mostki łukowe”. Dzisiaj wszystko przykryte białym puchem. Zima ogranicza możliwości korzystania z urządzeń parku.

Dzień bez odwiedzenia tutejszych cerkwi byłby stracony. Udajemy się zatem do dwóch miejscowości, a mianowicie: Banica i Izby. Banica to mała wieś nad lewym dopływem górnej Białej. Podobno znajduje się tutaj ok. 45 gospodarstw i 270 mieszkańców. Drewniana cerkiew grekokatolicka p.w. śś. Kosmy i Damiana obecnie służy jako kościół rzymskokatolicki. Zamknięta. Pozostaje więc tylko spojrzeć z zewnątrz. Zadbana. Z przewodnika po Beskidzie Niskim dowiadujemy się, że: „Od 1983 r. proboszczem Banicy był ksiądz Mieczysław Czekaj (1938–2016), zasłużony opiekun zabytków (dokonał m.in. renowacji cerkwi łemkowskich w swoich kolejnych parafiach: Maciejowej, Czynrej, Miliku, Lanckoronie i Brunarach)”.

Podobnie Izby to niewielka wieś – ok. 25 gospodarstw u stóp Lackowej. Przy drodze napotykamy na murowaną cerkiew. Jej architektura ma niewiele wspólnego z obrządkiem wschodnim. Bardziej przypomina kościół. Tego typu cerkwie, aczkolwiek bardziej okazałe, można spotkać w Petersburgu. Wybudowano ją w 1886 r. Na ogrodzeniu tablica z napisem „Chronimy nietoperze

w Izbach”. Wymienione są ich nazwy: Podkowiec mały, Gacek brunatny oraz informację, że strych i wieża kościelna są ich letnim schronieniem. Tego typu tablice Towarzystwa Ochrony Przyrody znajdują się też przed innymi cerkwiemi w okolicy. Okazało się, że w związku ze zmianami w przyrodzie (wycinka drzew) wieże cerkwi stały się jedynym bezpiecznym schronieniem dla tych zwierząt.

Wieczór jak zwykle spędzamy na pogawędce w sanatorium. Dzisiaj zaprezentowałem grupie najnowszy tom poezji Bronka z Obidzy (Bronisława Kozieńskiego) *Gadałem z Halnym*. Jest to dziewiąta pozycja tego utalentowanego absolwenta ZSZ w Starym Sączu o specjalności stolarstwo, który od lat pracuje na budowach za granicą, obecnie we Frankfurcie nad Menem w Niemczech. Przekroczenie przez autora sześćdziesiątki spowodowało, że sporo wierszy w tym tomie ma charakter powrotu do przeszłości, do dawnej, starej wsi Beskidu Sądeckiego. Aczkolwiek Broniek z Obidzy podejmuje też inne kwestie.

2 stycznia (czwartek)

Mgła ustąpiła. Temperatura -4°C . O godz. 10 wyjeżdżamy do Krakowa. Droga – poza szpalerem aut na obwodnicy Nowego Sącza – przebiega spokojnie. Po pięciu dniach wyciszenia, obcowania z zimowym krajobrazem Beskidu Niskiego, ze śladami kultury łemkowskiej, podróżowania po pustych drogach tamtejszych wsi, wracamy do miasta, do zatłoczonych ulic, korków na drogach, zanieczyszczonego powietrza, smogu. W Krakowie 12°C . Pada deszcz.

MA YONGBO

WIERSZE

MAŁA ŁÓDKA OJCA

On – leży w ciemnościach Boga przez całą noc,
kruchy jak oddech zimy.

Ona przesiedzi całą noc w zasięgu tej ciemności,
jak zimowa gałąź drżąca
z wysiłku by nie zmącić ciszy

Całą noc siedzi przy nim,
wpatrując się w ciemność Ojca,
wsluchując w ostrożny oddech mroku,
słuchając połamanych wichrów innego świata

To ojciec i córka.
Oboje kurczą się,
uparcie trzymając się burty łodzi zeszywniałymi palcami.
Dryfują przez noc
w wąskiej gondoli.

On płynie w dół strumienia,
dryfując ku wsysających go niebiosom.
Ona wiosłuje na przeciw prądowi,
szuka Św. Graala w labiryncie kości.

Ciche dziecko.
Wściekła matka.
Suną przez noc
po bezmiarze tafli poczerniałego szkła.

WSPOMINAJĄC MOJEGO ZMARŁEGO STARSZEGO BRATA YONGPINGA, MIJAJĄC GÓRĘ SHAOJIA

Pomiędzy obecnością a nieobecnością, zbrocze wzgórze pokryte jest
mieszonym lasem.
Zielone liście nie przykryły brunatnej, półwilgotnej ziemi.
Śpiew praków pogania mięsiste płatki białej magnolii by wyruszyła w
rejs.

To, co otwiera jej pierś, nie jest lekkością gazy,
ale stale kurczącymi się wersjami ego, jedno gnieźdzące się
w kolejnym.

Wydaje się, że nie wspinałem się na tę górę od wielu lat.
Dziś rano, gdy przechodziłem jej krawędzią,
chmury komarów wciąż zbierały się w zrudziałej wodzie.
Wciąż plenią się blade korzenie dzikiego czosnku.

Bunkier korpusu szkoleniowego
nadal czuwa nad ścieżką wiodącą w górę i w dół.

Wszystko przepływa między klarownością a niejasnością,
a ty sam jesteś tu i cię nie ma.
Jesteś za górami, ponad górami,
przechodzisz bez końca między snem a czuwaniem.

Poszukiwanie, spotkanie, rozstawanie się — to wszystko
jest tylko czarnym błotem – śladem po powodzi, ucztą dzikich
kwiatów.

Na dobre i na złe, taki jest znój tego życia i rzemiosło poezji.

PO PROSTU BĄDŹ

po prostu bądź tutaj, ty, ty sam jesteś
obietnicą życia, gwiazdą na przyczółku
rzeką i nocą płynącymi obok,
tworzysz niewidzialną galaktykę w swojej własnej ciszy
wszystko zaczyna przybierać kształt na twoim parapecie.

taki, jaki ty jesteś jest i wszechświat: osie gwiazd obracają się,
morze opiera się o ląd, wyciągając czułe ramiona,
wieje wiatr, kwiaty rozkwitają; wschód słońca i krople deszczu
nawet nasza nietrwała miłość do rzeczy
niesie nieznanne znaczenia

wszystko jest pochwałą i oddechem;
nawet starte kolana fal,
nawet nudne powtarzalne słowa
istnienie to akceptacja –
nie ma potrzeby rozmyślać, jak odnaleźć definicje
istniejesz; twój świat obok ciebie jak starzy spokojni
rodzice, słuchaj w ciemności
jak oddycha płomień twojej lampy;
wiedząc, że badasz radosną naturę rzeczy
jak prezent pożyczony z dalekiego kraju

Dr Ma Yongbo urodził się w 1964 r. Jest przedstawicielem chińskiej poezji awangardowej i czołowym naukowcem zajmującym się poezją anglo-amerykańską. Od 1986 roku opublikował ponad 80 oryginalnych prac i tłumaczeń, w tym 9 zbiorów poezji. Zajmował się tłumaczeniem poezji i prozy, w tym dzieł Emily Dickinson, Whitmana, Stevensa, Ezry Pounda, Williama i Ashbery'ego. Opublikował kompletne tłumaczenie Moby Dicka. Wykłada na Uniwersytecie Nauki i Technologii w Nankinie. The Collected Poems of Ma Yongbo (cztery tomy, Eastern Publishing Centre, 2024) obejmujące 1178 wierszy, to owoc 40 lat pracy. Jest redaktorem naczelnym „Chinese Regional Poetry Yearbook” i „Northeast Three Provinces Poetry Yearbook”.

tłum. Małgorzata Borzeszkowska



MAŁGORZATA FELICKA

POSZUKIWANIE SKARBU

Niebezpieczne jest igranie z tajemnymi siłami. Dobrze o tym wiedziałam, ale w tym wypadku nie zdawałam sobie sprawy, że z czymś igram. Myślałam, że po prostu wymyślam świetną zabawę, świetny żart dla moich wnuków. Chciałam w ten sposób rozpocząć nasz wspólny tydzień wakacji.

Lubili przyjeżdżać na Kaszuby do mojego domu na skraju lasu, gdzie mieli dużo swobody, a ja cieszyłam się, że będziemy razem, bez ich rodziców, bo wtedy tworzy się między nami komitywa. Stajemy się kumplami od wspólnych zabaw. Jeździmy na wycieczki rowerowe, do jeziora wśród lasów, gdzie prócz nas nikogo nie ma, gramy w badminton. Tym razem dodatkowo, dla urozmaicenia pobytu, napisałam zabawną historyjkę. Przeczytałam ją im, jak już minął szal pierwszych gonitw i zabaw, takiego przypominania sobie tego miejsca po roku nieobecności. Opowiadanie miało tytuł „Zoba”. Zadowolona byłam z tego tytułu, bo to też był żart specjalnie dla nich.

Zoba

Jestem Zoba z rodziny Zobaczy. Jestem najstarszym dzieckiem na Kaszubach. Mam trzy tysiące lat, ale nadal jestem dzieckiem, bo my, elfy z rodziny Zobaczy, żyjemy czterdzieści tysięcy lat. Widziałem już bardzo dużo zmian. Ludzie budowali tu swoje domy, a potem inni ludzie je burzyli lub popadały w ruinę. Lasy rosły, paliły się lub były wyrabowane, a potem odrastały. Rzeki płynęły, wysychały i znów napełniały się wodą. Ciekawie jest się temu przyglądać, chociaż brakuje mi wiedzy, żeby zauważyć w tych zmianach jakąś prawidłowość, jakiś kierunek. Może kiedyś nauczę się rozpoznawać znaczenia zdarzeń i wtedy zobaczę sens. Na razie nie widzę.

Przeszkadza mi stale mrugające światło, ale mama mówi, że muszę się do tego przyzwyczaić, bo to jest słońce, które wszystko ogrzewa i oświetla. Gdyby nie było słońca, to nie byłoby mrugania, ale ogarnęłaby nas ciemna noc. Zrozumiałem to i już nie narzekam. Najciekawsze, co widzę, to poruszające się kształty. Mama mówi, że to są żywe istoty, tak jak my. Spośród nich najciekawszi są ludzie. Ludzie nie dostrzegają, że światło słońca mruga, dla nich po prostu dzień następuje po nocy. Jest tak dlatego, że ich czas płynie wolniej. To co dla mnie jest milisekundą, dla nich jest całą 24 godzinną dobą. Do obserwowania ludzi muszę zakładać okulary spowalniające, inaczej poruszałiby się dla mnie tak szybko, że widziałbym tylko ich migotanie na tle migotania słońca, a potem widziałbym ich zniknięcie, czyli śmierć. Nie

chcę oglądać śmierci, widziałem raz jak umierała babcia i było to bardzo smutne. Płakałem.

Najbardziej lubię ludzkie dzieci. Zazdroszczę im. Bawią się tak jak ja chciałbym się bawić. Dla nich właśnie ukryłem coś, co nazywałem skarbem. Jak się coś nazwie skarbem, to wiadomo, że będzie się chciało tego szukać. Zakopałem go koło gruszy w rogu za płotkiem, za którym jest warzywniak. Napisałem karteczkę: „Szukaj skarbu”. Na niej wskazówki, gdzie jest, ale nie napisałem, że jest zakopany. Już od tak dawna czekam, żeby jakieś dziecko go znalazło! Niestety żadne nie domyśliło się dotąd, że narzędzie zwane dziabką zostawiłem specjalnie po to, żeby miały czym odkopać skarb. Muszę liczyć na domyślność jakiegoś ludzkiego dziecka. Nie mogę zrobić inaczej, bo musi być jasne, że dzieci chcą do mnie przyjść z własnej woli. Nie mogę ich porwać ani oszukać ani „podprowadzić”. Taki warunek postawiłem sam sobie, bo mama zawsze mówiła mi, że nic na siłę.

Skarb zawiera tabletki, które przeniosą ludzkie dziecko do mojego świata i nareszcie będę miał się z kim bawić. Tak do tego tęsknię! Nie rozumiem, dlaczego moja mama nie urodziła więcej dzieci. W dodatku nikt ze znajomych nie ma dzieci i nie mam się z kim bawić. Mówiła coś o zbyt wielkiej liczbie elfów w naszym świecie, że psują klimat i że zabraknie wody. Moim zdaniem to przesada. Jeden dodatkowy elf nic by nie popsuł. Ale nie mam na to wpływu. Mogę więc liczyć tylko na to, że przeniesie się do mnie jakieś ludzkie dziecko. Dlatego zostawiłem tabletki przenoszenia i nazywałem je skarbem.

Na wypadek, gdyby jakieś dziecko znalazło skarb napisałem list i włożyłem do pudełeczka: „Przyjaciele, to dla was ten smakotyk. Jest pyszny. Nie bójcie się go zjeść. Będziecie żyli we wspaniałym świecie i będziecie żyli bardzo, bardzo długo i nigdy nie będzie się wam nudzić. Będziemy się bawić w bardzo ciekawe gry. Są tu u nas zwierzęta i trampolina i bilard. Wszystko, czego zapagniemy będzie dla nas zrobione. Nauczę was języka drzew. Będziemy się na nie wspinać, a one nam opowiedzą, jak to było przed wiekami. To kraina marzeń. Zauważyliście, że piszę „dla nas”? Tak, dla nas, bo będziemy razem. Razem! Będziemy się rozśmieszali i gonili i jedli lody zawsze, kiedy będziemy mieli na to ochotę. Przybawajcie. Czekam na was”.

Czekam i czekam. Znowu przyjechały tu dzieci, Zosia i Bartek. Widzę przez moje okulary, jak świetnie się bawią. Trzymam kciuki, żeby znalazły mój skarb. Może tym razem? Ich imiona dają mi nadzieję: Zo-sia i Ba-rtek. To przecież Zoba, tak jak ja! Może nareszcie będę miał przyjaciół?

To dlatego pisałam, że tytuł był żartem. Podobał im się i tytuł i całe opowiadanie. Wydawali się bardzo zaciekawieni i przejęci. Ja byłam zadowolona, że historyjka chwyciła. Bez ociągania pobiegli do warzywniaka szukać skarbu. Poszłam za nimi i patrzyłam z satysfakcją, że tak mi się udało pobudzić ich wyobraźnię i zaproponować coś więcej niż jazda na rowerze czy gra w bilard. Czułam się super-babcią.

Znaleźli dziabkę. Odkopali skarb. Zobaczyli, że to były okrągłe czekoladki opakowane w złotą folię. Wzięli po jednej i wtedy zrobiło im się trochę nieswojo. Widziałam, że się zawahali. Wreszcie popatrzeni na siebie, odwinęli i na „trzy cztery” rozgryźli. Bartek zaczął się wygłupiać, ze śmiechem

mrugać powiekami i mówić:

- O, jak wszystko migocze!

Zosia, jak zwykle małowówna, tylko się uśmiechała.

A potem.... Gdy połknęli ostatni kęs - straciłam ich z oczu!

Gdyby nie to, że zdarzyło się to mnie, uważałabym, że to jakieś bajki. Nie mogłam w to uwierzyć. Kręciłam się w kółko szukając ich wzrokiem. Potem zaczęłam ich szukać za drzewami, pod krzakami, chociaż wydawało mi się to beznadziejne. Nie wiem ile to trwało, pewnie parę godzin, ale nie wiem dokładnie, bo straciłam poczucie czasu. Serce mi waliło jak młotem. Chcąc nie chcąc, musiałam w końcu zadzwonić do mojego syna i opowiedzieć, co się wydarzyło. Wyobrażacie sobie tę rozmowę?

- Ledwie ich przywiozłem, zostawiłem pod twoją opieką. Jak to - zniknęły? A może zwariowałaś?

Cały świat wiruje mi przed oczami. Jestem przerażona. Gdzie oni są? Chciałabym się zapaść pod ziemię. Tymczasem muszę odpowiadać na niezliczone pytania. Przyjechała policja. Cała okolica została przeszukana. Nigdzie ich nie ma.

Namyślałam się, co by tu zrobić. Nikomu o tym nie powiedziałam, ale jedyne, co przychodzi mi do głowy, to żeby napisać dalszy ciąg tej historyjki. Jakiś taki, żeby wrócili. Na razie jestem tak roztrzęsiona, że nie mogę wymyślić żadnego dalszego ciągu. Cały czas muszę coś mówić, komuś coś tłumaczyć, mierzyć się z podejrzliwymi spojrzzeniami. Czekam aż zostawią mnie w spokoju. Wtedy się skupię.

Zaraz zaraz, przecież tych czekoladek było więcej! Muszę je odszukać. Pewnie leżą wdeptane w ziemię. Pędzę!



BARBARA KORTA-WYRZYCKA

ANALOGOWA

– Druga dekada lutego. Ostatnie godziny zmiany w wieży kontrolnej. Dwa samoloty kołują. Nie daje się posadzić żadnej maszyny na oblodzonym pasie. Prawie czyste niebo nie ułatwia zadania. Ciepło ucieka. Służby z poświęceniem uzdatniają pas od ponad pół godziny. Zauważa zmianę na monitorze. Jest zgłoszenie gotowości pasa. Jeszcze naziemny radar. Też nie wykazuje ruchu. Przed wydaniem zgody na lądowanie lubiła omieść wzrokiem otoczenie. Tym razem przy oknie stoi Michał. Nie musi sama podchodzić. Woła do niego: „Michał, pas przy Cargo świeci na zielono. Popatrz czy jest czysty”. „Maszyny zjechały, ludzie przy budynku. Możesz puszczać”.

Daje pozwolenie na lądowanie i podchodzi do ukośnie nachylonej panoramicznej szyby. W popołudniowej szarówce wyraźne wybijają się światła zbliżającego się samolotu. Podwozie wysunięte. Koła dotykają pasa. Lekki podrzut maszyny, ale dalej już wszystko przebiega normalnie. Kątem oka dostrzega ruch na pasie serwisowym. „A ten tu czego?” Autonomiczna czyszczarka jak mały żuczek rusza powoli, lecz nieubłaganie w stronę lądowiska.

Monika słyszy podniesiony głos kolegi, który krzyczy przez interfejs „Uwaga! CI45 zatrzymaj się. Trwa lądowanie! Tu wieża, dyżurny sieci dezaktywuj cholerną maszynę!”

Żuczek nie zmienia obranego kierunku i wjeżdża na lądowisko. Decydują sekundy. Pilot jest bezsilny. Pojazd znalazł się w ślepej strefie. Nie zahaczył o pierwsze koła. Podwozie na wysokości tylnego wyjścia ostatecznie zakleszcza go i wlecz. Widowiskowy pióropusz iskier tryska po bokach. Samolot toczy się po tuku, lecz nie wypada z pasa. Zatrzymuje się. Cisza. Skamieniała przy oknie Monika ma wrażenie, że wydarzenia rozgrywają się w innej rzeczywistości. Z hangaru wybiega mężczyzna, wrzeszczy coś do komórki. Monika trwa w bezruchu, nie myśli, całym ciałem czuje, że zdarzy się coś jeszcze. Po kilkunastu sekundach czyszczarka eksploduje.

Na tym sen się urywał, a Monika złana potem siadała na łóżku. W niezminionej postaci przeżywała, po raz nie wiadomo który, tę samą sytuację z ostatniego dnia pracy.

Po każdym nawrocie majaku czuła się jak wyżęta. Nie

pomagał zażywany antydepresant ani środki nasenne.

Wróciła do rodzinnego mieszkania prawie rok temu. Musiała pomóc ojcu coraz gorzej radzącemu sobie z rakiem. Mama nie żyła już od sześciu lat. Jako jedynaczka nie miała wyboru. Zresztą chciała być przy nim. Był jej bliski. Rozumiała jego fotograficzne pasje i techniczne fascynacje. To, co latami irytowało matkę, ją przyciągało. Była mu bliższa mentalnie.

Miała swoje splecione dwupokojowe mieszkanie na jednym z nowych osiedli, ale absorbująca praca i codzienne pokonywanie znacznych odległości były nie do pogodzenia z jakąkolwiek obecnością czy pomocą w chorobie.

Wprowadzając się uniknęła częstej pułapki powrotu do zмумifikowanego dzieciństwa. Ojciec, jak ostatecznie wyniosła się w swoją dorosłość, urządził w jej pokoju swój gabinet z solidnym biurkiem, biblioteczką i wąskim tapczanem. Mogła spokojnie żyć w terażniejszości.

Po śmierci ojca została. Nie polubiła betonowego, bezosobowego otoczenia swojego mieszkania. Nie czuła się na siłach, by w najbliższym czasie decydować o jego ewentualnym wynajmie bądź sprzedaży. Za to czuła harmonię z kamienicą, stylowym kwartałem i duchem centrum miasta. Była u siebie. Bezpieczna.

Odłączyła Internet i telewizję kablową. Umowę z operatorem rozwiązała śmierć ojca. Służbową komórkę zwróciła. Swojej nie miała. Został tylko stary poczciwy kablowy telefon domowy. Mało kto znał numer. Nie chciała być dyspozycyjna, dostępna, na czacie ani na bieżąco.

W gabinecie znalazła pudełko po butach pełne płyt DVD z klasykami filmowymi i dwa kolejne z muzyką klasyczną i rozrywkową, czyli składankami ojca. Było też małe radio analogowe na baterie. Ucieszyły ją te znaleziska, lecz korzystała z tych skarbów sporadycznie.

Potrzebowała spokoju i, jak radził psychoterapeuta, stałej prostej ramówki dnia. Wykorzystała już pół roku zwolnienia chorobowego, przeszła terapię. Weszła

w kolejny miesiąc rocznego świadczenia rehabilitacyjnego.

Niestety, nadal zdarzały się ataki paniki i epizody depresyjne.

Dzisiejszy, wyjątkowo ciepły późno październikowy wieczór, zatrzymał Martę dłużej przy oknie. Obserwowała niewielką kafejkę na rogu. Zajęte były nie tylko stoliki, ale i miejsca przy barze. „Śródziemnomorskie ciepło demokratycznie wyciągnęło z domów zarówno młodzież, jak i emerytów” – pomyślała. „W sumie sympatycznie. A może szykują się na transmisję jakiegoś meczu?” Nie była na bieżąco. Zamknęła uchylone okno. Zaciągnęła story i zapaliła dwie stojące lampy. Nie lubiła mocnego górnego oświetlenia. Pokój zyskał na przytulności. Ciszę odmierzało rytmiczne tykanie ściennego zegara.

„Jest kojąco. Teraz mocna herbata i kilka rozdziałów książki”. Po niespełna godzinie musiała zrezygnować z lektury. Czują niczym nie uzasadnione rozdrażnienie. Bolała ją głowa. Poszła po tabletkę do kuchni. W przedpokoju usłyszała łomot, jakby wiele osób naraz zbiegało po schodach. Wróciła do salonu i lekko uchyliła zasłonę.

Ulicę szczelnie wypełniał tłum. Ludzie zajmowali jezdnię i chodniki. Każdy miał włączoną komórkę. Posuwali się szybko, bez pardonowo roztrzaskując maruderów. Kto się potknął i upadł, zostawał. Poruszali się w ciszy. Niektórzy przechodzili po maskach samochodów, żeby wysforować się ku przodowi. Wyglądali jak niekończący się świetlisty wąż.

Marta mocnym szarpnięciem odsłoniła całą kwaterę okna. „Czy to jakaś demonstracja? Ale bez transparentów, haseł, skandowania?” Próbowała określić dokąd zmiierzają. Nie skręcali, więc prawdopodobnie szli ku wysokim biurowcom za estakadą. Stała bokiem, żeby przyjrzeć się nadchodzącym. Było ich mrowie. Z trudem mieścili się na przestrzeni między dwoma pierzejami kamienic.

Odruchowo spojrzała w górę. Wyrazny świetlisty punkt poruszał się jednostajnie ze wschodu na zachód.

„Zaraz. Coś miało dzisiaj spadać z orbity. Gdzieś leży dzisiejsza gazeta.”

„Mam: `Wrak chińskiej rakiety wielkości dziesięcioletniego bloku w godzinach wieczornych opuści orbitę. Zbyt duży, by spłonąć w atmosferze, przeleci nad Syberią prawdopodobnie dotrze nad Wyspy Brytyjskie i spadnie do Atlantyku. Kraje na trasie trajektorii jej lotu wstrzymają ruch powietrzny na kilka godzin dla zachowania bezpieczeństwa.`”

No dobrze. Widzę starą raketę bezzałogową, ale to przecież złom. Dlaczego i dokąd pędzą ci ludzie. Skąd ten amok?”

Przyniosła z gabinetu Nikona z teleobiektywem. Był naładowany, bo niedawno próbowała sfotografować pomarańczowy księżyc.

Zgasiła światło i seriami dokumentowała maszerujący dołem tłum. W momencie ciemność ogarnęła miasto, a przynajmniej pobliski kwartał, jak zdołała oszacować rozglądając się na wszystkie strony.

Dołem przesuwali się ludzki wąż oświetlony jedynie niebieskim ledowym światłem komórek.

Widok z drugiego piętra był niezły, ale postanowiła wymknąć się na klatkę schodową i ogarnąć sytuację z ostatniego, czwartego piętra. Na schodach było pusto. Oświetlała sobie drogę latarką. Okna na półpiętrach były niezbyt szerokie, za to wysokie. Z góry zyskała inną perspektywę. Robiła wiele zdjęć. Starła się ująć szeroko rozlaną plamę niebieskawych świateł skupioną wokół najeżonego antenami niezbyt odległego budynku lokalnej telewizji.

W końcu uznała, że niczego więcej nie zdoła. Powiesiła aparat na szyi i omiotła latarką otoczenie.

– Aaaa! – wyrwał jej się niekontrolowany okrzyk przerażenia, który, wzmocniony dobrą akustyką, wybrzmiał w szybie klatki schodowej.

Zebrała się w sobie i powtórnie oświetliła schody prowadzące do mieszkania na ostatnim piętrze. Na progu stała bez ruchu wsparta na balkoniku staruszka w niebieskim sweterku. Przypominała sowę swoimi szeroko otwartymi, nieruchomymi niebieskimi oczyma.

– Niech pani wejdzie do domu i zamknie drzwi. Poświęć pani.” – wykrzyzczała w jej stronę.

Żadnej reakcji. Monika pokonała kilka stopni i wykonała gest zachęcający do wejścia w głąb mieszkania.

Nic. „Uparta, głucha babka” – wymruczała głośno i zeszała niżej. Za sobą usłyszała głośne trzaśnięcie drzwi. „No, jednak usłyszała”.

W mieszkaniu wróciła do okna. Świecący nisko na niebie punkt zmienił barwę na cieplejszą, czerwono pomarańczową. Przesunął się tak znacznie ku zachodowi, że widziała go tylko przyklejając policzek do szyby.

Znienacka kolumna maszerujących się zatrzymała. Wróciło zasilanie. Niektórzy rozglądali się wokół wyraźnie oszołomieni, inni nawiązywali rozmowy z najbliższymi stojącymi. Pomału zaczęli się rozchodzić. Gaśły komórki.

Nocą słyszała sygnały ambulansów.

Rano pomaszerowała do narożnej kafejki. Służby sprząające wyraźnie się uwinęły, bo nie zauważyła śladów wieczornych zdarzeń. W kawiarence nie było właściciela, za to damska obsada jak zwykle wykładała robione na miejscu kanapki i świeże drożdżówki. Cicho szemrał telewizor. Kupiła gazetę, ale przezornie zamówiła też kawę z rogałem. Wbrew swoim zasadom usiadła przy barze na wprost telewizora. Za kilka minut powinien zacząć się bieżący serwis.

Dowiedziała się, że szczątki rakiety nie dotarły do Atlantyku, lecz spadły do Bałtyku kilka kilometrów od portu w Szczecinie. Na szczęście żadna jednostka morska nie ucierpiała.

O tajemniczych marszach było niewiele. Tyle, że grupy obserwujących zjawisko na ulicach odnotowano w kilku miastach.

Zawiedziona Marta dopijała resztki kawy. Pojawiła się czołówka bloku reklamowego.

Nagle ekran telewizora zszarzał i dał się słyszeć głośny szum

jak przy zmianie kanału, czy łączeniu z lokalnym sprawozdawcą. Po kilkudziesięciu sekundach obraz ustabilizował się i pojawił młody mężczyzna mający w tle szarą ścianę, bez śladu jakiegokolwiek identyfikatora stacji.

„Dzień dobry. Przed państwem Jan Kowalski z niezależnego źródła informacyjnego.

Oto kilka faktów o wydarzeniach wczorajszego wieczoru.

Masowe marsze z aktywnymi telefonami komórkowymi w polskich miastach pokrywają się z trasą lotu, spadającego z orbity okołoziemskiej, wraku chińskiej rakiety. Jesteśmy pewni, że zostały wymuszone przez system operacyjny tej rakiety. Są liczne ofiary.

Co istotne: chińska rakietka jako pierwsza na świecie została wyposażona w samostanowiącą jednostkę sztucznej inteligencji.

Degradacji uległa przez lata materialna struktura pojazdu. Mimo minimalnego zasobu energii w pojeździe, sztuczna inteligencja przetrwała. Na naszych oczach walczyła o przeżycie. Podejmowała próby przeskoczenia w dogodne środowisko. Potrzebowała do tego dużej energii, stąd kierowanie się ku źródłom mocy, czyli budynkom z nadajnikami, przekaźnikami czy przetwornikami energii. Szukała najmocniejszego. Trasę wskazywał zmnożony sygnał tysięcy smartfonów.

Jaki jest jej zakres samodzielności, wiedzą jedynie twórcy. Jednak po tym, jak bezwzględnej manipulacji świadomością ludzi dokonała, można wnioskować, że ogromny. Czy udało się jej przetrwać, nie wiemy...”.

Przekaz przerwały zakłócenia i wróciły reklamy.

Marta dokładnie przejrzała dziennik lokalny i dwa ogólnokrajowe. Niestety w prasie żadnej orientacji politycznej nie znalazła nawet wzmianki o sztucznej inteligencji. Nikt nie zająknął się też o poszkodowanych ofiarach marszów.

Wbrew swojej ramówce dnia wróciła do kafejki na wieczorny blok informacyjny. Ani w telewizji rządowej, ani prywatnej nie powtórzyły się treści tajemniczej, zapewne hakerskiej, stacji niezależnej.

Zorientowała się za to, że tylko ją interesują bieżące wiadomości. Otoczenie zachowywało się jakby wczoraj nic się nie stało. Bywalscy pili kawę i dyskutowali jak zwykle. Dziewczęta chichotały. Emeryci snuli niekończące się opowieści.

Wielu ludzi skorzystało z kolejnego ciepłego wieczoru i spacerowało niespiesznie, zerkając na wystawy, często z czworonogami. Niczego nie zapamiętali?

Nie miała takich możliwości, ale chętnie sprawdziłaby nagrania kamer ulicznych.

„Zaraz, a co ze zdjęciami?”. W mieszkaniu sprawdziła podgląd aparatu. Zdjęcia były. Musi je wydrukować i ukryć.

Założyła teczkę ze zdjęciami i postanowiła dołączać na bieżąco spisywany dziennik obserwacji. Pendrive z fotografiami wrzuciła do metalowego pudełka po herbacie, które owinęła folią aluminiową, i wepchnęła do metalowego pudełka po herbatnikach. Całość wrzuciła do szuflady na warzywa

w lodówce. Taka amatorska klatka Faradaya. Jedyny twardy dowód.

Przez następny tydzień nie zauważyła niczego nietypowego. Za to usilnie starała się sobie przypomnieć kim jest staruszka z piątego piętra. Olśnienie przyszło z dużym opóźnieniem. Wiele lat temu mieszkanie zajmowała nauczycielka fizyki z pełnoletnim synem. Budziła postrach w liceum. Nie uczyła jej, ale przypomniawszy sobie akademię pożegnalną. Kończyła wtedy siedemdziesiąt lat i odchodziła na emeryturę. „To musi być ona. A syn? Pewnie się usamodzielniał.” Im dłużej myślała o nauczycielce, tym większe miała wątpliwości. „Zaraz. Jak odchodziła miałam szesnaście lat. Minęły trzydzieści dwa, to znaczy, że ma ponad sto lat?”.

Zdobyła się na odwagę i z pudełkiem mini drożdżówek i tyśmów zadzwoniła do drzwi dawnej nauczycielki. „Otwarte!” – usłyszała. W przedpokoju omal nie przewróciła się na czyszczącej podłodze Roombie. Nauczycielka z trudem się poruszała, lecz wyglądała tak samo jak ją zapamiętała przed trzema dekadami. Pamiętała ojca Marty i ją jako nastolatkę. Mimo uprzejmych wypowiedzi, wydawała się sztywna, zimna i nie zainteresowana nawiązywaniem znajomości. Nie zaproponowała niczego do picia, za to kazała Marcie zanieść ciasteczka do kuchni. „Na potem”. Kuchnia była sterylnie czysta. Marta nie oparła się pokusie i zajrzała do lodówki. Była pusta. Absolutnie pusta. Szybko się wycofała. Fizyczka stała w przedpokoju. „Tak błyskawicznie?” – zdziwiła się. Bez słowa patrzyła na nią zimno niebieskimi oczyma. Pospiesznie się pożegnała.

Kilka dni później hałas na schodach wywabił ją do wizjera. Dwóch mężczyzn w kombinezonach znosiło na krzeselku starą nauczycielkę. Przed klatką stał ambulans z napisem „Centrum Rehabilitacji” bez adresu czy telefonu.

Przyzwyczała się wpadać rano do kafejki po gazetę. Było tam klimatycznie i nieraz zatrzymywała się na kawę z rogalikiem. Choć siadała przy oknie z dala od telewizora, nie mogła zignorować docierających do jej uszu tekstów reklamowych. Zauważyła, że z każdym tygodniem bloki reklamowe są coraz dłuższe, ale zamiast zachwalania środków trawiennych oraz prezentów pod choinkę przeważało eskalowanie pożądania samochodów hybrydowych i elektrycznych, bogato wyposażonych w elektronikę. Wszystko zdominowała jednak z uporem powtarzana oferta smartfonów najnowszej generacji pod hasłem: „Spraw sobie przyjaciela”. Pojawiły się też nieznane dotąd zachęty do wstępowania w szeregi straży miejskiej ochotniczo lub zawodowo.

Codziennie o tej samej porze szła do pobliskiego parku. Zdziwiły ją prace prowadzone jednocześnie na wszystkich mijanych skrzyżowaniach, które skończyły tak szybko, jak i zaczęły.

Postanowiła myśleć praktycznie i ruszyła po swój samochód, stojący od wielu miesięcy w garażu przy mieszkaniu. Wynajęcie garażu podreperuje budżet, jak skończy się świadczenie rehabilitacyjne. Żyła oszczędnie. Zdawała sobie sprawę, że znalezienie pracy przez prawie pięćdziesięcioletkę nie będzie łatwe.

W tramwaju śledziła od niechcenia ekran z trasą przejazdu. Kilkanaście sekund po ruszeniu z przystanku ekran poczerwieniał i pojawił się napis: „Dwie osoby w tym wagonie nie zapłaciły za przejazd. Proszę niezwłocznie kupić bilet, by uniknąć kary”. Odruchowo sprawdziła czy ma swój w kieszeni. Miała. Dwie nastolatki przykleiły się do automatu. Odwróciła się do siedzącej za nią kobiety:

– Przepraszam, czy wie pani co to za nowość, takie publiczne ogłaszanie, że jedzie ktoś bez biletu?

– Jaka znowu nowość? Porządek jest. Od zawsze.

– A kontrolerzy, co z nimi?

– A oni po co. Technologię mamy. Światową.

Dziwnie prowadziło się samochód po tak długim czasie. Musiała zmienić opony, bo noce stały się chłodne i w końcu, choć niechętnie, zbliżała się zima. Pan Władzio zgodził się na wstawienie auta do warsztatu. Odbiór wyznaczył za dwa dni. Zdziwił ją nieoczekiwany prezent – GPS połączony bezpośrednio z policyjną drogówką i nowoczesny centralny zamek wmontowany w gratisie.

Na zakupy do pobliskich sklepów chodziła pieszo. Nie chciała jeździć do hipermarketu samochodem, który nie wiadomo kto śledził i mógł ją w każdej chwili zatrzasnąć i uwięzić w pojeździe.

Objuczona siatkami spokojnie czekała przy przejściu na zmianę świateł. Nagłe mocne pchnięcie w plecy pozbawiło ją równowagi. Usiadła na śliskim chodniku z wyprostowanymi nogami, jak szmaciana lalka, ale nadal mocno trzymała siatki. To chłopak w rozpiętej kurtce chciał zdążyć w ostatniej chwili do tramwaju. Długimi susami przebiegł przed maskami ruszających samochodów i nagle upadł nie osiągając celu. Wstrząsały nim drgawki. Wyglądało to na atak epilepsji albo porażenie prądem. Marta zaliczyła niecierpliwy kopniak w nerki. Jej stopy wysunęły się na jezdnię. Poczowała prąd przesywający kończyny. Ból był przerażający, jakby krótkie metalowe zamki botków wtapiały się w kości. Na szczęście zapaliło się zielone światło. Przechodnie potrącaли ją i mijali w pośpiechu. Z trudem podkurczyła nogi i skulona przeczekała aż minie ją fala pieszych. Nikt jej nie pomógł. Ani jej, ani chłopakowi, który nadal leżał na jezdni. Ostatecznie podeszli do niego strażnicy miejscy i powlekli do radiowozu. Zszokowana Marta na czworakach przemieściła się na trawnik. „Rażenie prądem jako kara za nieprzestrzeganie przepisów?!” Długo dochodziła do siebie.

Czasem myślała o stuletniej sąsiadce. Wyrzucając wieczorami śmieci spoglądała w jej okna. Zwykle były ciemne. Jednak raz zauważyła cienkie czerwone promienie omiatające ściany, jakby jakieś urządzenie skanowało pokój. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Kilka dni później o tej samej porze stanęła z niewielką siateczką obierków przy śmietniku. Zjawisko się powtórzyło. Poczowała, że stopy robią się lodowate, a strach paraliżuje ruchy. Wszystkie znane teorie spiskowe podeszły jej do gardła.

Przed sylwestrem dzwonek do drzwi oderwał Martę od domowych zajęć. Było to tak rzadkie, że długo patrzyła przez wziernik zanim otworzyła drzwi.

Na progu stała uśmiechnięta nauczycielka z góry, wyraźnie młodsza, nie przygarbiona i bez laski. Emanowała z niej radość i energia. Uśmiechały się nawet jej niebieskie oczy. Obok niej stał wysoki, elegancko ubrany czterdziestoparoletni mężczyzna.

– Dzień dobry, pani Marto!

– Ooo, dzień dobry.

– Przedstawiam mojego syna Marka.

Pamięć Marty zazgrzytała z przeciążenia: „Kurczę, ale przystojny. Bez skazy. Nic wcześniej nie zapowiadało takiej metamorfozy puciołowatego maminsynka o kabłąkowatych nogach”.

– Długo pani nie było.

– Zaliczyłam szpital sanatoryjny i teraz jestem sprawna. Przepraszam, że podczas naszego spotkania nie byłam zbyt gościnną. Bardzo cierpiałam.

– Mam dla pani mały drobiazg. W obecnych czasach cenni są samodzielnie myślący ludzie, nie ulegający łatwo manipulacji. To urządzenie pomoże nam się nie zgubić. Obsługa jest intuicyjna.

– Wróciłam tylko po rzeczy. Nie korzysta pani z Internetu ani telewizji, więc może nie wie, że w ubiegłym tygodniu mój syn został mianowany Najwyższym Komendantem Dobrej Zmiany i zabiera mnie do stolicy. Tyle się teraz dzieje.

„Skąd stuletnia wiedźma wiedziała, że nie korzystam z mediów? Osacza nas AI?”

Marta od kilku tygodni przestała śledzić wydarzenia w prasie. Informacje zostały wyparte przez rozmaite porady, reklamy i ogłoszenia. Nadal jednak z przyzwyczajenia codziennie kupowała gazetę. Przejrzała skrupulatnie te z ostatnich dziesięciu dni. Ani słowa o przewrocie, czy zmianie władzy. „Zaraz, coś jest: Członkowie rządu zdziesiątkowani przez wirus grypy” i „Chory prezydent zrezygnował z urzędu. Jego funkcję pełnić będzie czasowo Komendant Dobrej Zmiany”. „Jaka grypa? Sądząc po tłumach na ulicy i sklepach większość mieszkańców ma się dobrze.” Poczowała strach podchodzący do gardła. Skupiła się na wykonywaniu regularnych, głębokich oddechów.

Z pewną obawą rozpakowała prezent. W kartonowym pudełku leżał dziwny smartfon. Ożywił się natychmiast po wyjęciu. Wydał kilka melodyjnych dźwięków i błysnął okrągłym niebieskim punktem. Obejrzała go dokładnie. Spróbowała rozłożyć, żeby wyjąć baterię. Nie było to możliwe. Stanowił jednolitą całość. Przypominał kształtem wydłużone indycze jajo bez wyraźnie zarysowanego ekranu. „Jak się takie coś ładuje? I jak działa? Najnowsza generacja, a właściwie już kosmos”.

Na wszelki wypadek wrzuciła go do metalowego pudełka po kawie i ukryła w skrytce samochodu. „Jutro pojedę do komisji i pozbędę się obydwu sprzętów. Muszę szybko wymyślić, gdzie ukryć puszkę z niby smartfonem, bo przecież w komisji sprawdzą samochód przed odbiorem. Jedno wiem na pewno. Zgodzę się jedynie na gotówkę!”.

KRYSTYNA HABRAT



WYTWÓRNIA CZUŁYCH PŁASTRÓW NA DUSZĘ

Zdziwieni przechodnie zatrzymywali się pod nowym szyldem. Najbardziej śpieszący się musieli błyskawicznie rozgryźć, co się za takim sformułowaniem kryje, a przeczytawszy poniżej wyjaśnienie małymi literami: TU LECZY SIĘ GNĘBIĄCE ZMORY I UCZY ZAPOMINANIA, ruszali dalej często wybuchając śmiechem.

Między sobą gadali, że taka „Wytwórnia czułych plastrów na duszę” brzmi cokolwiek zabawnie. Jednak ciekawiej niż podobna placówka nazwana: „Pracownią pomocy ludziom” albo „Gabinet uśmiechu”, będący nie cyrkiem, nie kabaretem, ale zwykłym gabinetem dentystycznym. Stąd pewnie wychodzą roześmiani od ucha do ucha kandydaci na plakaty wyborcze, rozwieszane ostatnio często na każdym płocie i słupie. Już nawet fotograf pyta klientów, czy uśmiech ma być typu: „reklama dentysty”? I zaleca: to śmieć się pan jeszcze szerzej.

Niektórzy jednak nic nie mówili, tylko rozejrzawszy się wkoło, ruszali do kamienicy z owym szyldem. Wspinali się mozolnie po stromych i spróchniałych schodach, by przy drzwiach najwyższego piętra wyrzucić zdyszczanym szeptem:

– Właśnie ja nie mogę pozbyć się smutku! I nie mogę zapomnieć!

Zażywna pani, koło pięćdziesiątki, ucieszona, że intrygujące ogłoszenie spełniło swą rolę i po okresie posuchy ktoś wreszcie tu zawitał, wciągała skwapliwie każdego osobnika do środka i zamykała drzwi.

– Jestem Adrianna Mól-Kobyłańska. Terapeutka. Postaram się panu pomóc – łagodnym głosem zapewniła drobnej budowy mężczyznę.

– Jan Podbielski – przedstawił się przybyły i zaraz stropił się, czy zrobił to właściwie. Podobne wątpliwości hamowały każdy jego krok. Jeszcze za drzwiami był ożywiony nadzieją, ale po przekroczeniu progu i znów stał się przygaszony. Czuł, że powinien lepiej przemyśleć, czy tu przychodzić, jednak wiedział, że jakby zaczął to roztrząsać, nigdy by się na ten krok nie zdobył. Bijąc się z myślami wszedł do gabinetu terapeutki.

Wyglądał mizernie. Niewysoki, chudy, blady, ale nad wyraz uprzejmy. Spróbował nawet przed wejściem do pokoju zdejmować buty. Po krótkiej rozmowie okazało się, że to kolejny czterdziestoletni kawaler. Chciałby się ożenić, tylko mierzy chyba za wysoko. Podobają mu się dziewczęta ładne, wykształcone, tylko niestety on im mniej. Nawet tego nie sprawdza. Każdą dobrze wróżącą znajomość kończy nieoczekiwanie, bojąc się takiego werdyktu z ust wybranki, która już przypadła mu do serca. Wszyscy mu tłumaczą, że niepotrzebnie ma kompleksy, że się podoba dziewczynom jego życiowy kodeks, jego opiekuńczość, miły wygląd, ale on nie może się przewyciężyć.

Słuchała go uważnie, bawiąc się nożem. Niby tylko do papieru, ale potrafiłaby się nim obronić w razie ataku jakiegoś wariata. Fachowo mówiąc: niezrównoważonego

psychicznie. Była zresztą wytrenowana na siłowni i nigdy nie stawiała do kogoś tyłem. Nóż demonstrowała tylko podczas pierwszej wizyty, potem trzymała go w biurku. Ale mieszkała tu sama, po trzecim już rozwodzie i nieraz, słuchając zwierzeń przybyłej osoby, przechodziły ją ciarki. Uchyłała wtedy szufladę z nożem, tak na wszelki wypadek. Kilka lat prowadziła już swoją poradnię i powoli czujność jej tępiała. Bardziej bała się, gdy pacjentów jej ubywało i cieszyła się każdym nowo przybyłym. Ostatni pomysł na szyld okazał się strzałem w dziesiątkę. Zaraz chętnych przybyło. Tupot kroków na starych, drewnianych schodach cieszył niepomiernie. A kolega musiał zamknąć swą poradnię, pomimo lat szkoleń i praktyk, bo zabrakło mu pacjentów. Ale cóż, on nie był przyjemny. Potrafił krzyknąć na kogoś, by go sobie podporządkować. Zrażał tak ludzi o delikatnych nerwach. Ona musiała być miła. Inaczej na chleb nie zarobi.

Zatrzęsienie teraz niepewnych siebie pań. Nie inwestują w dobrostan swej psychiki, póki wierzą w swe walory posiadane i te rekompensacyjne, zwalczające kompleksy, i w ten sposób trwają w swej bezradności. Nie potrafią się z niej wyrwać. Ona więc jest od tego, aby im pomóc. Czeką w swej prywatnej poradni, reklamującej się tak zabawnie od tygodnia, a mieszczącej się na poddaszu starej kamienicy. Cóż, tylko na takie lokum mogła się zdobyć. I to z wydatną pomocą rodziny.

Nagle połąpała się, że od dłuższej chwili nie słucha monotonnej opowieści Jana, a myśli o swoich sprawach. Ach, rzuci mu później parę pytań kontrolnych, by sprawdzić, czy nie pominęła czegoś istotnego i będzie dobrze. Trudno, bardzo trudno skupić się cały czas na bezbarwnych wypowiedziach typowych ludzi, w typowych schematach. Po latach pracy już pierwszy rzut oka na nowo przybyłą osobę pozwalał na diagnozę z czym przychodzi. Tylko niezwykle szczegóły przepłaskały znużenie. Czuła wypalenie zawodowe. A co dawała tym ludziom, tak ufnie zawierającym jej swe tajemnice? Starła się dać jak najwięcej.

Kiedy po dwóch godzinach Jan wychodził, wiedziała już o nim więcej i teraz nie wydawał się jej za niski, za chudy. Jakby informacje, jakie jej poruczył, uczyniły lepszym nawet jego obraz zewnętrzny. Jasiu – jak w połowie zwierzeń kazał do siebie mówić, bo tak mu mówią wszyscy – był z porządnej rodziny, tylko z chorobą mamy wdarł się do nich smutek, który przygnębił wszystkich. Nikt z bliskich nie dopilnował, aby przygotował się należycie do matury. I ją oblał. Nie wiedział, co dalej robić, bo cała rodzina drżała tylko przed kolejną diagnozą ze szpitala. Mama wyzdrowiała, a Jaś się zagubił. Właśnie: „Jaś” – ulubieniec wszystkich. Rodziny i kolegów. Cały sympatyczny Jaś. On też bał się martwić mamę, że źle u niego z maturą, że miałby powtarzać klasę. Przecież zamierzał studiować. Czytał tyle mądrych książek! A tu drugorocznik?! I tak zawisł pomiędzy ambicjami a możliwościami. Chwytał się tej to tamtej pracy. Rzucał, bo żadna mu nie pasowała. Miał wyższe ambicje. Podobnie

było z dziewczętami. I tak uciekały lata. Najważniejsze, że mama była zdrowa. Drżeli przed każdą kontrolą w szpitalu. Tylko nie wolno jej martwić! Trzęśli się z lęku o matkę, siostra popadła w depresję, ojciec zaczął popijać. Nie wytrzymywali długotrwałego lęku. Kto miał głowę pytać jego, najmłodszego, jakie ma plany na przyszłość. Nie miał żadnych. A potem było jeszcze gorzej.

Usilnie pilnował, żeby być we wszystkim w porządku. Żeby zachować się, jak należy. Trudził się, by starannie dobierać przejemne słowa. Tylko coraz bardziej bał się myśleć: co dalej. I żeby nie zmartwić mamy.

Kazała mu przyjść ponownie. W czwartek. Musi go zmusić do zmiany życia.

Miała już podobne przypadki. Dużo samotnych kobiet, wielu mężczyzn. Ludzi zawiedzionych, niepewnych siebie, odkąd ich życie zawiodło i ludzie. Nagle busola życiowa wypadała im z ręki. Ona, terapeutka miała im pomóc ją odnaleźć.

Dziś o piątej ma przyjść schizofrenik. Trochę się go bała. Twierdził, że jest już wyleczony, ale ktoś go do niej przysyła. Nie odpowiadał na pytanie, kto go przysyła i dlaczego, tylko śmiał się, że jest całkiem wyleczony. Przedtem było mi tak straszliwie smutno – opowiadał chichocząc – że chciałem zabić całą rodziną i siebie. Już głowę tej najmłodszej trzymałem na pieńku i zamierzyłem się siekierą, gdy mi ją wydarli. Obezwałdnili i powieźli do szpitala w kaftanie. Ale tak mnie wyleczyli, że teraz bym ani palca nikomu nie obciął. Ani sobie.

Śmiał się szeroko, relacjonując straszne rzeczy. Wiedziała, że nie jest wyleczony do końca. Obawiała się takiej nadmiernej, niezdrowej wesołości. Bała się i, gdy przychodził, trzymała szufladę z nożykiem do papieru lekko uchyloną.

Nagle rozległ się gromko dzwonek do drzwi. Aż podskoczyła. Niepotrzebnie go tak głośno nastawiła, ale w przerwach pomiędzy kolejnymi wizytami lubiła sobie zaparzyć herbatę, a z kuchni, przy szumie imbryka, mogła nie usłyszeć przychodzącego. Przed chwilą była tak zamyślona, że nie słyszała kroków na schodach. Za drzwiami stała Zuzanna – smętna, wyblakła dziewczyna, której nikt nie chce pokochać. Nie słyszała jej kroków, bo chodziła po schodach cichutko, żeby nikomu nie zakłócić spokoju. Mówiła też cicho. I zwykle mało miała do powiedzenia. Jakby wcale nie istniała. Nawet ona, terapeutka, zapomniwała o jej wizycie. Tylko dzwonek obwieścił jej nadejście tryumfalnie, jakby on jeden współczuł tej dziewczynie i chciał ją ożywić.

– Napijesz się ze mną herbaty? – spytała Adrianna, widząc, że jej szklanka ciągle pełna. Zuzanna pokręciła przecząco głową, jakby brakowało jej sił.

– Jednak ci zrobię. Łatwiej ci będzie mówić.

Na to Zuzanna rozblęśla radością. Wyraźnie pragnęła się napić, ale brakowało jej odwagi, by przystać na propozycję. Nie była pewna, czy to wypada. Po chwili piła jeszcze za gorącą, ukrywając, że lekko dmucha, by ostygła, choć była pewna że

nie wypadało tak robić. Mimo że cukru stanowczo odmówiła, poczuła się tak, jakby piła boską ambrosję na Olimpie. Od razu język się jej rozwiązał i przystąpiła do cichej opowieści o swej historii. Nie układało się jej w miłości, a miała już 26 lat. Uczyła matematyki w szkole z niejedną koleżanką, schnącą z samotności, jak ona.

– Myślałam, że tym razem coś z tego będzie – zaczęła.
– Bartek był całkiem do rzeczy. A właściwie niczego sobie. Nie znów „wykoleoko” jak to się określa tych średnio urodziwych. Niczym się specjalnie nie wyróżniających, ale taki „może być. Chodziliśmy do kina i teatru, ale częściej do kawiarni i na spacer. Niestety kiedyś, idąc z nim, spotkałam koleżankę i nie dostrzegłam w jej oczach podziwu ani zainteresowania dla niego. Od razu wydał mi się nieporadnym niezgułą, jaki nie dodaje kobiecie wartości. Zawstydyłam się, że pokazuję się z takim, co wygląda jakby do trzech nie potrafił zliczyć. Powiedziałam mu, że mam w tym tygodniu dużo klasówek do poprawiania i nie będziemy się widywać. W jego oczach wyczytałam, że domyśla się, o co chodzi. Jakby wyczuł, że nie zrobił na mnie wrażenia. Potem było mi go żal. Żałowałam też, że znów będę sama. Ale nie mogę się przemóc, by zaakceptować kogoś poniżej moich standardów. Od uczniów wymagam dużo, to tym bardziej od kogoś, kto miałby być ze mną na całe lata w jednym mieszkaniu.

Adrianna wysłuchiwała tego uważnie. Nie lubiła takich nauczycielek nadmiernie wymagających i nigdy nie zadowolonych, ani z uczniów, ani koleżanek z pokoju nauczycielskiego czy interesujących się nimi mężczyzn. Potem starszawe wychodziły na gwałt za męża za pierwszego lepszego, który je zechciał. Miała złe zdanie o nauczycielkach, bo jej samej w szkole nie bardzo się wiodło. Może nie była dość zdolna, może za mało przykładała się do nauki, bo stopnie miała słabe. Nawet, gdy wykuła coś na blachę, to zatopiona w swych myślach nauczycielka stawiała jej ocenę dostateczną z przyzwyczajenia i dlatego, że inni tak ją oceniali. I to przecież taka powszechna ocena. Ale nie dla ambitnych!

Zapragnęła więc studiować pedagogikę, żeby kiedyś wygarnąć tym nauczycielkom, jak upupiają swych uczniów. Jednak na spotkaniach absolwentów dawnej szkoły nie wypadało obnosić się ze swymi żalami wobec tych zasuszonych starych panien, jakie ją kiedyś uczyły. Nie mogła ujawniać, jak bardzo cierpiała, bo jej w szkole nie doceniono. Za to pokazała im, że ona aż trzy razy wychodziła za męża. To nic, że również trzy razy się rozwodziła, bo one ani razu. Na różnych prowadzonych kursach terapeutycznych miewała okazję, by odegrać się za swe szkolne niepowodzenia na nauczycielkach, którym się w życiu nie powiodło. Na szczęście jako terapeutka szybko brała się w karby, by nie ujawniać osobistych urazów. Wobec Zuzanny, choć to też nauczycielka, również zachowa się jak należy. Trochę przecież, tę nieśmiałą, cichutką dziewczynę, lubi.

Myślała o tym, każąc jej wypisać na dużym arkuszu wszystko to, co doceniała w owym Bartku.

– Widzisz, ile napisałaś! Nie jest więc wcale z nim tak źle. Weźmiesz teraz tę kartkę do domu. Przeczytasz ze trzy

razy przed snem i jutro do niego zadzwonisz, że masz wolną chwilę, by wyjść na ciastka do cukierni. Skoro wynalazłaś w nim aż tyle zalet, to spotkanie powinno być przyjemne.

Zuzanna wstała bez słowa i patrzyła na terapeutkę bacznie, jakby próbowała wyczytać, co Adrianna o niej myśli? Jak ją od samej siebie uratuje? Od jej lęku przed ludźmi, lęku przed życiem. Stała przed Adrianną taka niewyraźna, niezauważalna, nijaka blada blondynka o jasnych oczach. Mija się takie w tłumie, nie zapamiętując.

Punkt piąta dzwonek znowu się rozdzwonił, tym razem poprzedzony ciężkimi krokami na schodach. Wszedł schizofrenik.

– Niewiele mi pani dotąd pomogła – zaczął. – Moje zmory wróciły. Nocą mnie prześladują. Wszystko wkoło jest tak smutne, że nie da się wytrzymać. Czujących plastrów na moją duszę wcale nie ma. Pani oszukuje!

Zarzucał ją dalej nieskładną sałatką słowną.

Spuściła głowę. A więc depresja u niego wraca. Może nie jest jeszcze niebezpieczny? Nie zawsze da się pomóc. Nie każdemu. Choćby się najbardziej chciało. Sobie samej nie mogła pomóc. Wciąż walczy ze swymi zmorami. Gdy budzi się nad ranem, wszystkie doznane w życiu krzywdy pchają się do jej świadomości. Wszystkie zawody i udaremnienia wydają się wtedy o wiele jaskrawsze niż za dnia. Dawno niby z pamięci wyrzucone, niezmiennie wracają. Trzech mężów po kolei uznało ją za złą kobietę. Nawet koleżanki jej nie lubią. Sama nie wie, dlaczego? Nawet ci, którym tu w gabinecie pomaga. Widać to na ich twarzach. I po tym, że któregoś dnia kolejna osoba nie zgłasza się na wybrany termin. Nie zjawia się nigdy więcej. Ale ona musi trwać w swym gabinecie, aby zarobić na chleb i próbuje pomagać ludziom. Lubi ustawiać innym życie. Lubi grzebać w ich duszach. Tak, jest nielubiana, zdradzana, porzucana i najbardziej pragnie zemścić się za własne bóle i klęski. Uczyła się terapii po to, aby te koszmary pokonać. Swe niepowodzenia szkolne i klęski sercowe. Jednak to się nie udaje. Innym też niewiele może pomóc.

– Zaraz! Gdzie nóż do papieru?!

– Za późno! Naprawdę??? Och!

Dzwonek u drzwi zabrzączał nieśmiało.

– Jest tu kto? Ja z tego zabawnego ogłoszenia!

JADWIGA NOWAK

chodzi o twoje życie, moje twoje, twoje moje, niełatwo ustalić
właściciela, nie wolno nawet szeptem wymówić imienia, praochrona
danych, nimfy zachodzącego słońca u wejścia do ogrodu bogów
Epikura, cerber na straży bram piekła, rzeka zapomnienia, ogłuszający
ból narodzin – jestem życiem

zawsze chodzi o twoje życie, jakby było twoje, przenosisz święty ogień
z góry Olimp, prometejski dar okupiony cierpiętniczą śmiercią, czasem
w zbytnim pośpiechu, zdyszany i nie jesteś wcale Syzyfem szczęśliwym –
kiedy kamień stacza się ze szczytu –

plączesz

patrzac na ciebie i inni też płaczą – jak dzieci, którym udziela się płacz,
trzeba wyobrazić sobie morze spokojne i słoneczną plażę, środki
nasenne

dawkować przytomnie, trzeba wyobrazić sobie Syzyfa

martwym

płyniemy ku wodospadom szczęśliwym, to piękne
miejsce, skacze się na główkę, a im bliżej celu, tym
cichsze wołanie, w huku wody zanikają głosy, zawczasu lepiej
uczyć się czytania z ruchu warg – jeśli koniecznie chciałbyś
poznać myśli twoich towarzyszy

po obu stronach rzeki słoneczny brzeg, jesteś już niemal
u celu, a ciągle jeszcze czujesz strach, boisz się, że zadzwoni
telefon, a w słuchawce usłyszysz noc pytającą o twoje imię
i nazwisko albo, co gorsza, będzie to jeszcze jeden telefon
głuchy

absurd, noc nie mówi ani nie ma telefonu, ponosi cię brak
wyobraźni, płyn, dyskusja nie wchodzi w rachubę, musisz
uwierzyć i już – uwierzyć, bo to absurdalne, grosza nie warte
płomienne przemówienia nad przepaścią, nie pogadasz z nocą –

płyn

WIERSZE

jak dobrze byłoby znaleźć wreszcie duszę, po prostu
podnieść z ziemi liść albo kamień, a ona by tam była i już
po wszystkim, wreszcie koniec niepojętych eksperymentów,
alchemicznych praktyk, wywoływania duchów do tablicy
– a ten, kto ją zobaczy, ugasi na zawsze pragnienie

będzie mądry, umieści liść albo kamień na firmamencie,
a one będą świecić na pamiątkę ich podniesienia
światłem do opisanego widomą wielkością gwiazdową,
stosowną

do duszy ziemską miarą,
niebieską

nagą duszę nakryje się kawałkiem surowego płótna, żeby
nocami,

a zwłaszcza zimą nie drżała z zimna pod śniegiem, na kawałek
płótna

ktoś położy jeszcze wełniany kubraczek, a ktoś inny litościwie
dorzuci

szalik i czapkę i będzie jej miło i ciepło –

tak troskliwie otulona spokojnie zaśnie

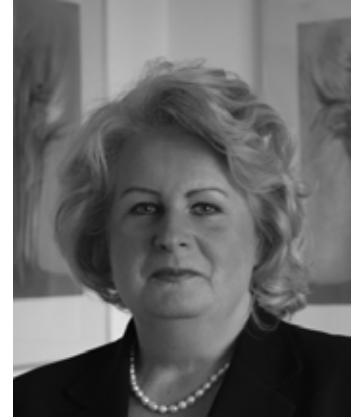
commentarze

Jadwiga Nowak, *Czysta poezja*, Wydawnictwo Test (Lublin 2025).

Ukazała się właśnie piąta książka Jadwigi Nowak. O pierwszych wrażeniach z lektury tego tomu wierszy krakowskiej pisarki, zatytułowanego *Czysta poezja*, opublikowanego przez Wydawnictwo Test (Lublin 2025), napisał krytyk literacki Antoni Wawrowski:

Elegijne wiersze Jadwigi Nowak

Rozbudowane frazy, precyzyjnie złożone z refleksji i przemyśleń. Ich filozoficzne podteksty zdumiewają dzisiejszego czytelnika. Jakimś wprost cudem autorka zdołała uformować myśli o sprawach ostatecznych – takie, jakie są w każdym z nas w dobie gwałtownych zdarzeń losowych, ale które zazwyczaj pozostają poszarpane. Utwory Jadwigi Nowak przełamują powszechny w nas lęk przed wchodzeniem w zaufki, odrzucają fałszywy wstyd. Nie ma pokory w takiej postawie, jest decyzja i stała gotowość do dialogu z tajemniczym, nieoczekiwanym, nieodwołalnym. Nie tyle rozliczenie, ile zrozumienie. Zrozumienie nie oznacza tu przecież zgody na jednolitość.



JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

DLACZEGO ZGINĘŁA MIRIAM WEISS

Panujący w pokoju rekreacyjnym poświąteczny nastrój przerwała sekretarka informując Aleksa, że w nocy zatrzymany został przez milicję Marian Lis. Aleks poderwał się z krzesła i nie dopiwszy nawet swojej kawy pobiegł na komendę, gdzie czekał już na niego porucznik Kot.

– No to mamy noc z głowy, stary – zwrócił się do niego Aleks – dawaj akta.

– Maglujemy go od Sylwestra, ale nie chce się do niczego przyznać i opowiada wierutne bzdury. Twierdzi, że nigdy nie było go w Pleszowie oraz, że skradziono mu samochód, więc nie mógł przejechać nim Antoniego Wita.

– A odnośnie uwiezienia Anity Wąs? – zniecierpliwiał się Aleks.

– Wyjaśnił, że to ona zakochała się w nim na zabój, a kiedy już zaczął z nią sypiać, zażądała, aby rozwiódł się z Rebeką.

– Nie do uwierzenia, że można tak kłamać – wtrącił towarzyszący porucznikowi Kotowi, dużo młodszy od niego, aspirant Adam Ogon.

– Pytałeś go o te zwłoki znalezione w kombinacie? – w głosie Aleksa pojawił się niepokój.

– Jeszcze nie – odparł Kot – lepiej będzie, jeśli ty to zrobisz, prokuratorze.

– Uważasz, że nie mamy w tym zakresie dowodów?

Kot wyraźnie się zasepił.

– To trudne śledztwo, choć bez wątplenia w bagażniku Lisa były przewożone jakieś zwłoki. Pytanie tylko czyje. Pewne jest tylko to, że była to ludzka krew grupy zero.

– Pewnie powie, że zastrzelił dziką w tych swoich lasach – ryknął śmiechem młodszy aspirant.

– Nie wygłupiaj się, Adam – uciszył chłopaka Kot, po głosie którego tłukła się tylko jedna myśl:

– Trudna, poszlakowa sprawa!

– Ciężkie śledztwo – zsynchronizował się z tokiem jego myślenia Aleks, który wciąż czekał na sprawę, która wyniesie go ponad przeciętność i spowoduje, że wyrwie się z rejonu i dołączy do asów z wydziału śledczego prokuratury wojewódzkiej, których obserwował z zazdrością i zachwytem. Zdenerwował się, gdy Barbara powiedziała, że tamci faceci mają jaja, zupełnie tak, jakby jemu ich brakowało. Wszyscy wiedzieli, że zżera go ambicja i liczy na szybki awans. Nie zaprzeczył zresztą, gdy ktoś zażartował, że marzy mu się panteon bogów. Barbarze podobał się

szczególnie jeden z nich, Henryk S. bezpośrednio niegdyś odpowiedzialny za sprawę Pyjasa.

Tymczasem Aleksa opuścił entuzjazm, z jakim zazwyczaj przystępował do czynności śledczych, więc mruknął tylko:

– Dawaj go!

Nie tak sobie Aleks wyobrażał spotkanie z Marianem Lisem. Był niemal pewny, że to ten sam człowiek, którego przez ułamek sekundy widział tamtej feralnej nocy w magazynie, kiedy do niego strzelano, lecz gdyby teraz formalnie okazano mu go w grupie kilku innych mężczyzn, z całą pewnością nie rozpoznałby go.

Potężnej postury mężczyzna został niemal rzucony na krzesło odsunięte o jakiś metr od biurka, przy którym siedział. Jego elegancki garnitur nosił wyraźne ślady sylwestrowej balangi i z całą pewnością nie zostałby zatrzymany, gdyby nie to, że wdał się w burdę w orbisowskim nocnym lokalu z jednym z obcokrajowców. Gdyby to był Anglik albo Niemiec z całą pewnością uszłoby mu to płazem, ale o tego akurat gościa upomniał się konsul ZSRR.

– Rosjan bić nie należy – roześmiał się Aleks w głębi ducha – od Rosjan należy trzymać się z daleka.

– No cóż – zaczął – miał pan pecha.

– Nie da się ukryć, panie prokuratorze – odparł ku zaskoczeniu Aleksa zatrzymany.

– To szczwany lis – mruknął do Aleksa porucznik Kot – nie darmo się tak nazywa.

Aleks kończył właśnie pisać postanowienie o przedstawieniu zarzutów i zamierzał zaraz ogłosić Lisowi, że jest podejrzany o potrójne morderstwo, Antoniego Wita, Miriam Weiss i poćwiartowanej prostytutki, kiedy ni stąd ni zowąd zjawił się adwokat, ten sam, który występował wcześniej w sprawie Rebeki i oświadczył, że został ustanowiony również obrońcą Mariana Lisa i chce brać udział w czynnościach śledczych.

Aleks zakipiał ze złości. Domyślał się, że stoi za tym doktor Goldstein, o którym opowiadała mu Barbara.

– Proszę zostawić pełnomocnictwo w sekretariacie.

– Niech pan nie robi ze mnie idioty, panie prokuratorze.

– Co takiego? – wyszczał Aleks przez zaciśnięte zęby.

– Wiem, że nie przedstawił pan dotąd mojemu klientowi zarzutów i biedak nie wie nawet, o co jest podejrzany. Chcę się z nim zobaczyć i domagam się dopuszczenia do czynności śledczych.

– Czy sądzi pan, panie mecenasie, że obecność przy przesłuchaniu polepszy sytuację pańskiego klienta? – zapytał szyderczym głosem porucznik Kot. – Prędzej czy później i tak zawiśnie.

– Czy przyznaje się pan do popełnienia zarzucanych mu czynów? – zapytał Aleks, podsuwając Lisowi dokument do podpisu.

– Ja tego nie podpiszę, panie prokuratorze – odparł Lis z zaciętym wyrazem twarzy – jestem niewinny.

– Do tego dojdziemy, panie Lis. Tymczasem proszę złożyć swój autograf na dowód, że został pan zapoznany z tym postanowieniem i pouczony o prawie składania bądź odmowy wyjaśnień. Ma pan też prawo do zachowania milczenia, rzecz jasna.

Lis i jego obrońca wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie mam nic do powiedzenia – ponurym głosem odezwał się Marian Lis po chwili namysłu.

– Wyprowadźcie go – ryknął Aleks, tracąc do reszty panowanie nad sobą. – Jest pan tymczasowo aresztowany na okres trzech miesięcy. Przysługuje panu prawo złożenia zażalenia na to postanowienie.

– To niech już zrobi mój obrońca, skoro mu za to płacę! Podejrzany obrzucił Aleksa kąpiącym spojrzeniem, wyraźnie lekceważąc sytuację, w której się znalazł.

– Niczego mi nie udowodnisz, prokuratoro.

– To się jeszcze okaże!

– Zabieraj się do roboty, Kot – ryknął Aleks na ociągającego się z wyjściem porucznika – bo niestety ten skurwiel ma sporo racji. Zabezpieczyliśmy samochód, którym rozjechał Antoniego Wita, bo na to wskazuje ekspertyza mechanoskopijna, ale nie mamy bezpośredniego dowodu, że to on siedział za kierownicą.

– Nie zostawił w nim ani jednego odcisku palca i nikt go nigdy w tym samochodzie nie widział – przyznał Kot.

– Relacje Lisa z Anitą dowodzą, że istotnie mógł mieć motyw, aby pozbyć się jej narzeczonego. Ale wiesz, jak to jest, poruczniku, słowo przeciwko słowu – kontynuował swoją wypowiedź Aleks.

– Nie sądzisz chyba, prokuratorze, że sąd da wiarę tym bredniom?

– A to zależy na kogo trafisz – roześmiał się Aleks – zwłaszcza, że ta nastoletnia ciężarna uciekinierka nie zrobi zbyt dobrego wrażenia na sądzie.

– Tak uważasz? – zdumiał się Kot cierpiący z powodu wyrzutów sumienia jakich nabawił się w związku z tą sprawą. Pamiętał, że wszyscy w komendzie nabijali się z nastolatki upierającej się, że ukradziono jej dziecko, a i on nie zrobił wtedy nic.

– Ona powie, że zwał ją do domu na odludziu, gwałcił i przetrzymywał tam wbrew jej woli, pozbawiając możliwości kontaktu z dzieckiem, a on, że zamieszkała u niego z własnej woli, a dzieciaka miała powyżej uszu i z radością oddała go jego żonie na wychowanie – podsumował Aleks, zapalając kolejnego papierosa.

– Wygląda na to, że nie mamy żadnego innego dowodu, że Lis odebrał Anicie dziecko i ją uwięził – zmartwił się Kot – zwłaszcza, że Lis twierdzi, że dziewczynka była chora, a jego żona miała zaprzyjaźnioną lekarzkę.

– Można by ją przesłuchać, panie prokuratorze – wtrącił młodszy aspirant Adam Ogon, zbierając się do wyjścia.

– Można by, gdyby Rebeka Lis zechciała z nami współpracować – westchnął ciężko Aleks.

– Nie trzeba było jej zamykać – mruknął pod nosem Kot. W tej kwestii akurat zgadzał się z Barbarą, że Rebeka jeśli tylko zgodzi się obciążyć męża, będzie o wiele bardziej przydatna jako świadek, aniżeli podejrzana.

– Ściągnijcie tutaj Anitę Wąs – zwrócił się Aleks z marsową miną do funkcjonariuszy policji – musimy dokonać formalnego okazania. Dziewczyna musi potwierdzić tożsamość Lisa i opowiedzieć po kolei, stojąc z nim twarzą w twarz, co jej zrobił. Ale uważaj, poruczniku i nie spieprz okazania.

– Jasne szefie – uśmiechnął się nieznacznie Kot.

Lubił Aleksa, ale chwilami działał mu na nerwy, a szczególnie ta jego okazywana na każdym kroku mania wyższości.

– Sądzisz, że konfrontacja jest konieczna? – zaniepokoiła się Barbara, słysząc o planach Aleksa – Anita śmiertelnie się go boi i może nie powiedzieć nic, a tym samym podważyć swoje wcześniejsze zeznania.

– Daj spokój, Basiu – roześmiał się Aleks, zajmując miejsce w pokoju rekreacyjnym obok szefa – taka głupia to ona chyba nie jest. Gdy jej powiesz, że ten facet znajdzie się natychmiast na wolności, jeśli wycofa swoje zeznania, to na wszelki wypadek jeszcze bardziej go obciąży.

– A co z tym samochodem?

– Wiemy, że samochód został dzień przed wypadkiem skradziony pod Zamościem, ale niestety pracownicy warsztatu rzekomo nie wiedzą, kto i kiedy wstawił to auto do naprawy. Musimy ich ponownie przesłuchać i okazać im Lisa.

Szef zadowolony z przełomu w śledztwie zaaprobował decyzję Aleksa o aresztowaniu Mariana Lisa.

– A co z jego żoną? – zapytał po chwili. – Nie macie jeszcze opinii sądowo-psychiatrycznej?

– Niestety nie, bo biegli wciąż mają wątpliwości co do jej poczytalności, głównie z uwagi na jej relacje z mężem. Prawdę mówiąc rzeczywiście trudno zrozumieć jej postępowanie, ale to z całą pewnością toksyczny związek, panie prokuratorze – wyjaśniła Barbara.

– Co pani ma na myśli pani Barbaro?

– Ona nie może bez niego żyć.

Barbara usłyszała salwę śmiechu kolegów i koleżanek obecnych przy tej rozmowie i poczuła na sobie ich wdzierające się w głąb jej duszy spojrzenia.

– Po tym wszystkim, co on jej zrobił? – zapytał Bogusław T., uważnie przyglądając się twarzy młodej prokuratoro, która pokryła się nagłym rumieńcem. Siedziała, po przeciwnej stronie konferencyjnego stołu, z łokciami opartymi o blat, a złotorude pukle sięgających ramion włosów okalały jej wyraźnie strapioną twarz.

– To szczególnie rodzaj więzi pomiędzy ciemnyścieniem a ofiarą w pełni podporządkowaną i nie wyobrażającą sobie, że mogłoby być inaczej. Uzależniona porusza się, jak w kieracie i nie widzi drogi wyjścia. Kocha go i nienawidzi jednocześnie, a oba te skrajnie ambiwalentne uczucia prowadzą ją do czynów desperackich, takich jak ta ostatnia próba samobójcza w areszcie. Wydaje mi się, panie prokuratorze, że Rebeka Lis jest rozdartą wewnątrz i nie jestem pewna czy w ogóle uda mi się

ją przesłuchać. Poza tym, można podejrzewać, że w psychiatryku faszerują ją lekami uspokajającymi i otepiającymi, aby nie świrowała.

– A właściwie, dlaczego ty miałabyś przesłuchiwać Rebeke, skoro to moje śledztwo? – złość przebiegała w głosie Aleksa.

– Nie licytujcie się – przerwał im prokurator rejonowy – myślę, że Rebecka chętniej będzie rozmawiać z kobietą, tym bardziej, że pani Barbara już raz uchyliła jej areszt.

Rozmowę przerwało pojawienie się Genowefy M. i Eugeniusza W.

– Wszystkiego najlepszego, moi drodzy – zwrócił się do nich Bogusław T.

– Wasze zdrowie – wzniesli toast koledzy, składając solenizantom po kolei życzenia, a po chwili, gdy tylko prokurator rejonowy opuścił pokój rekreacyjny, ktoś zaintonował:

Wiosną młode serca od miłości drżą...gdzie jeśteś ma Suliko...

Aleks dokładnie tak, jak przed rokiem, otoczył kibić Barbary ramieniem i przytulił swoją twarz do jej twarzy. Siedziała teraz obok niego w tych swoich jasnyniebieskich jeansowych dzwonach, z nogą założoną na nogę, a pod czarnym obcisłym sweterkiem rysowały się wyraźnie jej niezbyt obfite piersi.

– 75 C – podglądnał rozmiar na metce jej stanika i nadal zastanawiał się, jaki rozmiar nosi, siedząca obok Eugeniusza W., Anna M.

– Co najmniej dwa albo nawet trzy rozmiary większy – spekulował, kątem oka obserwując niczego nie podejrzewającą koleżankę.

– Szkoda, że nie ma z nami Dzidki – westchnęła Barbara – jej także wypadaloby złożyć życzenia.

Wiadomość o poważnej chorobie protektorki mocno ją zmartwiła, tym bardziej, że jej funkcję drugiego zastępcy szefa, objął sekretarz podstawowej organizacji partyjnej Władek G.

Gdy opuścili budynek prokuratury dobrze po północy. Było mroźno i prosił śnieg.

– Chyba nie uda nam się złapać taksówki – zmartwiła się Barbara – może jakiś radiowóz podrzuciłby nas do Krakowa.

Odczuwała jakiś dziwny rodzaj zmęczenia, choć wcale nie czuła się pijana, a w każdym razie nie w tym stopniu jak rok temu, gdy mocno odurzona alkoholem trafiła w ramiona Aleksa. Przez myśl jej wtedy nie przeszło, że sprawy tak się potoczą i że uda się jej wyimpasować go z małżeństwa. Na wspomnienie tamtej pierwszej nocy roześmiała się w głębi ducha i przytuliła się do mężczyzny mocniej. Przez dłuższą chwilę czekali na postoju taksówek przy Placu Centralnym i byli już niemal gotowi ruszyć na piechotę do Krakowa, gdy nagle zatrzymał się przy nich patrolujący ulicę radiowóz.

– Dzięki Bogu – westchnęła Barbara – już prawie zamarzłam.

Zrzuciła z siebie ubranie i wskoczyła do wanny pełnej gorącej wody, a Aleks, nie pytając o zgodę, do niej dołączył. Gdy obudziła się rano z ciężką głową, zastała Aleksa nad aktami. Uśmiechnął się na widok filiżanki ze świeżo zaparzoną kawą i o dziwo bez sprzeciwu przekazał jej akta sprawy, mówiąc, że może prosto stąd pojechać do Kobierzyna.

– Zwariowałeś, jak ja się tam dostanę?

– Szef obiecał przysłać po nas samochód o 8.30. Tyle potrzeba, aby kierowca tutaj dojechał.

– Mam jechać sama? – upewniła się Barbara, nie dowierając własnym uszom. Zdziwiła się, że przestał upierać się przy swoich prerogatywach głównodowodzącego w śledztwie.

– Tak będzie lepiej, zwłaszcza że ja jeszcze raz spróbuję porozmawiać z Lisem. Jak nie zaczniesz mówić, będzie to proces poszlakowy i niestety on to wie.

– Możesz być pewny, kochany, że on nigdy do niczego się nie przyzna – zażartowała Barbara, wciągając na siebie ciepły wełniany sweter. – Zdaniem doktora Goldsteina mąż jego wnuczki Rebecki jest rasowym zdolnym do wszystkiego, wyjątkowo przebiegłym i niebezpiecznym psychopata. Między wierszami zasugerował, że on albo jego ojciec Włodzimierz Lisowicz, mogli pracować w obozie koncentracyjnym w Bełcu przy spalaniu zwłok.

– Tam gdzie zginęła żona Goldsteina?

– Dokładnie tam. Jeśli to prawda, to niewykluczone, że Lis poznał wtedy matkę Rebecki, Sarę Goldstein. Z relacji doktora Goldsteina wynika, że Lis od samego początku, jak tylko przyjechał ze Lwowa do Krakowa, zainteresował się dziewczynką. Odnalazł Rebeke, gdy miała zaledwie kilka lat i stale się koło niej kręcił. Przychodził pod szkołę i zabierał ją na lody. Niepokoiło to doktora Goldsteina i zastanawiał się, czego właściwie starszy o dwadzieścia lat chłopak od niej chce.

– I nic z tym nie zrobił? – zapytał Aleks, przygotowując sobie drugie śniadanie. Metodycznie składał kromki chleba i obkładał wędliną, tak jak robiła to zawsze jego babcia, a potem Maryla. Na Barbarę wołał nie liczyć, bo najczęściej udawało się jej wypić filiżankę kawy w przelocie pomiędzy pokojem a łazienką.

– Nie mógł nic zrobić, bo był zaszczytnym Żydem, a Marian Lis szychą w Urzędzie Bezpieczeństwa. Początkowo wydawało mu się zresztą, że Rebecka jest jedynie pretekstem do objęcia ich inwigilacją.

– To ciekawe – mruknął Aleks, pakując kanapki do swojej torby.

– A co z tą poćwiartowaną kobietą, której zwłoki znalazły się w kombinacie? Macie głowę?

– To nie takie proste, moja droga.

– Masz takich wspaniałych asów wywiadu, Aleks, a niczego nie znaleźli? Ja na twoim miejscu sprawdziłabym nawet ubojnię, ale przypuszczam, że on tę babę wywiózł tak, jak Anitę na odludzie i tam porąbał na kawałki.

– Masz rację, Basiu, że są nikłe szanse na odnalezienie głowy na terenie Huty, a niestety policja na tamtejszym terenie nie kwapi się do roboty i nawet dwa trupy wykopane w ogrodzie nie poderwały jej do lotu. Ale jest też dobra wiadomość, bo krąg kobiet zaginionych w ostatnim okresie wyraźnie się zacieśnił, a jedną z nich mogły łączyć z Lisem bliższe relacje.

– Kto to był? – podskoczyła z wrażenia Barbara.

– Trzydziestoletnia *call girl* mieszkająca z Lisami niemal po sąsiedzku.

– To chyba za mało? – westchnęła Barbara.

– Na razie za mało, ale pracujemy nad tym – odparł Aleks z tajemniczym wyrazem twarzy.

– Ale przy okazji wypytaj Rebeke, ile kobiet bywało u nich w domu i jak on się do nich odnosił.

– Ależ, Marian Lis nie wygląda na Don Juana – zażartowała Barbara.

– Tym bardziej mógł mieć więcej powodów, aby zabić tę kobietę.

– Sądzisz, że ma sadystyczne skłonności predysponujące go do mordowania kobiet? – podchwyciła Barbara. – Nienawidzi ich? Jest impotentem, homoseksualistą albo pieprzonym pedofilem? – W głosie Barbary pojawiła się drwiąca nuta.

– W mojej opinii on nie ma cech seryjnego mordercy i nie działa w sposób ukartowany, lecz spontanicznie podejmuje decyzję. Przez Anitę Wąs został przyparty do muru i to przesądziło o jej losie. Gdyby Antoni Wit ich nie nachodził, nie nagabywał pytaniami o dziewczynę i dziecko, nie groził, że powiadomi milicję, też pewnie by żył. Zaczął stanowić dla Lisa, który już w tym czasie więził Anitę w domu pod Zamościem, poważne zagrożenie i dlatego zginął.

– Powiedz mi w takim razie, czym się kierował, wywoząc dziewczynę z miasta – zaproponował Aleks – i dlaczego, u diabła, to zrobił, skoro, jak twierdzisz, nie miał zamiaru jej zabić?

– To jest słaby punkt – przyznała Barbara, dolewając Aleksowi kawy do filiżanki – w zasadzie są dwie możliwości.

– Tak? – w głosie Aleksa pojawiła się lekko protekcyjna nuta, co nie uszło uwadze Barbary.

– Jedna związana z silną potrzebą macierzyństwa Rebeki Goldstein, która chciała małeństwo zatrzymać dla siebie. Nie wykluczone, że wpadła w rozpacz, kiedy Anita Wąs, zmieniła zdanie.

– A druga?

– Druga, to szczególny rodzaj relacji, jaki zawiązał się pomiędzy Lisem a dziewczyną. Anita przyznaje, że Lis opiekował się nią, gdy była w ciąży. Nie miał nic przeciwko temu, aby u nich zamieszkała i korzystała z kuchni, za nic nie płacąc, a po rozwiązaniu zaczął ją wykorzystywać seksualnie, czemu początkowo się nie sprzeciwiała, bo chciała dotrzeć do powrotu chłopaka z więzienia, i dopiero kiedy sprawy zaszły za daleko, zagroziła, że powie o wszystkim Rebecce.

– Sądzisz, że chciał ją uciszyć?

– Jestem pewna, że za nic w świecie nie naraziłby swojego małżeństwa – powiedziała Barbara znaczącym tonem. – Anita mogła mu nawet przypominać nastoletnią, ciężarną niegdyś Reбекę Goldstein.

Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia i Aleks zaczął zbierać akta ze stołu do wielkiej torby, którą zazwyczaj nosił przewieszoną przez ramię.

– Zobaczymy się w biurze – powiedział Aleks, wychodząc. – A przy okazji zapytaj też Reбекę o Miriam Weiss.

Barbara wsiadła do służbowego samochodu. Bała się ponownego spotkania z Reбекą Goldstein. Samochód wjechał na teren rozległego parku i zatrzymał się przed wejściem głównym.

– Dalej musi sobie pani prokurator radzić sama – usłyszała głos kierowcy.

Nie była pewna czy rzeczywiście to powiedział, czy też sobie tego wypowiedź wymyśliła.

– Zaczyna się – pomyślała – tutaj wszystko jest możliwe.

– Czy zakończyliście już państwo obserwację Rebeki Goldstein? – zwróciła się niezbyt pewnym tonem do uroczego skądinąd ordynatora w sile wieku z włosami przyprószonymi lekką siwizną.

– Najtrudniej jest odpowiedzieć na pytanie, czy Rebeca, nawet jeśli miała możliwość rozpoznania znaczenia czynu i dokonania

jego oceny z punktu widzenia dobra i zła, mogła pokierować swoim postępowaniem – zaczął wymijająco, a widząc że Barbara nie daje za wygraną, zaprosił ją do swojego gabinetu i zaproponował kawę.

Zrzuciła z siebie kożuszek i usiadła w wielkim przepaścistym fotelu *vis-a-vis* mężczyzny w białym fartuchu. Podobał się jej dojrzały faciecik z czarnymi włosami przyprószonymi lekką siwizną i rozważała w myślach, że może dałoby się tego tutaj uwieść. W powietrzu unosił się znany jej zapach *Old Spice*.

– Zrzuciła jej pani prokurator współudział w zbrodniach popełnionych przez jej męża Mariana Lisa? – profesor od początku nie ukrywał swojego sceptycyzmu.

– Ukartowanym pozbawieniu życia Antoniego Wita przy użyciu samochodu, którym się poruszał – ciągnął dalej, taksując Barbarę wzrokiem tak, jakby się dziwił, co osoba tak młoda jak ona właściwie tutaj robi – a także pozbawieniu wolności Anity Wąs i odebraniu jej dziecka?

– Zgadza się, panie profesorze.

– Problem polega na tym, pani prokurator, że badając relacje podejrzanego z mężem, czyli głównym podejrzanym w tej sprawie, dochodzimy do wniosku, że Rebeca była osobą absolutnie bezwonną, w naszej opinii niezdolną do przeciwstawienia się jego woli i to co najmniej z kilku powodów. Jednym z nich jest paralizujący lęk. Obawa, że wpadnie w furję i zrobi jej krzywdę. Nie był to lęk zresztą bezpodstawny, bo z wywiadu środowiskowego wynika, że Lis miał problemy z agresją i wielokrotnie sąsiedzi wzywali milicję, bo się awanturował. Posiniaczona i zakrwawiona za każdym razem zaprzeczała, że pobił ją mąż.

– To prawda – przyznała Barbara. – Nigdy nie udało się oskarżyć go o znęcanie się nad żoną, bo za każdym razem korzystała z prawa do odmowy zeznań. Jej dziadek, doktor Goldstein, sugeruje, że Rebeca nie potrafi żyć bez Mariana Lisa.

– Dotyka pani prokurator sedna sprawy. To drugi powód, który wyłącza po stronie Rebeki możliwość podejmowania racjonalnych decyzji. Jest mocno zaburzona, ze skłonnością do hysterii. Jednocześnie nie stwierdzamy u niej żadnej choroby psychicznej, takiej która zakłócałaby jej zdolności poznawcze. Ale nie wyprzedajmy faktów – uśmiechnął się do Barbary – nadal ją obserwujemy i to jeszcze musi trochę potrwać. A zresztą zapewne pani wie, że miłość niekiedy, a zwłaszcza ta obsesyjna, prowadząca do destrukcji relacji z obiektem uczuć, pozbawia człowieka zdrowego rozsądku.

– Z pewnością ma pan rację – mruknęła Barbara – tylko nie rozumiem, dlaczego akurat mnie pan to mówi?

Siedziała za biurkiem ordynatora, kiedy wprowadzono Reбекę Goldstein. Nie była to już ta sama, pewna siebie niewiasta, którą widziała kilka miesięcy temu. Brudne, posklejane pasma od dawna nieczesanych włosów okalały wychudłą twarz, a oczy jakby zapadły się w głąb i przestały rzucać odstraszaające błyski.

– Proszę usiąść – zwróciła się do kobiety łagodnym tonem.

– Jak się pani dzisiaj czuje?

– A jak się mam czuć, skoro aresztowano mojego męża.

Barbara chciała zapytać, skąd o tym wie, ale się powstrzymała.

– Czy to prawda, pani prokurator? – zwróciła się do Barbary tym swoim napastliwym, oskarżycielskim a przy tym nieco histerycznym tonem podejrzana.

– Tak – potwierdziła Barbara. – To prawda

– Czego więc pani ode mnie chce, skoro go już macie?

– Jest pani podejrzana o udział w...

Rebeka Lis poderwała się z miejsca i zamachała w powietrzu rękami tak, jakby chciała odgonić duchy.

– Nic pani nie powiem – podniosła głos.

– A ja radziłabym pani pójść z nami na współpracę, bo wtedy inaczej będzie wyglądała pani sytuacja w procesie.

– Zrobi pani ze mnie świadka? – parsknęła złowróbnym śmiechem Rebeka. – To niedorzeczne, bo mam prawo do nieodpowiadania na pytania, które mogłyby narazić na odpowiedzialność karną mojego męża.

– Ale to nie znaczy, że musi pani z tego prawa skorzystać – odpowiedziała Barbara ze spokojem w głosie, zastanawiając się skąd Rebeka Goldstein o tym wie.

– Wie znacznie więcej aniżeli można by przypuszczać – pomyślała Barbara, przyglądając się uważnie podejrzanej.

– A poza tym, pani prokurator, ja już nie mam nic do stracenia. Wszystko na czym mi zależało odeszło i pozostała już tylko pustka.

Kobieta siedziała ze splecionymi rękami, wpatrując się w okno i wyraźnie unikała wzroku Barbary. Już miała zakończyć przesłuchanie, gdy raptem przypomniała sobie o prośbie Aleksa.

– Zna pani może Miriam Weiss? – zapytała, a wtedy w oczach podejrzanej pojawił się wyraz zdziwienia.

– A dlaczego pani o nią pyta?

– To ja tutaj zadaję pytania – Barbara poczuła nagły przypływ gniewu. – Proszę odpowiedzieć, czy pani ją zna?

– Oczywiście, że ją znam – odparła Rebeka – to moja kuzynka.

– A dokładnie?

– To wnuczka Izaaka Goldsteina, brata mojego dziadka.

– W takim razie z pewnością pani wie, że została zamordowana?

Wyraz twarzy Rebeki Goldstein gwałtownie zmienił się w tym momencie. Poderwała się z miejsca i tak jak poprzednio zamachała w powietrzu rękami, po czym osunęła się na ziemię. Przerazona Barbara wypadła na korytarz, głośno krzycząc „ratunku”. Po dłuższej chwili zjawił się pielęgniarz, który zamiast siedzieć pod drzwiami i nie wiadomo dlaczego i dokąd się oddalił. Po nim wszedł lekarz podejmując reanimację.

– Dobry Boże – jęknęła Barbara, widząc jak do piersi maleńkiej kobietki przykładają dwie wielkie elektrody.

– Cofnąć się – rozkazał trzymający je lekarz – raz, dwa, trzy.

– Niech pan nie pozwoli jej umrzeć – chciała krzyknąć Barbara, widząc daremne wysiłki personelu medycznego.

– Wracaj Rebeko! – usłyszała nagle za sobą znajomy głos i zobaczyła postać doktora Goldsteina.

– Niech pani stąd wyjdzie, kimkolwiek pani jest – zwrócił się do Barbary opresyjnym tonem lekarz, któremu udało się przywrócić akcję serca Rebeki Goldstein.

– I pan też, doktorze Goldstein!

– Ale ja muszę ją przesłuchać! – opierała się Barbara.

– Pani chyba żartuje, pani prokurator – złapał ją pod rękę ordynator i poprowadził do wyjścia.

– O żadnym przesłuchaniu nie może być mowy, bo to my odpowiadamy za pacjentkę.

– A słyszał pan może o zamordowaniu doktor Miriam Weiss? – Barbara wypaliła, z trudem panując nad ogarniającą ją wściekłością.

– Może panu uda się dowiedzieć, kto ją zabił i dlaczego.

– Nie jestem pewny, pani prokurator, czy i kiedy uda nam się nawiązać z Rebeką kontakt – usłyszała Barbara w odpowiedzi. – Już wcześniej miewała epizody, po których następowała totalna amnezja.

– A w hipnozie?

– Niech pani da spokój, to nie Ameryka!

– Nie Ameryka, ale dwudziesty wiek – pomyślała Barbara, kierując się do zaparkowanego przed szpitalem samochodu.

– Gdzie się podział kierowca – zakłęta w duchu, widząc że auto jest zamknięte.

Barbarze wydawało się, że siedzący naprzeciwko niej osiemdziesięcioletni starzec ze wzrokiem utkwionym w okno jest nieobecny duchem.

– Zaczniemy od początku – wyrwała go z zamyślenia – proszę opowiedzieć o sobie i swojej rodzinie.

Wstał, zdjął z siebie długi czarny płaszcz z futrzanym kołnierzem, spod którego wyłonił się elegancki garnitur i powiesił na stojącym tuż przy drzwiach wieszaku, a kapeluszyk położył na sąsiednim krześle.

– No cóż – odezwał się lekko schrypniętym głosem – nie wiem, co chciałaby pani usłyszeć.

– Wszystko – uśmiechnęła się do niego Barbara.

– Urodziłem się w 1895 roku we Lwowie jako syn przedsiębiorcy. W tamtym czasie prezydentem miasta był Józef Neuman, z którym byliśmy skoligaceni, bo prezydent, tak jak mój ojciec, poślubił córkę najbogatszego drukarza Galicji, Korneliusza Pillera. Mój ojciec Aniela, a Józef Neuman jej siostrę Kazimierę. Zakład poligraficzny Pillerów mieścił się przy ulicy Łyczakowskiej we Lwowie, a na jego fasadzie widniał herb Austrii, na znak, że stamtąd wywodził się jego założyciel Antoni Piller. Przybył do Lwowa pod koniec osiemnastego wieku i zbił tam fortunę.

– To akurat bez znaczenia, panie Goldstein.

– Drukarnia działała aż do wybuchu wojny i przynosiła ogromne zyski, co otwierało to przede mną i moim bratem Izaakiem nieograniczone możliwości. Obydwaj podjęliśmy studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza, a kiedy mój brat poślubił córkę krakowskiego rabinu Józefa Kornitzera, Leę Kornitzer, przenieśliśmy się obaj do Krakowa, bo ożeniłem się z panną na weselu brata krakowianką, Anabel Koch, matką mojej córki Sary, o której opowiadałem pani poprzednio.

– Powolutku, panie Goldstein – ostudziła zapał świadka Barbara – muszę zanotować wszystko, co pan mówi,

– Sara urodziła się pod koniec wielkiej wojny i poszła w moje ślady. Studiowała na wydziale lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego razem z Różą, córką mojego brata, Izaaka. Wiadomo, że wszystkie nasze plany pokrzyżowała wojna, ale o tym nie muszę pani mówić.

Świadek spojrział na Barbarę pytającym wzrokiem.

– Ma pan rację, nie będziemy przywoływać faktów powszechnie znanych – uśmiechnęła się Barbara – ale proszę wyjaśnić, jakie były losy pańskiej bratanicy Róży.

– Na szczęście Róża Goldstein nie odziedziczyła urody po swojej matce Lei Kornitzer, lecz po moim bracie Izaakowi, który był rudy jak marchewka i dzięki temu udało się jej przetrwać wojnę na aryjskich papierach w jednym z podkrakowskich majątków, gdzie nikt jej nie znał. Tam też urodziła córkę Miriam Weiss.

– A jak potoczyły się losy pańskiej córki Sary? Dlaczego znalazła się w Bełżcu?

– Trudno mi o tym mówić, pani prokurator.

– Może podać panu szklankę wody, panie Goldstein?

– Nie trzeba!

– Tuż przed wybuchem wojny, na początku lata, moja córka Sara pojechała do Lwowa, aby odwiedzić moją matkę, a swoją babkę Anielę Goldstein, wówczas blisko osiemdziesięcioletnią staruszkę, która wciąż trzymała się blisko ze swoją również owdowiałą w 1932 roku siostrą Kazimierą Neumanową.

Jedna z córek Neumanów, Zofia, wyszła za mąż za Józefa Weissa i tym samym czasie, w którym przyszły na świat Sara i Róża, urodziła bliźnięta Aloizego i Szymona, którzy po śmierci dziadka zajmowali się prowadzeniem drukarni Pillerów.

Właściwie od samego początku było wiadomo, że Sara wyjdzie za mąż za jednego z nich, a Róża za drugiego. Nawet sziducha była niepotrzebna.

– Proszę kontynuować, doktorze Goldstein.

– To byli wspaniali chłopcy, muszę przyznać, choć wszyscy w rodzinie mieli im za złe że się asymilują i nie przestrzegają zasad naszej wiary. Planowaliśmy z bratem i Weissami wspaniały ślub na jesieni, tak jak to bywało w zwyczaju, a tymczasem wybuchła wojna.

– Ślub pod hupą, panie Goldstein?

– Róża i Alojzy Weiss widząc na co się zanosi, wyjechali latem na wakacje na Łazurowe Wybrzeże i tuż po powrocie do Krakowa wzięli całkiem cichy ślub, bo on w międzyczasie otrzymał kartę mobilizacyjną, natomiast moja córka Sara do końca nie była zdecydowana. Raz przyjmowała oświadczyny Szymona Weissa, a raz je odrzucała, aż w końcu on się na nią obraził.

– I to był rzeczywisty powód wyjazdu pańskiej córki do Lwowa, panie Goldstein?

– Pojechała razem z moją żoną. Ja nie mogłem im towarzyszyć, bo też otrzymałem powołanie do wojska.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– Pyta pani prokurator, po co pojechała?

Barbara przytaknęła skinieniem głowy.

– To działo się bardzo szybko i prawdę mówiąc wojna totalna nas zaskoczyła. Każdy chciał pozatlatwić wszystkie swoje sprawy, póki jeszcze się da. Nikt nie spodziewał się totalnej klęski w tak krótkim czasie, a tym bardziej napaści ze strony Rosji. Jak już poprzednio mówiłem, po kapitulacji Polski we wrześniu 1939 roku, podobnie jak większość moich kolegów zrzuciłem mundur, przedarłem się przez Karpaty i znalazłem się najpierw na Węgrzech a potem w Rumunii, a następnie zaś w obawie, że zostanę tam internowany, uciekłem na Bliżni Wschód. W 1942 roku znalazłem się w Iranie i dołączyłem do armii tworzonej przez generała Andersa, a po wojnie znalazłem się w Londynie.

– Wróćmy do pańskiej córki Sary, panie Goldstein.

– Pogodziła się z Szymonem Weissem, lecz nie zdążyli wsiąść ślubu. Podobno sprzeciwiała się temu moja matka Aniela, uważając, że ślub, na którym nie baluje co najmniej sto osób, to nie ślub. Ale, co tu dużo mówić, chodziło też o stosunek Szymona do religii.

– Był przechszta?

– W takim wypadku Sara nigdy nie zostałaby jego żoną, a on był w niej do szaleństwa zakochany.

– A ona?

– Trudno powiedzieć. Z jednej strony wiedziała, że powinna wyjść za mąż za Żyda, a z drugiej pociągał ją otwarty akademicki świat, w którym było wielu ciekawych mężczyzn zabiegających o jej względy. Prowadziliśmy z żoną otwarty dom, organizowaliśmy przyjęcia i bale, na których bywała societa. Ostatecznie jednak Sara przyjęła oświadczyny Szymona, bo gdyby nie to, nie pojawiłaby się na świecie Rebeka.

Szymon, podobnie jak jego brat, wyruszył na wojnę, a moja córka Sara wraz ze swoją matką po wkroczeniu we wrześniu 1939 roku do Lwowa Armii Czerwonej znalazła się w potrzasku. Lwów poddał się, bo wojna była przegrana.

– Nie bronił się tak jak w 1918 w czasie wojny polsko-ukraińskiej – wtrąciła mimochodem Barbara.

– Masakra zaczęła się po wypowiedzeniu w czerwcu 1941 przez Hitlera wojny Rosji – podjął przerwany wątek Samuel Goldstein. – I wtedy zaczęło się polowanie na Żydów. Pod koniec lipca 1941 roku Niemcy nałożyli na ludność żydowską kontrybucję w wysokości 20 milionów rubli i aby skłonić ją do spełnienia żądań przeprowadzili pogrom. Zburzyli synagogi i wymordowali ponad dwa tysiące Żydów spośród 75 tysięcy ludzi posługujących się językiem jidisz lub hebrajskim. We wrześniu 1941 roku utworzono getto, w którym znalazło się ponad 136 tysięcy osób. W marcu 1942 roku Niemcy przewieźli do obozu zagłady w Bełżcu 15 tysięcy ludzi nieprzydatnych do pracy, a w sierpniu kolejnych 50 tysięcy. W tym transporcie znalazła się również moja żona i córka – głos Samuela Goldsteina załamał się.

– Nie mogli im pomóc Pillerowie albo Neumanowie?

– Pani nie wie, co to były za czasy – Goldstein obrzucił Barbarę ironicznym spojrzeniem zdającym się mówić, że nie ma o niczym pojęcia.

– Pillerówny już wcześniej, a Neumanówny za czasów prezydentury Józefa Neumana przechodziły kolejno konwersję, dlatego też ślub Róży i Sary, które nie wyobrażały sobie, aby mogły rozstać się z wiarą przodków, stał pod znakiem zapytania. A zresztą Pillerów już wówczas nie było. Wszyscy, podobnie jak większość urzędniczej inteligencji, do której zaliczała się cała rodzina nieżyjącego już wówczas prezydenta Lwowa Józefa Neumana, w lutym 1940 roku zostali wywiezieni przez Rosjan na Syberię. Jak pani widzi, jedni i drudzy źle na tym wyszli: i Żydzi i nie Żydzi. Pomimo chrztu trafili do białego piekła.

– Wiadomo nam, że pańska żona i córka zginęły w Bełżcu i ocalała jedynie wnuczka Rebeka Goldstein. Z tego by wynikało, że istotnie nie doszło do zawarcia małżeństwa Sary z Szymonem Weissem?

– Nie doszło, bo wybuchła wojna.

Samuel Goldstein wstał gwałtownie z krzesła i wyglądało, na to, że za chwilę zemdleje. Poderwała się również Barbara.

Po dłuższej przerwie wznowiła przesłuchanie

– Co pan może powiedzieć na temat okoliczności śmierci doktor Miriam Weiss, panie Goldstein? – zapytała Barbara uważnie przyglądając się twarzy przesłuchiwanego świadka. – Wie pan, że córka Róży Goldstein została zamordowana?

– Tak wiem – padła lakoniczna odpowiedź.

– I nic więcej nie ma pan ten temat do powiedzenia?

– Nic, co mieściłoby się w sferze faktów, nic co byłoby pewne – głos Samuela Goldsteina wyraźnie się załamał.

– Ja rozumiem, że trudno jest panu o tym wszystkim mówić, ale są to okoliczności istotne w sprawie. Proszę nie utrudniać śledztwa, panie Goldstein. – W głosie Barbary pojawiła się nuta zniecierpliwienia – Wciąż nie wiemy, kto zamordował doktor Miriam Weiss.

– Ależ, ja staram się pomóc, pani prokurator.

– Proszę w takim razie powiedzieć, czy pan i Rebeka utrzymywaliście z rodziną brata bliskie kontakty?

– Kiedy przywieziono do Krakowa Rebeke, mnie w tym czasie nie było w kraju, więc zaopiekował się nią mój brat Izaak i jego córka, Róża Weiss. Jej córka Miriam była dokładnie w wieku mojej wnuczki Rebeki, ale była pomiędzy nimi ogromna przepaść rozwojowa. Inteligentna dziewczynka nie panowała nad swoimi emocjami i nie mogła pokonać traumy, jaka ją dotknęła. Najprawdopodobniej matka uratowała ją od śmierci przekazując w obce ręce, jako niespełna trzyletnie dziecko, ale musiał to być dla niej wstrząs. W Bełżcu Niemcy prowadzili eksterminację ludności żydowskiej, więc gdyby tam trafiła zginęłaby razem z matką, albo nawet wcześniej. Słyszała pani zapewne o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”?

– Wróćmy do relacji pomiędzy Rebeką a Miriam.

– Pomimo ogromnych wysiłków ze strony mojego brata i Róży, Rebeka nie potrafiła nawiązać więzi uczuciowej praktycznie z nikim. Co raz trafiała pod opiekę psychologów i najogólniej rzecz ujmując, odstręczała od siebie ludzi. Była wrogo nastawiona niemal do wszystkich i nie wykazywała przejawów empatii. To się zmieniło, gdy w jej życiu pojawił się Marian Lis.

– O ich wzajemnej relacji opowiadał pan podczas poprzedniego przesłuchania. Wróćmy do Miriam?

– Mój brat zmarł w niedługi czas po sprowadzeniu do kraju Rebeki, więc później moja wnuczka była zdana już tylko na Różę, której trudno było łączyć pracę zawodową z wychowywaniem dziewczynek. Miriam nie przysparzała jej żadnych problemów, ale z Rebeką były wieczne kłopoty. Ślub brała jako nieletnia za zgodą sądu, bo zaszła w ciążę. Zamieszkała z Marianem Lisem i urodziła dziecko niezdolne do życia. Zmarło w trzy dni po urodzeniu. Zaczęła nawet studia, ale wyrzucono ją z uczelni, gdy została aresztowana. Niczego jej nie udowodniono, ale orzeczono w stosunku do niej detencję. Ale to była sprawa z tak zwanym drugim dnem. Wielu ludziom zależało na tym, aby została umieszczona bezterminowo w zakładzie psychiatrycznym. Zwolniono ją dopiero po kolejnej próbie samobójczej. Mnie zmuszono w 1968 roku do opuszczenia kraju i wtedy straciłem z wnuczką kontakt. Mogła wyjechać ze mną, ale nie chciała rozstać się z Marianem Lisem.

– Dobry Boże – westchnęła w duchu Barbara.

– A Miriam, panie Goldstein?

– Miriam skończyła medycynę, zrobiła specjalizację, doktorat, ale nie ułożyła sobie życia osobistego. Wiem, że opiekowała

się Rebeką, a kiedyś nawet powiedziała, że to przez wzgląd na nią podjęła specjalizację z psychiatrii.

– A jak odnosił się do niej Marian Lis?

– Robił wszystko, aby odizolować Rebeke od rodziny, przyjaciół i znajomych. Każdy, kto próbował się do niej zbliżyć automatycznie stawał się jego wrogiem.

– Czy mógł mieć powód, aby zabić Miriam Weiss?

– Z tego punktu widzenia tak, ale wtedy znacznie więcej ludzi musiałyby zginąć, a ja przede wszystkim. Byłem jego wrogiem numer jeden.

– Czy Rebeka mogła ujawnić Miriam coś, co mogło zagrażać Lisowi i sprowokowało go do działania?

– Czy ja wiem? – świadek się zawahał. – One generalnie nie miały ze sobą kontaktu, a jeśli to bardzo rzadki, nad czym Miriam zresztą ubolewała. Nie mogła jej odwiedzać, bo nie pozwalał na to Lis, nawet wówczas, gdy Rebeka chciała się zabić po stracie dziecka. Matka Miriam, Róża Weiss zawsze zwracała uwagę na to, że Rebeka jest niestabilna emocjonalnie i że w każdej chwili może zrobić jakieś głupstwo. Starła się jej pomagać, ale na depresję nie ma lekarstwa. Dopiero po latach, gdy Rebeka znalazła się na oddziale psychiatrycznym, na którym pracowała wówczas Miriam Weiss, ponownie doszło pomiędzy nimi do zbliżenia. Miriam starała się pomóc Rebecce i podobno zastosowała nawet w stosunku do Rebeki hipnozę.

– Z jakim rezultatem? Rozmawiał pan o tym w wnuczką, panie Goldstein?

– Nie miałem takiej możliwości, natomiast Miriam zasłaniała się tajemnicą lekarską. Domyślałem się jedynie, że chodziło o wydobycie wspomnień Rebeki z najwcześniejszego dzieciństwa.

– A kiedy widział się pan z Miriam Weiss po raz ostatni, panie Goldstein?

– Dokładnie nie potrafię powiedzieć, ale z całą pewnością przed jej wylotem z Londynu pod koniec lata 1978 roku. Kończyła właśnie staż i przyszła się ze mną pożegnać. Mówiła, że dokuca jej londyńska mgła.

Staruszek otarł ukradkiem łzę.

– Gdzie znajdziemy matkę Miriam, Różę Weiss? Zna pan jej adres panie Goldstein?

– Podobnie jak ja, w 1968 roku straciła pracę, pomimo że była już wówczas profesorem medycyny i wyjechała do Izraela, ale przez cały czas utrzymywała z Miriam serdeczne kontakty. Widywały się często, gdy Miriam była na stażu za granicą.

– Czy mógłby pan zawiadomić ją o konieczności przesłuchania, panie Goldstein?

– Zatelefonuję do niej, pani prokurator. Ktoś musi przecież pochować to biedne dziecko. To wnuczka mojego brata!

– Przeanalizujemy, panowie sytuację – zaczął Aleks zwoławszy zespół śledczy. – Koło się zamyka, ale ciągle brakuje kilku istotnych informacji. Trzeba prześledzić, co robiła Miriam Weiss od chwili wylądowania w Polsce. Gdzie i kiedy przekroczyła granicę i z kim się kontaktowała po powrocie. Niestety zaniedbaliśmy to śledztwo.

– Co tam jedna mniej czy więcej zaginiona kobieta – wtrąciła, nie kryjąc swojej dezaprobaty Barbara. – Przez blisko pół roku nie zrobiliście panowie w tej sprawie nic. Dokładnie nic, jeśli nie liczyć sekcji zwłok. Ale właśnie wynik protokołu oględzin

obligował was do zamieszczenia informacji w prasie, opublikowania zdjęć ofiary, bo w takim wypadku z całą pewnością ktoś by ją rozpoznał. Połączył wizerunek osoby zaginionej z wizerunkiem denatki.

– Niech pani nie przesadza – ofuknął Barbarę wąsisty grubas rządzący komendą.

– Nie przeszukaliście nawet jej mieszkania, nie skontaktowaliście się z pracodawcą, nie mówiąc już nawet o tym, że zwłoki Miriam Weiss nie zostały dotąd pochowane.

– Żadna z poszlak nie prowadziła do Lisa – warknął naczelnik wydziału śledczego, zapalając kolejnego papierosa.

– Aż do dzisiaj – uśmiechnęła się Barbara. – Ale nadal nie znamy motywu, którym się kierował. Możemy jedynie domyślać się, że chodziło o relacje łączące Miriam z Rebeką. Mogła przekazać jej jakieś zagrażające Lisowi informacje. Może opowiedziała jej o czymś, co działo się w zamierzchłej przeszłości.

Barbara zawiesiła na moment głos, obserwując wyraźnie znużone albo zmęczone twarze zgromadzonych. Wiedziała, że jest późno i nie powinna w ogóle zabierać głosu. W końcu to nie była jej sprawa, a Aleksa.

– W zeznaniach doktora Goldsteina przewija się wątek obozu koncentracyjnego w Bełżcu, gdzie podobno miał pracować Marian Lis. Czy możecie panowie sprawdzić tę informację.

– Obóz w Bełżcu? – powtórzył za Barbarą jak papuga komendant policji – nigdy o takim nie słyszałem.

– A to dziwne, panie komendancie – odpowiedziała Barbara – bo tam zginęło ponad czterysta pięćdziesiąt tysięcy osób, głównie polskich Żydów wywiezionych ze Lwowa.

– Ale to obecnie teren Ukrainy – odezwał się czerwony raptem jak burak naczelnik wydziału śledczego

– Ależ ja nie opowiadam panom o Katyniu...

W pomieszczeniu zapanowała złowroga cisza. Pierwsza zre-flektowała się Barbara.

– Niestety musimy wyłączyć ze sprawy Rebeke Goldstein, bo nie da się postawić jej w stan oskarżenia w najbliższym czasie.

– To absurdalny pomysł, pani prokurator – obrzucił ją niechętnym wzrokiem naczelnik wydziału śledczego.

– Biegli odmawiają wydania opinii sądowo-psychiatrycznej, więc nie unikniemy zawieszenia postępowania w stosunku do niej.

– No cóż, panowie oficerowie, Lisa nie możemy trzymać w nieskończoność w areszcie – poparł Barbarę Aleks – więc, finiszujemy i zamykamy śledztwo!

Było prawie ciemno, gdy usłyszał dźwięk telefonu. Podniósł słuchawkę i powiedział:

– Słucham?

Usłyszał lekko ochrypły albo celowo zmieniony głos po drugiej stronie linii telefonicznej.

– Chciałbym rozmawiać z prokuratorem prowadzącym śledztwo w sprawie zamordowania Miriam Weiss.

– To ja – Aleks zaniemówił z wrażenia. – Kim pan jest?

– Nazywam się Szymon Weiss i telefonuję z Londynu – rozmówca zawiesił głos i w słuchawce zapanowała cisza.

– Czy może się pan stawić w prokuraturze?

– To niemożliwe, panie prokuratorze. W 1949 roku zostałem skazany na karę śmierci i nie wybieram się do was z wizytą, ale

chciałem panu powiedzieć, że Miriam przywiozła do kraju dużą kwotę pieniędzy. Wiem, że tamtej nocy, kiedy zginęła, miała przekazać komuś z KOR-u te pieniądze. Mogła podzielić się tą informacją z Rebeką, która jest związana z podziemiem, albo wręcz za jej pośrednictwem nawiązała kontakt z tą osobą.

– Czy to pan telefonował do mnie tamtej krytycznej nocy?

– To nie byłem ja, panie prokuratorze, ale wiem, że taka rozmowa się odbyła. Niestety przyczyniłem się do śmierci Miriam powierzając jej te pieniądze, ale nie podejrzewałem, że tak niefortunnie to rozegra. Miała czekać na instrukcje z Londynu, a Rebecka była ostatnią osobą, która powinna była wiedzieć o przesyłce, jaką Miriam przemyciła do kraju.

– Rozumiem, że pan jest ojcem Rebeki, panie Weiss? – Aleks oprzytomniał. – Czy to ona zabiła Miriam i ukradła pieniądze?

– Skądże znowu – odezwał się rozmówca Aleksa wzburzonym głosem – moja córka nigdy by tego nie zrobiła, ale podejrzewam, że zrobił to jej mąż.

– Kto może to potwierdzić?

– Potwierdzić? – rozmówca Aleksa powtórzył za nim jak echo.

– W magazynie był pan, dozorca placu, zabójca, który najprawdopodobniej podrzucił tam ciało Miriam Weiss i jeszcze jedna osoba działająca na nasze zlecenie, która miała przejąć od Miriam przesyłkę. A także towarzyszący panu milicjant.

– Kto miał odebrać od Miriam pieniądze?

Rozmówca Aleksa wyraźnie zawahał się zanim odpowiedział:

– Nie jest to informacja istotna dla śledztwa, panie prokuratorze, ale powiem, że ten ktoś spóźnił się nieznacznie na umówione spotkanie i usłyszawszy strzały wycofał się z miejsca zdarzenia.

– Potrzebny jest nam świadek, który potwierdzi obecność Mariana Lisa na miejscu zbrodni. Bez tego nie uda nam się doprowadzić do skazania go za morderstwo.

Sam motyw nie wystarczy, panie Weiss!

Fragment przygotowywanej do druku powieści Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej, *Prokurator Aleks*

EDWARD KURLETO



MROCZNA MUZA SAMOBÓJSTWA W LITERACKIM PANTEONIE

/Artykuł ten dedykuję pamięci polskiej poetki i pisarki Liliany Rydzyńskiej, tragicznie zmarłej na emigracji w Australii/

W cieniu literackiego panteonu, gdzie słowa tchną życiem, a wersy splatają się w wieczne melodie, kryje się mroczna nuta – echo samotności i rozpacz, które popchnęło wielu twórców ku ostatecznemu aktowi. Ich życie, choć pełne blasku geniuszu, często kończyło się w ciemności, a ich śmierć stała się zagadką, nad którą pochylają się kolejne pokolenia czytelników. Jedną z najbardziej znanych teorii badających przyczyny samobójstw twierdzi, że myśli samobójcze mogą nastąpić wtedy, gdy kumulują się trzy czynniki: agresja, depresja i brak czegoś lub kogoś.

Teoria ta sprawdziła się w przypadku śmierci znanej mi osobiście poetki i pisarki Liliany Rydzyńskiej, o której w 2006 roku powstała książka *Miłość Emigrantki, czyli prawo bumerangu* [Larken 2006].

Trzymanie się tylko tej jednej teorii byłoby zbyt dużym uproszczeniem, bowiem znawcy przedmiotu wymieniają złożone przyczyny samobójstw. Nie ma jednej, uniwersalnej przyczyny, a samobójstwo jest zwykle wynikiem interakcji wielu czynników, takich jak: zaburzenia psychiczne (w tym depresja, schizofrenia czy zaburzenia afektywne dwubiegunowe, charakteryzujące się ekstremalnymi wahaniami nastroju); czynniki społeczne i środowiskowe (stresujące wydarzenia życiowe, utrata bliskiej osoby, problemy finansowe, trudności w relacjach i doświadczenia traumatyczne), łatwy dostęp do środków umożliwiających realizację zamiaru (broni palnej lub innych); nadużywanie alkoholu i narkotyków, co może pogłębiać zaburzenia psychiczne i zwiększać impulsywność, podnosząc ryzyko samobójstwa [Jamison 2023].

Liczne badania sugerują, że osoby pracujące w zawodach twórczych, pisarze i poeci, mogą być bardziej narażone na zaburzenia psychiczne, w tym depresję i zaburzenia afektywne dwubiegunowe, co wynika z wysokiej wrażliwości emocjonalnej i intensywniejszych doświadczeń pozytywnych i negatywnych. Proces twórczy często wymaga samotności, co może prowadzić do izolacji społecznej [Thomas & Duke 2007]. Artyści często doświadczają presji tworzenia wybitnych dzieł, a perfekcjonizm i lęk przed porażką, łączą się z nadużywaniem alkoholu i narkotyków tolerowanych lub nawet promowanych przez niektóre środowiska artystyczne.

Największą grupę wśród literatów decydujących się na samobójstwo stanowią poeci i pisarze fikcji, osoby szczególnie wrażliwe emocjonalnie, błąkające się na pomostach między Ziemią a Niebem i między bajecznością a mrokiem [Andreasen 2008]. Osoby te charakteryzują się zabójczą mieszanką nonkonformizmu, ekstrawagancji, ekscentryczności, melancholii, chwiejności psychicznej, napadów szału, diabelskiego usposobienia, histerycznych uczuć, zmiennego temperamentu, następstwa i władczego usposobienia. Przy tych wszystkich problemach wśród pisarzy i poetów często spotyka się osoby żyjące w chaosie.

Literatura, choć postrzegana, jako źródło ukojenia i inspiracji dla innych, skrywa mroczną stronę – aleję samobójców, do której wstępują pisarze, poeci i literaci. Każda książka niesie nie tylko fabułę, lecz także echo życia jej twórcy, a czasem staje się desperackim wołaniem o pomoc, rozważaniem przekroczenia granicy między istnieniem a nicością.

Motywy popychające twórców do ostatecznego kroku są różnorodne i złożone: od głębokich zaburzeń psychicznych, przez paraliżujący smutek, nieszczęśliwą miłość, brak nadziei, po nadwrażliwość i niezdolność do znoszenia porażek artystycznych.

Samobójstwo, choć budzi kontrowersje, wydaje się być dla niektórych aktem ostatecznej wolności, pozwalającym na decydowanie o własnym losie. Wyniki wielu badań wskazują, że autorzy z depresją mają więcej zniekształceń poznawczych w swoich pracach niż autorzy bez depresji [Thomas & Duke 2007]. Stwierdzono też, że poeci częściej niż pisarze ujawniają takie zniekształcenia w swojej twórczości [Nęcka et al. 2006].

Historia literatury zna wiele przypadków tragicznych odejść. Jednym z pierwszych był Empedokles z Akragas, starożytny filozof i poeta, który rzekomo rzucił się w krater Etny, pragnąc boskiej chwały [Hecht 2013].

Lista pisarzy, którzy popełnili samobójstwo, ukazuje tragiczne zmagania wielu utalentowanych twórców na przestrzeni dziejów [Martin 2006]. Niektórzy z największych pisarzy w historii, tacy jak Hart Crane, Ernest Hemingway, Jerzy Kosiński, Sylvia Plath, Anne Sexton i Virginia Woolf, w milczeniu i ciszy popełnili samobójstwo, pozostawiając zrozpaczone rodziny i przyjaciół oraz pustkę w świecie literatury [*Writers who committed suicide* 2024].

Wielu pisarzy, zwłaszcza w XX wieku, decydowało się na samobójstwo z użyciem broni palnej. Hunter S. Thompson, znany z kontrowersyjnego stylu pisanie i uzależnienia od narkotyków strzelił sobie w głowę z pistoletu [Barnett 2018]. Z balkonu apartamentu na 15 piętrze w 1985 roku skoczył amerykański pisarz Dowell Coleman. Karin Boye zmarła po zażyciu tabletek nasennych. Tę metodę wybrali również Alfred Wolfenstein i Arthur [*Writers who committed suicide* 2024]. Alkohol, często towarzyszący pisarzom w ich twórczej drodze, stawał się również zgubnym towarzyszem w ostatnich chwilach życia. Jack London, amerykański pisarz, zmarł w wyniku przedawkowania morfiny. Był alkoholikiem i narkomanem, a w swojej twórczości często poruszał motyw samobójstwa [Kaufman & Baer 2002].

Specyficzna psychika twórców

Współczesna psychologia próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego poeci i pisarze mogą być szczególnie podatni na autodestrukcyjne zachowania. Chociaż psychotyczność może sprzyjać kreatywności, niesie ze sobą również ryzyko zaburzeń psychicznych, takich jak depresja, schizofrenia i psychopatia. Pisarze często doświadczają wzmożonej wrażliwości, która wzmacnia ich postrzeganie świata. Jednak ta sama wrażliwość, która napędza ich sztukę, może stać się źródłem ogromnego cierpienia. Walka o zrównoważenie wewnętrznego świata

z zewnętrznymi oczekiwaniami, często prowadzi do psychicznego cierpienia. W dążeniu do wielkości poeci i pisarze mogą odczuwać głęboki strach przed porażką, krytyką i odrzuceniem. Myśl, że ich praca zostanie zapomniana lub źle zrozumiana może prowadzić na skraj autodestrukcji.

Wizerunek autodestrukcyjnego artysty

Stereotyp autodestrukcyjnego cierpiącego artysty, który poświęca swoje dobro dla sztuki, jest głęboko zakorzeniony w kulturze popularnej. Pisarze i poeci, często przedstawiani, jako outsiderzy lub odmienicy, są uważani za predysponowanych do ekscentrycznych zachowań, nadużywania substancji i ostatecznie samobójstwa. Postacie takie jak Arthur Rimbaud, Sylvia Plath stały się symbolem tego tragicznego stereotypu. Wizerunek poety, jako torturowanego geniusza, prowadzącego chaotyczne i autodestrukcyjne życie, został utrwalony zarówno przez ich dzieła, jak i biografie. Życie Rimbauda było naznaczone skandalami, nadmiernym pićm i ostatecznym wycofaniem się z pisania, co doprowadziło do jego śmierci w młodym wieku [Kaufman.& Baer 2002].

Samobójstwo, jako bunt lub protest

Dla wielu pisarzy i poetów samobójstwo nie jest jedynie osobistym aktem rozpacz, ale także głębokim protestem przeciwko otaczającemu światu. W niektórych przypadkach jest to bunt przeciwko nieadekwatności istnienia, wyraz rozczarowania samym życiem. Dla niektórych samobójstwo może wydawać się jedyną odpowiedzią na absurdalny świat, ostatecznym aktem buntu przeciwko samemu istnieniu [Avarez 1992]. W przeciwieństwie do tego, samobójstwo może być postrzegane, jako akt poświęcenia, gest wykraczający poza osobistą rozpacz. W ten sposób samobójstwo może stać się ostateczną formą autonomii, ostatecznym odzyskaniem kontroli w życiu zdominowanym przez siły pozostające poza naszym wpływem.

Samotność, niezrozumienie i izolacja

Samotność jest kolejnym wszechobecnym motywem w życiu wielu poetów i pisarzy. Często czują się niezrozumiani przez społeczeństwo i izolowani w swojej intensywnej introspekcji. Emocjonalny dystans towarzyszący kreatywności może prowadzić do niezdolności nawiązywania kontaktów z innymi, intensyfikując uczucie alienacji. Wielu pisarzy, a wśród nich słynna Virginia Woolf, odebrało sobie życie, zmagając się z chorobami psychicznymi i głębokim poczuciem samotności [Velasco 2023]. Ich dzieła, odzwierciedlające ich wewnętrzny zamęt, stały się sposobem na komunikowanie tego, czego nie mogli wyrazić w swoim codziennym życiu.

Intelektualna i emocjonalna izolacja wielu pisarzy, w połączeniu z brakiem zrozumienia ze strony świata zewnętrznego, często pogłębia ich podatność na zagrożenia. Izolacja może prowadzić do uczucia beznadziei, sprawiając, że samobójstwo wydaje się jedyną drogą ucieczki ze świata, który wydaje się obojętny lub wrogi.

Zamknięty świat samobójstwa

Al Alvarez, w studium zatytułowanym "Dziki Bóg",

opisuje "zamknięty świat samobójstwa", przestrzeń mentalną, w której jednostki nie widzą innego wyjścia niż śmierć. Jest to świat głębokiej izolacji, w którym jednostka nie dostrzega możliwości zmiany lub poprawy swojej sytuacji. Dla wielu pisarzy i poetów ten świat nie jest jedynie przestrzenią fizyczną, ale stanem psychologicznym – stanem, w którym ból staje się nieunikniony. W szponach choroby psychicznej, depresji i przytłaczającej rozpacz, czyli egzystencji nie do zniesienia, samobójstwo może jawić się, jako jedyne możliwe rozwiązanie. Ostateczny akt samobójstwa, w tym sensie, staje się ucieczką nie tylko od samego siebie, ale od samego świata – sposobem na unicestwienie zarówno osobistej, jak i zbiorowej historii. [Avarez 1992].

Tajemnicza natura samobójstwa

Pomimo szeroko zakrojonych badań nad zjawiskiem samobójstwa, jego przyczyny pozostają nieuchwytnie i często tajemnicze. Pisarze i poeci, którzy decydują się zakończyć swoje życie, są często postrzegani, jako enigmatyczne postacie, których tragiczne wybory wymykają się pełnemu zrozumieniu. Jak zauważa Jean Améry: "za każdym razem, gdy ktoś odbiera sobie życie lub przynajmniej próbuje to zrobić, opada kurtyna, której nikt nie podniesie? [Améry 1999]. Decyzja o zakończeniu życia jest głęboko osobista i często owiana tajemnicą, co utrudnia jej pełne zrozumienie. Pozostaje pytanie – dlaczego? Ból utraty twórczej duszy w wyniku samobójstwa jest wzmocniony niepewnością, co do przyczyn tego czynu.

Prezentowane studia przypadków

Analizowane studia przypadków koncentrują się na powtarzającym się motywie samobójstwa w życiu i śmierci wybitnych pisarzy XX wieku, Ernesta Hemingwaya i Rafała Wojaczka, podkreślając złożoną interakcję chorób psychicznych, osobistej historii i zewnętrznych nacisków, które przyczyniły się do ich tragicznych końców.

Ernest Hemingway, znany ze swojego wkładu w literaturę i uważany za jednego z najważniejszych pisarzy XX wieku, urodził się 21 lipca 1899 roku. Przez całe życie zmagał się z licznymi wyzwaniem osobistymi, w tym chorobą afektywną dwubiegunową, alkoholizmem i długotrwałymi skutkami różnych urazów fizycznych doznanych w ciągu życia, w tym obrażeń z I wojny światowej i wielu katastrof lotniczych. Czynniki te łącznie stworzyły złożony krajobraz psychologiczny, który wpłynął na jego pisanie i życie osobiste [Lester 2013]. Jego zdrowie psychiczne stopniowo pogarszało się. Oprócz choroby afektywnej dwubiegunowej zmagał się z narastającym poziomem paranoi i lęku, które nasiliły się w wyniku utraty pamięci i skutków ubocznych terapii elektrowstrząsowej (ECT) – której poddał się w desperackiej próbie złagodzenia ciężkiej depresji. To połączenie cierpienia psychicznego i fizycznych reperkusji jego przeszłych doświadczeń, przyczyniło się do poczucia bezradności i izolacji.

Czynniki zewnętrzne potęgowały wewnętrzne zmagania Hemingwaya, w szczególności rzekomy nadzór FBI. Kontrola ta była nasiloną przez jego powiązania z Kubą i otwarte poglądy na politykę, co często podsycalo jego paranoję i potęgowało poczucie prześladowania. Percepcja bycia obserwowanym



Ernest Hemingway

mogła nasilić jego upadek umysłowy, przyczyniając się do poczucia zagrożenia i niestabilności.

Samobójstwo Hemingwaya można postrzegać, jako tragiczny skutek pogorszenia zarówno fizycznego, jak i psychicznego stanu zdrowia, dodatkowo spotęgowany pod wpływem zewnętrznych nacisków społecznych. Użycie broni palnej – często postrzeganej, jako symbol władzy i kontroli – staje się w tym kontekście przejmującym paradoksem, ponieważ została użyta, jako środek samozniszczenia. Przypadek ten podkreśla złożoność choroby psychicznej i głęboki wpływ, jaki zarówno wewnętrzne zmagania, jak i okoliczności zewnętrzne, mogą mieć na osoby doświadczające ostrego cierpienia psychicznego. Dziedzictwo Hemingwaya w dalszym ciągu wywołuje ważne dyskusje na temat świadomości zdrowia psychicznego i potrzeby współczucia wobec osób znajdujących się w podobnej sytuacji.

Rafał Wojacek, urodzony w 1945 roku w Mikołowie w Polsce, stał się jednym z najbardziej ekspresyjnych i kontrowersyjnych poetów XX wieku. Jego twórczość wypełniona była emocjami i tematami egzystencjalnymi, często eksplorując miłość, śmierć i bunt. Wojacek był znany ze swojej wrażliwej natury i złożonej osobowości, co miało duży wpływ na jego twórczość. Pomimo talentu artystycznego zmagał się z burzliwym stylem życia naznaczonym konfliktami, zwłaszcza walką z alkoholem, który pogłębiał jego wewnętrzne rozterki i cierpienie. Jego niezdolność do przystosowania się do społeczno-politycznych realiów jego czasów, jeszcze bardziej nasiliła jego frustrację

i wyobcowanie, powodując głębokie oderwanie od społeczeństwa.

Przez całe życie Wojacek zmagał się z licznymi kryzysami psychicznymi, co wymagało pobytów w szpitalach psychiatrycznych. Jego zmagania prawdopodobnie były spotęgowane zaburzeniami osobowości i depresją kliniczną, co prowadziło do wszechobecnego uczucia rozpacz i beznadziei. Połączenie tych problemów z jego buntowniczym duchem ukształtowało złożoną tożsamość naznaczoną głębokim wglądem artystycznym, ale nękaną niestabilnością emocjonalną.

11 maja 1971 r., mając zaledwie 26 lat, Wojacek popełnił samobójstwo, skacząc z okna swojego mieszkania we Wrocławiu. Samobójstwo odzwierciedlało kulminację jego wewnętrznych zmagania i kryzys egzystencjalny, który przenikał zarówno jego życie, jak i twórczość. Jego tragiczna śmierć wstrząsnęła społecznością literacką i zwróciła uwagę na trudną sytuację artystów zmagających się z głębokim niezadowoleniem i oderwaniem od otaczającego świata.

Głęboko zakorzenione problemy ze zdrowiem psychicznym Wojaczka prawdopodobnie wynikały z nierozwiązanych zaburzeń osobowości i nawracających epizodów depresyjnych, przyczyniając się do jego poczucia beznadziei. Uważa się, że jego walka z nadużywaniem alkoholu zaostrzyła objawy depresyjne, potencjalnie prowadząc do impulsywnych decyzji w chwilach rozpacz. Wojacek czuł się głęboko niezrozumiany i odrzucony przez społeczeństwo, co nasiliło jego samotność i pogłębiło kryzys egzystencjalny. To wyobcowanie mogło utrudnić mu nawiązywanie kontaktów z innymi i znajdowanie ukojenia w towarzystwie.

Nadrzędne tematy w poezji Wojaczka odzwierciedlały jego wewnętrzny zamęt i egzystencjalne pytania. To ciągłe zmaganie się z sensem istnienia mogło doprowadzić go do postrzegania życia, jako pozbawionego celu, co zakończyło się jego tragiczną decyzją.

Samobójstwo Wojaczka stworzyło trwały mit wokół jego życia i twórczości. Jego poezja, charakteryzująca się bólem i autentycznością, zyskała jeszcze większe uznanie pośmiertnie, inspirując kolejne pokolenia czytelników i poetów. Legendy i kontrowersje dotyczące jego życia i śmierci jedynie umocniły jego status, jako postaci literackiej. Historia Rafała Wojaczka jest przejmującym przypomnieniem złożoności ludzkiej psychiki, ilustrującym, jak splecione czynniki psychologiczne, społeczne i egzystencjalne mogą się zbiegać, prowadząc do ostatecznego aktu rozpacz. Jego spuścizna trwa, jako świadectwo ludzkiego cierpienia i nieustannego poszukiwania sensu życia. [Dembińska-Pawelec 2021].

Podsumowując, samobójstwo wśród poetów i pisarzy jest wieloaspektowym zjawiskiem, które wymyka się prostym wyjaśnieniom. Podczas gdy niektórzy mogą postrzegać je, jako tragiczny wynik choroby psychicznej, inni interpretują je jako akt buntu lub poświęcenia. Niezależnie od tego, czy jest postrzegane jako wyraz osobistej rozpacz, artystyczne oświadczenie czy protest przeciwko światu postrzeganemu, jako opresyjny, samobójstwo pozostaje jednym z najbardziej tragicznych i tajemniczych aspektów świata literackiego.

Zrozumienie życia i twórczości tych, którzy odebrali sobie życie, daje wgląd w głębię ludzkiego cierpienia i być może przypomina o cenie, jaką wielu artystów płaci za swoją niezwykłą wrażliwość i wizję.

Literatura

1. Andreasen, N. C. (2008). *The relationship between creativity and mood disorders*. *Dialogues in clinical neuroscience*, 10(2), 251-255
2. Améry, J. (1999). *On suicide: A discourse on voluntary death*. Indiana University Press.
3. Avarez A. (1992). *The Savage God: A Study of Suicide: A Study of Suicide*, Kindle Amazon
4. Barnett B. (2018). Hunter S Thompson: *How we need the godfather of gonzo today, served up with his side order of guns, booze and drugs*, https://www.independent.co.uk/news/long_reads/hunter-s-thompson-death-suicide-kill-himself-how-die-gonzo-journalism-warren-hinckle-a8161841.html
5. Dembińska-Pawelec J. (2021). *Verse and Poem as Street Art. On Rafał Wojacek 's Sezon s Verso -logies* 124 http://fp.amu.edu.pl/wp-content/uploads/2022/07/ForumOfPoetics_25_2021.pdf
6. Hecht, J. M. (2013). *Stay: A history of suicide and the philosophies against it*. Yale University Press.
7. Jamison, K. R. (2023). *Disorders of Mood: The Experience of Those Who Have Them*. *Dædalus*, 152(4), 151-165
8. Kaufman, J. C., & Baer, J. (2002). *I bask in dreams of suicide: Mental illness, poetry, and women*. *Review of general psychology*, 6(3), 271-286.
9. Larken R. (2006) *Miłość Emigrantki, czyli prawo bumeranga*, [https://ofcyna_mjk.com.pl/produkt/milosc-emigrantki-czyli-prawo-bumeranga:albo-w-jzyku-angielskim:The-Bumerang-Law\(Ebook-\(dostepny-na-Kindle-Amazon\)\)](https://ofcyna_mjk.com.pl/produkt/milosc-emigrantki-czyli-prawo-bumeranga:albo-w-jzyku-angielskim:The-Bumerang-Law(Ebook-(dostepny-na-Kindle-Amazon)))
10. Lester, D. (2013). *Suicide and culture. Understanding suicide: A global issue*, 209-232.
11. Martin, C. D. (2006). *Ernest Hemingway: a psychological autopsy of a suicide*. *Psychiatry: Interpersonal and Biological Processes*, 69(4), 351-361
12. Nęcka, E., Grohman, M., & Słabosz, A. (2006). *Creativity Studies in Poland*. In J. C. Kaufman & R. J. Sternberg (Eds.), *The International Handbook of Creativity* (pp. 270-306). Cambridge University Press. <https://doi.org/10.1017/CBO9780511818240.010>
13. Thomas, K. M., & Duke, M. (2007). *Depressed writing: Cognitive distortions in the works of depressed and nondepressed poets and writers*. *Psychology of Aesthetics, Creativity, and the Arts*, 1(4), 204.
14. Velasco, J. R. (Ed.). (2023). *The Contemporary Writer and Their Suicide*. Springer Nature
15. *Writers who committed suicide* (2024). https://simple.wikipedia.org/wiki/Category:Writers_who_committed_suicide

BĄDŹ MI

Bądź mi od stóp do głowy, od pięty do ucha
Od kolana do pachwiny, od łokcia do paznokci
Pod pachą, pod językiem, od łechtaczki do rzęs

Bądź biegunem mojego pomyłonego serca
Rakiem, który mózg jedząc pozwoli poczuć mózg
Bądź wodą tlenu dla spalonych płuc

Bądź mi stanikiem, majtkami, podwiązką
Bądź kołysanką dla ciała, niańką co kołysze
Jedź mi brud z paznokci, pij miesięczną krew

Bądź żądzą i spełnieniem, rozkoszą, znowu głodem
Przeszłością i przyszłością, sekundą i wiecznością
Bądź chłopcem, bądź dziewczyną, bądź nocą i dniem

Bądź mi życiem, radością, bądź śmiercią, zazdrością
Bądź złością i pogardą, nieszczęściem i nudą
Bądź Bogiem, bądź Murzynem, ojcem, matką, synem

Bądź -- i nie pytaj, jak Ci się wypłacę
A wtedy darmo weźmiesz najpiękniejszą zdradę:
Miłość, która obudzi śpiącą w Tobie śmierć

UMIEM BYĆ CISZĄ

Kończę się w twoich oczach
Umiem być ciszą
Kończę się w twoim śnie

Ostatnie echo jest ciszą
to miejsce
gdzie kończy się twoje spojrzenie

Sen mnie oślepia, rozjarzona
iskra serca
Kończę się w twoim sercu

Przez sen, przez ciebie
donoszę siebie
do twojej śmierci



RAFAŁ WOJACZEK

ZAPIS Z PODZIEMIA

Rok łagodnego światła
Wzrok zdolny cieszyć się
Słuch cierpliwy i chłonny
Głos jedynego Boga
Dłoń kochanej kobiety
Dłoń w jej poważnej dłoni

Twarz kochanej kobiety
Pierś kochanej kobiety
Brzuch kochanej kobiety
Srom kochanej kobiety
Jęk kochanej kobiety
Spazm kochanej kobiety

Dreszcz rozkoszny
Płacz szczęśliwy
Głód zaspokojony

Chleb z zasłużonej mąki
Schron bezpiecznego domu
Gość poproszony w dom

Grosz pewnie zarobiony
Rym wdzięczny
Wiersz serdeczny

Noc spokojna

Sen co przynosi sny
Sny a nie koszmary
Świt nieokrutny
Strach opanowany
Gest odmierzony

Puls równy
Krok stanowczy
Wdzięk osobisty
Rdzeń wydajny

Kość prosta
Krew obfita

Ból sublimujący
Trud nienadaremny
Śmiech niehistoryczny

Smak subtelny

Los człowieka

Deszcz ożywczy
Śnieg nieuciążliwy
Mróz niedotkliwy
Piec ciepły

Łyk dobrej wódki
Woń róży

Czas pokoju
Zmysł zgody
Myśl lotna

Cel wytyczony
Śmierć pobożna

Nie dla mnie

na Nowy Rok 1970



JAKUB CIEĆKIEWICZ

"TUTEJSI"

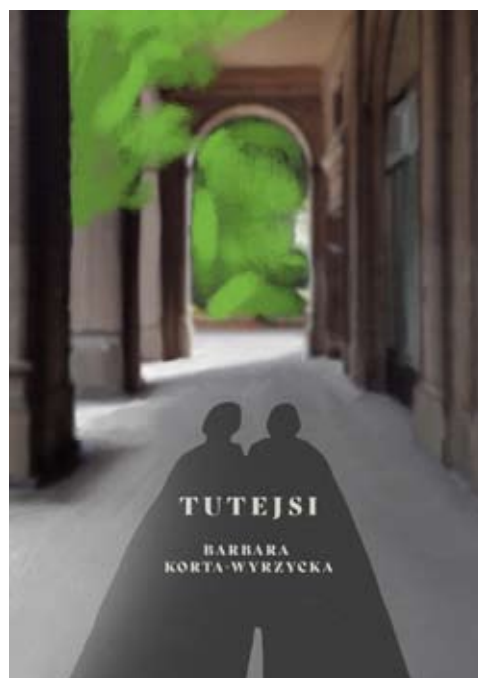
BARBARY KORTA-WYRZYCKIEJ

„Tutejsi”, zbiór opowiadań Barbary Korta-Wyrzyckiej, opisuje życie w coraz bardziej dla czytelników egzotycznej Nowej Hucie, penetrowanej w ciągu ostatnich lat przez dziennikarzy, pisarzy, socjologów, historyków. Jest ona bowiem – mimo upływu czasu – miejscem szczególnym i nadal nierozpoznanym.

Dawne „pierwsze miasto komunistyczne”, gdzie bohaterowie nowego ustroju zamieszkali w kwartałach osiedli, wiodąc kolektywną egzystencję, poznajemy w książce z perspektywy dziecka w latach 60., a w kolejnych opowiadaniach w czasie pocovidowym. Doświadczamy więc Huty współczesnej. Mentalnej. Uformowanej i podlegającej zmianom. Poznajemy ją od strony prywatności, zwyczajności: rodziny, klatki schodowej, podwórka, szkoły, biblioteki. Śledzimy losy bohaterów, przeciętnych ludzi, mających własne marzenia i dramaty, mieszkających albo osiedlających się w tym miejscu i czujących się po prostu „tutejszymi”. A jednak, specyficzna aura nowohuckości, którą trudno zdefiniować, unosi się nad kolejnymi fabułami. I ujawnia tajemnicę tego miejsca.

Jest w tej prozie wnikliwa obserwacja, psychologiczna analiza postaci, prawda i poczucie humoru. Opowieść Barbary Korta-Wyrzyckiej przekonuje dzięki nasyceniu tekstu bogatym doświadczeniem Autorki, a przy tym bywa zabawna, smutna i zaskakująca, przefiltrowana przez jej pozbawione złudzeń spojrzenie na ludzi.

Barbara Korta-Wyrzycka, *Tutejsi*, Wydawnictwo SPP Kraków



BOLESŁAW FARON



40-LECIE TEATRU WITKACEGO W ZAKOPANEM

Nie byłem przy narodzinach Teatru Witkacego w Zakopanem, kiedy to w 1985 roku grupa absolwentów krakowskiej PWST wraz z reżyserem Andrzejem Dziukiem założyła teatr pod Tatrami. Przebywałem wtedy w Wiedniu jako radca do spraw kultury i nauki Ambasady Polskiej oraz dyrektor Instytutu Polskiego. Stałym bywalcem przedstawień Dziuka zostałem tuż po zakończeniu pracy w Austrii, od 1991 roku. Kiedy w latach 90. ub.w. zmierzałem do teatru przy ulicy Chramcówki, znajomy tamtejszy prokurator zapytał mnie, gdzie idziesz? Odpowiedziałem: do teatru. Na to usłyszałem kolejne pytanie, a jest w Zakopanem teatr? Do dzisiaj nie wiem, czy był to tylko żart przedstawiciela zakopiańskiej inteligencji, czy też autentyczne zdziwienie.

W uroczystościach 40-lecia Teatru Witkacego w Zakopanem brałem udział dzięki zaproszeniu Andrzeja Dziuka. Trwały one trzy dni: 27 i 28 lutego oraz 1 marca br. Oto jak w skrócie przedstawiał się program tego wydarzenia: 27 lutego miał miejsce wernisaż fotografii Stanisława Ignacego Witkiewicza z kolekcji Stefana Okołowicza pod przewrotnym tytułem *Witkacy. Drań, którego dotąd nie było i wątpliwem jest, czy będzie*, a także koncert Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy pod dyrekcją dyrygenta Marka Mosia. Wykonali oni utwory Mieczysława Karłowicza, Witolda Lutosławskiego Henryka Mikołaja Góreckiego, Karola Szymanowskiego i Wojciecha Kilara. W dniu następnym miała miejsce premiera sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza *Wahazar* na podstawie *Gyubala Wahazara*. Reżyseria, scenariusz, opracowanie muzyczne – Andrzej Dziuk, który tę realizację zadedykował swojemu Zespołowi oraz Przyjaciołom teatru, zaś o samym przedstawieniu powiedział:

„Proponując realizację dramatu St. I. Witkiewicza, *Gyubal Wahazar* czyli *Na przełęczach* bezsensu zadaję sobie pytanie, dlaczego tak łatwo (ba!), tak chętnie pozwalamy się uwięzić fikcjom, złudzeniom, ideom z gruntu fałszywym. Pytam więc o siłę (moc) fałszywych proroków. Dlaczego tak lubimy być oszukiwani. [...] Jak zwykle w pismach St. I. Witkiewicza (także i w tym dramacie – spektaklu) padają ważne pytania – o Prawdę – Wiare, sens naszego zmagania się z Sobą samym, ale i z Historią”.

Wahazar wpisuje się w tradycję Teatru Witkacego, stawia ważne pytania, wstrząsa sumieniami ludzkimi. Toteż publiczność nagrodziła aktorów na stojąco długo niemilkącymi barwami. Wszystko wskazuje na to, że sztuka ta będzie grana – jak poprzednie – przy szczelnie wypełnionej Scenie Witkacego przy ul. Chramcówki 25. Po spektaklu odbyły się Rozmowy istotne z udziałem prof., prof. Janusza Deglera, Ewy Łubieniewskiej, Teresy Pękali, Michała Klingera oraz Andrzeja Dziuka. Nawiązywano w nich do spektaklu *Wahazara* oraz do historii teatru. Janusz Degler, ojciec chrestny tej sceny, podarował zbiór materiałów o teatrze jakie gromadził przez 40 lat, a Ewa Łubieniewska zarekomendowała swoją książkę wydaną przed paru dniami. Jej tytuł *Od metafizycznych lotów do filozoficznej zadumy*. Teatr Witkacego – Zakopane (2025).

W trzecim dniu 1 marca odbyły się dwa wydarzenia. Prezentacja w Witkacy Atelier Szkieł, pomysłów, wyobrażeń Rafała Zawistowskiego pt. *Sztambuch teatralny*. Zaproszeni goście mieli okazję zobaczyć szkice, projekty strojów, a także niektóre rekwizyty z dotychczasowych przedstawień. Zamknięciem tego trzydniowego maratonu ciekawych imprez artystycznych był koncert urodzinowy *Popylone pienie*, w wykonaniu aktorów Teatru Witkacego. Impreza trwała do późnych godzin nocnych. Uczestnicy mieli możliwość wysłuchać wielu melodii znanych z przedstawień teatru, monologów, a także innych prezentacji. Uroczystość była przerywana wystąpieniami oficjeli: przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Urzędu Marszałkowskiego, Starostwa Powiatowego w Nowym Targu, Burmistrz Zakopanego. Oprócz ciepłych słów na temat roli zakopiańskiego teatru były też konkretne formy uznania, jak przekazanie odpowiednich środków finansowych przez samorząd wojewódzki, jak odznaczenie aktorów odznaką „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” itp.

Jakby podsumowaniem 40-letniej działalności Teatru Witkacego jest książka Ewy Łubieniewskiej *Od metafizycznych lotów do filozoficznej zadumy teatru Witkacego Zakopane* (Zakopane 2025). Nie jest to pierwsza wypowiedź autorki na temat zakopiańskiego teatru. W 1913 roku ukazało się w krakowskim wydawnictwie Universitas jej opracowanie *Piekielne pomysły i dusza anielska Teatru Witkacego w Zakopanem*. Nowa pozycja Ewy Łubieniewskiej jest kontynuacją poprzedniej i jej uzupełnieniem. Obie razem dają przegląd działań teatru w okresie jubileuszowym. Stanowią zatem rzetelną dokumentację poczynąń tej ważnej nie tylko dla Zakopanego placówki kulturalnej.

Teatr Witkacego wypełnił na mapie kulturalnej Zakopanego wyraźną lukę. Zainteresował swą propozycją artystyczną nie tylko mieszkańców Podhala, ale i licznie przyjeżdżających z całej Polski turyści pod Tatry, z czasem przybywających tutaj wyłącznie na przedstawienia. Andrzej Dziuk jako dyrektor i reżyser zarazem postawił przed swoim zespołem i przed widzami ambitne zadanie. Ewa Łubieniewska tak rzecz określiła:

„Teatr ten ostro i bez złudzeń rozpoznający zagrożenia naszych czasów, nadal gotów jest wyluskiwać okruchy dobra z okrutnych i bolesnych wątków ludzkiego życia [...] Przeistaczają się formy owej żarliwej indagacji. Podlegają metamorfozom środki jej wyrazu. Zmienia się osobowy skład zespołu. Ale fundamentalne pytanie o duchową kondycję człowieka zawsze pozostaje w mocy – wbrew zdarzeniom, którymi XX i XXI wiek niszczy wiarę w sens podobnych rozważań” (str. 7 i 8).

Te kwestie i inne problemy związane z funkcjonowaniem Teatru Witkacego ukazuje autorka niejako z trzech perspektyw: poprzez swoją relację naukową, *Rozmowy za kulisami*, w których umieszcza fragmenty wypowiedzi aktorek i aktorów Teatru Witkacego oraz kompozytora i multiinstrumentalisty Macieja Rychłego, nagranych jesienią w 2024 roku oraz *Rozmowy „alleluja na wysokościach”* zawierające wyimki wypowiedzi krytycznych z różnych pism w Polsce czy fragmenty książek. Dzięki temu otrzymujemy wszechstronny obraz działalności tego nietuzinkowego teatru. Obecna, jak poprzednia, książka zawiera aneks, w którym podano informacje na temat premier szerzej omawianych spektakli; poczynając od *Kruka* Alfonso Sastre z 2011 roku po *Performans* według Fiodora Dostojewskiego w 2024 roku.

Materiał ten jest z pewnymi wyjątkami kontynuacją Aneksu z pierwszej książki Łubieniewskiej. Jak przystało na jubileuszowe wydawnictwo o teatrze jest bogato ilustrowane zdjęciami z poszczególnych przedstawień.

Zastanawiano się niejednokrotnie podczas minionych 40 lat nad fenomenem teatru Andrzeja Dziuka, nad tym, co przyciąga publiczność do tej placówki. Otóż, jednym z aspektów tej kwestii jest stosunek do widza. Ten tuż po wejściu do budynku przy ul. Chramcówki czuje się nie jak w obcej przestrzeni, świątyni kultury, ale jak u siebie w domu. Tuż w wejścia witają go najczęściej w kostiumach aktualnej sztuki aktorki i aktorzy. Zaraz potem jest częstowany herbatą. W oczekiwaniu na spektakl może sobie pooglądać ciągle aktualizowaną wystawę obrazów. Aktorzy przechadzają się wśród zebranej publiczności, nawiązują z nią kontakt. Ta sytuacja stwarza wrażenie, jakby przedstawienie już się zaczęło, a my w nim uczestniczymy nie tylko biernie jako widzowie, lecz jako aktorzy. Niewiele zmienia się podczas przedstawienia, gdzie publiczność jakby współuczestniczy w akcji. Sprzyja temu organizacja sceny, która nie jest tu oddzielona od widowni. Akcja toczy się najczęściej wśród widzów. Doświadczylem tego osobiście podczas spektaklu Emilii Nagórki 2023 roku, reżyserki i adaptatorki powieści Wiesława Myślińskiego *Traktat o łuskaniu fasoli*, kiedy do mojego stolika podchodzi aktor i mówi: „Ja pana skądś znam...” Dosiada się, jakby prowadził ze mną rozmowę.

W sposób naukowy ujęła to autorka książki:

„Každy kto przekroczył próg budynku na Chramcówkach – czy przyszedł tu z wyboru, czy trafił przypadkowo – stawał się uczestnikiem misterium, zapraszany do wspólnego przeżycia fenomenu sztuki, w całej różnorodności realizującej artystyczne credo. Było to misterium pojmowane szeroko jako tajemnica przeobrażenia codziennej rzeczywistości w świat kreacji artystycznej” (str. 8-9). Konstatację Ewy Łubieniewskiej potwierdzają w *Rozmowach za kulisami* aktorzy. Między innymi Dorota Ficoń:

„Wszystko do czego przywiązywaliśmy się w teatrze, zostało ustalone na początku: żeby premiera nie była celem, żeby była początkiem naszej drogi, żeby to było „schronisko”. Żeby spektakl poprzedzała „przedakcja”, nie wiadomo, czy się rozpoczęło, czy to już za chwileczkę... No i jest to, co Andrzej uwielbia, żeby była muzyka na żywo. I to czego nas nauczył, żebyśmy nie bali się widza, żebyśmy patrzyli widzowi w oczy” (str. 12).

W książce Ewy Łubieniewskiej w wyniku konfrontacji dyskursu naukowego z wypowiedziami aktorów teatru, a także z cytowanymi fragmentami wypowiedzi krytycznych rysuje się dość wyraźnie koncepcja teatru, jaką realizuje Andrzej Dziuk, jej ewolucja, reakcja na nowinki artystyczne, jak efekty medialne, które w ostatnich czasach zagościły na zakopiańskiej scenie. Przyjmowane tutaj nie bezkrytycznie, lecz wzmacniają pielęgnowaną wizję teatru.

Andrzej Dziuk od początku istnienia sceny w Zakopanem miał ambicję, by spełniała ona rolę placówki kulturalno-edukacyjnej. Temu celowi ma służyć m.in. coroczny przegląd spektakli sprowadzanych z kraju i z zagranicy na festiwalowe



Teatr Witkacego w Zakopanem

występy połączone i z rozmowami „na wysokościach”, a nazywany tytułem szkicu Rafała Malczewskiego *Pępek świata*. Na tej imprezie miałem okazję po raz pierwszy zobaczyć na żywo spektakl Teatru Gardzienice, balet z Izraela i parę inscenizacji z różnych miast w Polsce. Autor pomysłu wyjaśnił:

„Zależy [mi] na tym, żeby zgromadzić twórców – godnych partnerów Witkacego. Jednym z nieszczęść Stanisława Ignacego Witkiewicza było to, że nie miał z kim prowadzić twórczego dialogu”.

Udział w dysputach organizowanych przez Dziuka tak podsumowuje Ewa Łubieniewska:

„Obecność indywidualności reprezentujących różne zawody, poglądy upodobania, czasem krańcowo odmienne wizje świata nadała niepowtarzalny klimat spotkaniom w teatralnej kawiarni, która niepostrzeżenie zaczęła się przeobrażać w jaskinię filozofów... Gospodarz domu poza reżyserskim dyplomem (studiujący wcześniej filozofię) dbał jednak o to, by rozważaniom towarzyszył konieczny dystans wobec głoszonych poglądów i deklaracyjnych światopoglądów” (str. 42)

Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne i towarzyszące im dyskusje to nie jedyny sposób realizacji idei placówki kulturalno-edukacyjnej. Ostatnio oddano do użytku Witkacy Atelier, wyremontowane pomieszczenia tuż obok dotychczas funkcjonującego teatru. Będzie ono obok kolejnej sceny, na której są realizowane kameralne przedstawienia (oglądałem tutaj w ub.r. *Performans wg Notatek z podziemia* Fiodora Dostojewskiego w wykonaniu Andrzeja Bieniasa [Bezimienny] i Emilii Nagórki [Liza] w reżyserii Andrzeja Dziuka) spełniać rolę edukacyjną. Planuje się m.in. różnego rodzaju warsztaty dla dzieci i młodzieży. Realizację tego ambitnego zamysłu powierzono wieloletniej redaktorce „Tygodnika Podhalańskiego”, poetce i malarce Beacie Zalot. Jej dotychczasowa działalność w tutejszym środowisku, kierowanie działem kultury w „Tygodniku...” stwarzają nadzieję że z naddatkiem spełni oczekiwania Andrzeja Dziuka. Myślę, że działalność Witkacy Atelier jeszcze bardziej zbliży Teatr Witkacego do Zakopanego i Podhala.

Nie będzie to zresztą jedyna nić, która łączy teatr z miejscem działalności. Należy Zakopanemu dług scena przy Chramcówkach oddaje systematycznie w swoich realizacjach. Warto tu wspomnieć przedstawienia *Na przełęczu* (2002), *Człapówki* (2008) czy też współczesne *Spiski - Hej!* (2018). Mieszkańcy spod Giewontu mogli w nich zobaczyć swoje miasto, czasem w krytycznym zwierciadle, z lat międzywojennych i dzisiejszych. Ta więź z lokalną społecznością, może na początku nieco nieufną, staje się – w moim przekonaniu – coraz silniejsza. Wspomniana na początku informacja o kontakcie z zakopiańskim prokuratorem, który zadał pytanie: czy w Zakopanem jest teatr?, dzisiaj by się nie wydarzyła. Wręcz przeciwnie zakopiańczycy są dumni ze swojej sceny. Dawali temu niejednokrotnie wyraz podczas uroczystości jubileuszowych.

„Patrząc z czterdziestoletniej perspektywy, mam wrażenie że wraz z początkiem XXI wieku w podglebiu zakopiańskich spektakli coraz częściej i wyraźniej zaczęły pulsować problemy bieżącej rzeczywistości” (str. 56), konstatuje Ewa Łubieniewska.

Nie jest to nowość w tym teatrze. Wcześniej jednak „wpisywało się ono w katalog prawd uniwersalnych”. W latach 80. teatr zakopiański był swego rodzaju azylem, który pozwalał znaleźć sens życia, który zginął w szarej rzeczywistości. Po roku 1989 na scenie Dziuka można obserwować akcję budowania godności przed sztukę, w tym kontekście powstają pytania: jaki człowiek jest? Choć Teatr Witkacego zawsze stronił od polityki, od publicystyki politycznej, to jednak trudno było ją ominąć w kontekście zdarzeń XXI wieku. Szczególnym przykładem była tu realizacja *Operetki Witolda Gombrowicza*, jak również innym wymiarze *Wiśniowego sadu* (2021) wyreżyserowanego przez Nikolę Koladę.

W ostatnich latach na scenie Propozycji Teatralnych pojawiły się formy kabaretu: *Kabaret horyzontalny* (2007), *Nietoperz czy rzeczywistość* (2021). Adaptacje poezji Joanny Kulmowej. Na tej scenie aktorzy mają szansę poprobować swoich umiejętności reżyserskich m.in. Andrzej Bienias). Na Scenie Propozycji Teatralnych realizował również Andrzej Dziuk spektakle kameralne, jak *Trans-fuzja* na podstawie *Wierzyteli* Augusta Strinberga, *Raz-dwa-raz. A na co nam dobroć* (2018), wg *Cmentarzyska samochodów* Ferdynanda Arrabala, *Nieprzyjaciół* Juliana Greena.

Integralną częścią książki Ewy Łubieniewskiej są wypowiedzi znawców tematów na temat Witkacego czy realizacji scenicznych teatru przy Chramcówkach, dotyczą one zarówno spraw ogólnych, jak np. realizacji przez zespół głównego przesłania – definicji człowieczeństwa jak również szczegółowych charakterystyk poszczególnych przedstawień. Są to opinie zarówno krytyków teatralnych, jak i pracowników naukowych zatrudnionych w różnych uniwersytetach w Polsce. Teksty te przytacza autorka w obszernych fragmentach w odróżnieniu od *Rozmów „alleluja na wysokościach”*, gdzie daje tylko celne wyimki wypowiedzi krytycznych.

Lektura książki Ewy Łubieniewskiej, a właściwie lektura obu jej pozycji o Teatrze Witkacego, daje dobre wyobrażenie o 40-letniej historii tej placówki kulturalnej, o koncepcji artystycznej, o poszukiwaniu człowieczeństwa w kontekście zmieniających się zjawiskach społecznych i publicznych XX i XXI wieku, o ambitnym zespole ulegającym zmianom – niektórzy odeszli, zastąpili ich młodzi. Mimo tej naturalnej ewolucji zachowuje on ten sam wysoki poziom.

Niekwestionowana jest to zasługa Andrzeja Duka, który stworzył ten teatr, nadał mu od początku specyficzny własny charakter. W Rozmowach za kulisami członkowie zespołu wyznają, ile zawdzięczają swojemu szefowi, jak pod jego kierunkiem rozwinął się ich warsztat.

Niektórzy powiadają wprost, że tutaj nauczyli się aktorstwa. Jest on bowiem z jednej strony bardzo wymagający reżyserem, a z drugiej pozwala aktorowi rozwinąć skrzydła wykorzystać swoje fizyczne i intelektualne walory.

W 2016 roku uczestniczyłem w 50 urodzinach Teatru Stu w Krakowie. Krzysztof Jasiński, twórca tej sceny, oznajmił wówczas: „Sam się powołałem na dyrektora i sam się dzisiaj z tej funkcji odwołuję”.

Myślę, że za wiele lat Andrzej Dziuk może powtórzyć to wyznanie. Tymczasem Dyrektorowi i głównemu Reżyserowi oraz Zespołowi Teatru Witkacego należy życzyć wielu lat twórczej pracy, którą doceniają nie tylko mieszkańcy Zakopanego i Podhala, ale z całej Polski.

WOJCIECH ANTONI SOBCZYŃSKI W MORLEY GALLERY Z ARTYSTĄ ROZMAWIA MELISSA BAKSH



Londyński artysta, polskiego pochodzenia Wojciech Antoni Sobczyński, tworzy rzeźby i obrazy, w specyficznym stylu, przetwarza materiały i faktury, kreując i prowokując do rozmyślań. Jego dzieła odzwierciedlają głęboki respekt wobec klasycznych założeń, jednocześnie wpisują się w rozważania współczesnej sztuki, włącznie z zagadnieniami przedmiotowymi, społecznymi i emocjonalnymi – dotyczącymi barier, które nas dzielą.

Wykształcony w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Rzeźby oraz Slade School of Art, UCL, Londyn i innych, WAS ma w dorobku ponad 80 wystaw grupowych i indywidualnych, w kraju i za granicą. Podkreślić warto 10-letnią współpracę z Julian Hartnoll Gallery. Prezentował swoje prace na arenie międzynarodowej, między innymi w Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu” w Toruniu, POSK Gallery w Londynie, NordArt w Budelsdorf, Niemcy.

Urodzony we wschodniej Europie, naznaczony wyzwaniem migracji, której przeżycia znajdują oddźwięk w bieżących pracach, wytycza swą indywidualną artystyczną drogę. Bazując na własnych przemyśleniach a także na otaczających nas międzynarodowych napięciach, przekazuje w swoich pracach mocną narrację i zaprasza widza do dialogu.

Na marginesie swojej pracy twórczej Sobczyński jest aktywnym ambasadorem sztuki i kultury. Jako krytyk publikuje w uznanych czasopiśmie, wspiera wymianę twórczej działalności, poprzez inicjatywy, takie jak „Polish Connection”.

Jego sztuka, zakorzeniona jest w rozwoju myśli twórczych drugiej połowy XX wieku aż do współczesności i skłania nas do refleksji nad wspólnymi zmaganiem ludzkości na rzecz jedności i pokoju.

W związku z indywidualną wystawą pt. „Bariery i Granice” (*Barriers and Borders*) w Morley Gallery, Melissa Baksh, historyk sztuki, niezależna pisarka, kuratorka wystaw artystycznych i pracowniczka Morley Gallery, spotkała się z artystą, aby porozmawiać o jego życiu i pracy twórczej.

Kiedy sztuka stała się prawdziwą częścią twojego życia?

Stało się to w bardzo młodym wieku. W babcinym pokoju znajdowała się duża biblioteka a w niej był spory segment z książkami zgromadzonymi przez dziadka. Dzięki temu miałem możliwość oglądania i studiowania encyklopedycznych książek z zakresu historii sztuki. Znajdowały się tam książki zarówno o sztuce klasycznej jak i prehistorycznej. Moja babcia studiowała malarstwo w Kijowskiej Akademii Sztuki. Dobrze pamiętam inspirację zaczerpniętą z archiwalnych zdjęć, na których babcia i dziadek stoją przed sztalugami i obydwójce malują. Mama także tworzyła w swoisty sposób, dbając o kolor i kształt, gdy robiła na drutach piękne swetry, rękawice, skarpety i wszystko to co było potrzebne w ciężkich czasach powojennych niedostatków.

A jakie były pierwsze spotkania z rzeźbą?

Przeglądając dziadka książki, wydawało mi się rzeczą oczywistą, że sztuka mająca trzy wymiary jest dla mnie najważniejsza. Pierwsze prace zacząłem rzeźbić dłutem z brył gipsowych, nadając im zaplanowany kształt. Odlewałem też moje projekty w ołowiu pozyskanym z butelkowych kapsli gromadzonych dla mnie przez matkę, która wtedy pracowała w jednej z krakowskich kawiarni.

Tematyka Twoich prac wiąże się też ze sprawami globalnych konfliktów i przemocy. W jaki sposób przemoc, dotyczyła Twojego życia?

Zacząło się od rodziców, którzy pobrali się w momencie wybuchu II Wojny Światowej, a dokładnie 9 miesięcy później urodził się mój brat. Cztery lata później, w ostatnim dniu okupacji urodziłem się ja. Żołnierze niemieccy ustawili działo przed rodzinnym domem i wygnali rodziców, którzy znaleźli schronienie w pobliskim lesie i tam właśnie się urodziłem. Gdy strzelanina ustała, rodzina wróciła do domu. Byli tam już Rosjanie, którzy plądrowali dom, szukając czegokolwiek wartościowego. Moment wyzwolenia zapoczątkował nowe realia i nowe formy zagrożenia ludzkiej godności.

Czy możesz coś powiedzieć na temat Twojego zainteresowania muzyką, a przede wszystkim jazzem?

Od samego początku w Krakowie muzyka jazzowa była wyrazem nonkonformistycznej postawy. Była to muzyka ludzi młodych. Rodzimy polski jazz był doskonały. Radiowe stacje nadawały nowości najlepszych zespołów, głównie muzyków z Ameryki. Jazzu słuchaliśmy wszędzie. Był to ciekawy fenomen, który nie znał granic. Muzycy ze Wschodu i Zachodu grali i improwizowali razem na koncertach festiwalowych. Jako student w Akademii, prowadziłem w piwnicach uczelni klub studencki. Tam przy muzyce na żywo lub odtwarzanej z nagrań z taśmy magnetofonowej odbywały się ciekawe muzyczne wieczory.

Jak to się stało, że przyjechałeś do Anglii?

Wystawa dyplomantów wydziału rzeźby, w której ja też brałem udział, odbywała się akurat wtedy kiedy studenci i profesorowie Courtauld Institute of Art, przyjechali do Polski na tzw. Summer School (Letnia Szkoła). W Krakowie spotkaliśmy się w pobliskiej kawiarni w Jamie Michalika i w trakcie rozmowy wspomnieliśmy im, że nieopodal mogliby zobaczyć prace dyplomantów. Zaciekawieni z ochotą przyszedł obejrzeć wystawę. W rezultacie dwa dni później, pani Barbara Robertson, fundator Summer School, zaofiarowała mi stypendium na dalsze studia w Londynie. Ten zbieg okoliczności wydawał

się być zupełnie jak sen. Niby przypadek, a jednak konsekwencje tego wydarzenia zadecydowały o dalszym przebiegu mojego życia.

W jaki sposób przyjazd do Londynu wpłynął na Twoją pracę artystyczną?

Wszystko tu było inne. Czułem się pod ostrzałem wrażeń, a jednym z nich był wszędobyłski intensywny kolor. To poczucie koloru, objawiło się także w moich pracach. Był to okres tzw. *Flower Power*, czyli młodzieńczego idealizmu hipisów, barwnych strojów i pacyfistycznych haseł, w przeciwieństwie do raczej szarej wówczas egzystencji Europy Wschodniej. Pamiętam to szczególnie ostro, nie tylko z życia ulicy, a przede wszystkim ze sztuki, którą oglądałem w galeriach i muzeach.

Jak się rozwijała Twoja praca twórcza na przestrzeni czasu?

Rzeźba zawsze znajdowała się w centrum mojej uwagi. Patrzę na rzeźbę przy każdej napotkanej okazji. Zauważam rzeźbę w galeriach, ulicach lub w prywatnej przestrzeni. Interesuje mnie zarówno ekspozycja plenerowa, jak i miejska. Ta współistniejąca i stanowiąca ozdobnik architektury jak i ta akcentująca historyczne wydarzenia. Od dawna poświęcam uwagę rumuńskiemu rzeźbiarzowi Brancusiemu, którego prace darzę szczególnym uznaniem i zawsze podziwiam prostotę jego kompozycji.

A jednak, z pewnym ładunkiem przekory odchodzę od konwencji, szukając nowych rozwiązań. Odchodząc od koncepcji trójwymiarowych, próbuję łączyć 'dwa wymiary malarzkie' z trzecim 'rzeźbiarskim'. Dlatego moje obecne prace są mieszanką malarstwa i rzeźby.

Czy możesz powiedzieć parę słów na temat Twojej wystawy w Morley Gallery zatytułowanej „Bariery i Granice”?

Na samym początku przygotowań do wystawy, nadeszła wiadomość o napadzie Rosji na Ukrainę. Doniesienia o setkach czołgów, kierujących się w stronę Kijowa były tragiczne i przygnębiające. Współczułem bardzo temu pięknemu narodowi, który od dawnych czasów, na przestrzeni wieków próbował zdobyć wolność i za każdym razem taka czy inna interwencja z zewnątrz pozbawiała Ukrainę tej szansy.

W moim przekonaniu globalizacja współczesnego świata polega na życiu w wolności bez granic przy swobodnej wymianie myśli i ideałów. Wierzyłem w to, że ludzie współczesnych społeczeństw odrzucą przemoc jako metodę rozwiązywania problemów międzyludzkich. A jednak znowu trwa wojna będąca ostateczną barierą. Jako artysta, myślę o konfliktach upamiętnionych przez innych. Pamiętam jako przestrogę dzieła Francisco Goyi z cyklu „Okropności wojny”. Pamiętam dramat utrwalony w słynnej *Guernice* Pablo Picassa. Nie zapominam też o „Medalach hańby” amerykańskiego artysty Davida Smitha. Chciałbym więc, aby moje kompozycje na temat barier i barykad, były kolejnym głosem na rzecz pokoju i humanizmu.

Czy mógłbyś opisać kilka prac z wystawy?

Na wystawie jest jedna praca okolicznościowa zatytułowana *WMMWM*. Jest ona czymś w rodzaju żonglowania dwoma literami jako jednorodnym motywem. Pierwsza odwrócona litera galerii Morley jest jednocześnie pierwszą literą mojego imienia. Złożyłem więc te dwa charakterystyczne kształty, podzieliłem obraz na dwie części, tworząc bardziej statyczny ciężar u dołu kompozycji a powyżej eksplodujący kolorem górny segment całości. Często używam tego typu kontrastujących rozwiązań w moich kompozycjach. Podział taki traktuję jako echo pejzazowej konstrukcji obrazu.

„Kamienie milczą” (*Stones are mute*), komponowana była jako obiekt ścienny. Dodane w trakcie pracy trójwymiarowe elementy wywołały metamorfozę całości w kierunku wolnostojącej kompozycji. Dominujące



Ślepe oblicze gniewu; Po dwóch stronach (poniżej)





Tryptyk z cyklu Bariery

białe bryły dodałem pod wielkim i przygnębiającym wrażeniem ciągłego konfliktu na Bliskim Wschodzie. Wszyscy widzieliśmy prasowe fotografie ludzkich siedzib przekształconych w rumowisko. Praca ta jest moim prywatnym subiektywnym świadectwem rozgrywającego się dramatu.

Na wystawie znajduje się też praca „Ślepe oblicze przemocy” (*Blind face of violence*), która powstała spontanicznie, w przeciągu pierwszych dwóch tygodni rosyjskiego ataku na Ukrainę. Chciałem w niej dać wyraz upiornego lęku i uosobienia przemocy.

Na wystawie znajduje się też duża kompozycja, zatytułowana „Kontrapunkt” (*Counterpoint*) – termin zaczerpnięty ze świata muzyki – której kształty przypominają z jednej strony klawiaturę, a równocześnie papier nutowy w rytmicznych zderzeniach pionów i poziomów.

Muzyczny wątek zawiera też seria prac pt. „18 Bagateli” . To francuski termin określający nieduży utwór muzyczny o lekkim i wdzięcznym charakterze. 18 moich wersji utrzymuje w całości powtarzający się formalny element, który ulega kolorystycznym zmianom w nieskrepowanej improwizacji.

Pokazałem również kompozycję „Po Rejwie” (*After the rave*). Obraz jest wariacją albo impresją na temat rozbawionego tłumu, kolorowo ubranych i pograżonych w zabawie młodych ludzi. Obraz pełen zagęszczonych elementów, statycznych i dynamicznych kształtów, ruchomych, kontrastujących, wibrujących i przypominających barwne wydarzenia przeżytych obserwacji.

Mieszkaś bardzo blisko Morley Gallery i jesteś wieloletnim Londyńczykiem. Co inspiruje Cię w tym mieście?

Londyn jest dla mnie ciągłym źródłem stymulującym wzrok i myśli. Idąc ulicą trzeba patrzeć i dostrzegać.



Kamienie milczą;



Z cyklu Bariery

Przykład?... Doskonała rzeźba w brzoze, szkockiego artysty włoskiego pochodzenia, Eduarda Paolozziego ustawiona na terenie dziedzińca Biblioteki Narodowej i przedstawiająca słynnego Newtona.

Mam szczęście żyć i mieszkać w centrum Londynu. Przedmieścia mają swoje uroki, ale nie mogą konkurować np. z widokiem na miasto z mostu Waterloo. Ten widok zapiera dech swoją rozległą panoramą. Z jednej strony Teatr Narodowy, z drugiej Katedra Św. Pawła. Tuż obok galerie Tate i Hayward, a na wprost Courtauld Institute, któremu zawdzięczam moją tutaj obecność. Centrum tego miasta przecina rzeka a w jej lustrze odbijają się też kulturalne przypyły i odpływy tego niepowtarzalnego miasta.

(Morley Gallery, Londyn, styczeń 2025r.)

Zdjęcia © Morley Gallery

WAS przekazał jedną ze swoich prac do Kolekcji Sztuki Morley College, będącą ogromnym i stale rosnącym zbiorem współczesnych prac i wspierającą uznany w Londynie Morley College program nauczania z zakresu sztuk wizualnych.

Powyższy wywiad ukazał się w ART UK. Tłumaczenie: Wojciech Antoni Sobczyński i Carolina Khouri

ANDRZEJ PYTLAK WIERSZE

JAKSZI

Jest taka buczyna czerwona
Kształtu płomienia zastygłego
Drzewo dziewczyna – Ona
Nie zbliżaj się do niego
Niech stoi nietknięte
Na pachnącej łące
I swą urodą olśniewa
Piękne samotne
Nie zbliżaj się do tego drzewa
Nie trzeba.

FRYDERYK CHOPIN

PRAGNIENIE

Gdybyś Ty była słońcem na niebie
Nie burzyłabyś mojego spokoju
Nie łudziłbym się
Twymi wdziękami
Lecz może tylko czasami
Spojrzałbym w niebo
I mrugnął do Ciebie
Gdybyś Ty była słońcem na niebie

Dr Andrzej Pytlak, ur. 8.II. 1931 r., filozof, artysta muzyk (pianista), autor licznych publikacji naukowych i książek z dziedziny wychowania muzycznego, estetyki i pedagogiki. Poeta, autor opowiadań i sztuk teatralnych. Członek Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków.

ADAM MIKS



SIMULACRUM ANDRZEJA PYTLAKA

Tomik „Simulacrum” Andrzeja Pytlaka prowadzi do świata reprodukcji, a nawet imitacji. Termin stworzony w Wielkiej Brytanii i używany do opisu obrazu, posągu. Są dwa sposoby przedstawienia simulacrum. Wierna i zniekształcona. Wierna to oczywiste odwzorowanie oryginału. Wersja zniekształcona może być poddana próbie widzenia na przykład przez powiększenie. Postawmy w muzeum jedną rzeźbę na podłodze, drugą na podwyższeniu. Ten zabieg ma pokazać odwiedzającym, że pomimo deformacji, rzeźba postawiona wyżej wydaje się być takich samych rozmiarów, jak ta pierwsza. Z tego co rozumiem Andrzej Pytlak właśnie tak postrzega świat. Jako deformację tego co jest.

W tomiku „Simulacrum” ta deformacja, a może jednak symulacja, odbywa się w sferze muzyki. Poeta stworzył podrozdział zatytułowany „Melorecytacje”. Pytlak przekłada na język poezji świat muzyki. Tytuły poszczególnych wierszy są zarazem tytułami utworów muzycznych, które wziął na warsztat. Są to znane, a nawet bardzo znane utwory. Króluje Chopin, ale nie brakuje Schuberta, Liszta, Dvoraka i Mozarta. Jest to poetycka interpretacja, z pewnością subiektywna i daleka od rzeczywistości zaproponowanej przez kompozytorów. Ten fakt jednak nie umniejsza wartości wierszy Pytlaka, ale pokazuje że muzyka stworzona kilkadziesiąt lat przed urodzeniem poety, może nadal inspirować.

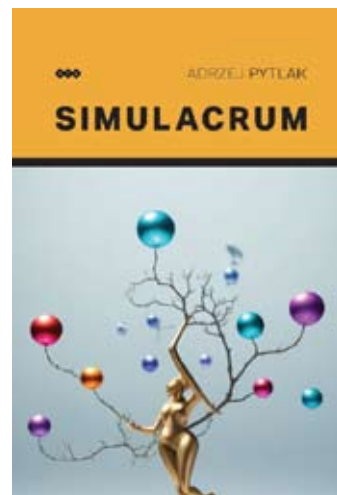
W „Simulacrum” znajdujemy również podrozdział „Wiolinowy Łańcut”. Jest to podróż sentymentalna po Zamku Lubomirskich i Potockich i jego ogrodach. Poeta to taki szeptacz rzeczywistości, który zauważa te rzeczy, których nikt inny nie dostrzega. Takich przykładów w „Wiolinowym Łańcutcie” jest tyle, ile wierszy zawiera ten cykl. I coś jeszcze. Bardzo ważną rolę w tych utworach odgrywa muzyka. Jest ona tłem do opowieści, miejscami nawet równorzędnym partnerem. Lecz nie tylko instrumenty muzyczne grają w Łańcutcie. Drzewa, całe parki są pełne instrumentarium. Nawet altana kryje elementy muzyki.

Jakby osobnym działem (a przecież wszystkie podrozdziały można potraktować jako osobne) są trzy wiersze, których podmiotem lirycznym są kobiety. Nader ciekawy jest zatytułowany „Szlagiery”. Jest to oczywista aluzja do gęźdźby,

którą tak sprawnie uprawia Andrzej Pytlak w „Simulacrum”. Wierszem tłumaczy muzykę, muzyką tłumaczy wiersz. Może dziwić szczupłość dzieła, lecz wartość merytoryczną mierzymy w innych kategoriach niż ilość. Myślę że kobiety wymienione w powyższych wierszach są ważne dla Autora. Jedną z nich jest matka. To oczywista oczywistość. Drugą – dziewczyna z różą we włosach. Dla Autora ważne jest to, że jest Polką. Polki są najładniejsze. Taki portret zbiorowy Andrzej Pytlak dał w wierszu „Warszawianki”. Wyraz warszawianki ma podwójne znaczenie, oznacza bowiem mieszkanki miasta, ale także jest popularną nazwą kwiatu. Poeta wykorzystuje ten prosty zabieg językowy, ale z ogromnym wyczuciem wartości słowa. Widać w tym wierszu szacunek i – nie bójmy się tego słowa – umiłowanie polskich kobiet.

Andrzej Pytlak posługuje się oksymoronami, przechodzi z konwencji w konwencję, prezentuje dobrze opanowany warsztat. Wszystko po to, aby zadowolić czytelnika. W wierszach Andrzeja Pytlaka można odnaleźć miłość do Ojczyzny. Tomik kończy się zawołaniem „Sursum corda”, modlitwą o Polskę. Poprzedza modlitwę kilka słów o cnotach. Siedem słów. Liczba doskonała. W muzyce i poezji. -----

Andrzej Pytlak, *Simulacrum*





WACŁAW KRUPIŃSKI

MOJE "KULTURAŁKI"

MOJE LUSTRO

I tak uzbierało się tych tekstów blisko 900 (ileś lat temu zgubiłem się w liczeniu). Aż nadszedł czas, iż zmuszony byłem uznać, że to już nie mój „Dziennik”, nie mój świat; a że byłem już stypendystą ZUS-u, mogłem – nie bez dużego żalu – pożegnać się z Czytelnikami i wyjść, „Trzeba cenę swoją znać, Kochana /Trzeba trzeźwo życie brać, Kochana /Trzeba wiedzieć, kiedy wstać /I wyjść...” – wskazywał Wojciech Młynarski. O nim też naturalnie pisałem.

Ostatni tekst napisałem trzynastozgłoskowcem, bo tak od 2013 roku kończyłem roczne zapiski. Sprawiała mi frajdę ta wierszowana forma; sam Leszek Aleksander Moczulski zachęcał mnie do takiego pisania. I jemu to ostatni tekst dedykowałem. Ukazał się 30 grudnia 2017 roku.

Lubiłem „Kulturałki”, wiedziałem, że to moje najbardziej osobiste teksty, że niektórych naprawdę nie muszę się wstydzić, a jednak, gdy żona przekonywała, by ich wybór wydać w książce, miałem opory. Rok wcześniej dzięki wydawnictwu Universitas opublikowałem swe rozmowy z wybitnymi twórcami, a do „Kulturałek” jakoś nie byłem przekonany. Nie posłuchałem żony i to był błąd! Zrozumiałem to w czasie pandemii, gdym do nich powrócił, ale wtedy okazało się, że nowy właściciel „Dziennika” jest na PiSanie Krupińskiego (co to nie krył, co myśli o partii prezesa) głuchy i zgody na druk tekstów, moich przecież, nie da. A bez zgody wydawcy (Polska Press należała już do panaobajtkowego Orlenu) książka się ukazać nie mogła. Takie prawo. *Dur(n)a lex, sed lex* – myślałem bezradny, czekając na zmianę władzy.

Zczęśliwie zmieniała się i „Kulturałki” dostały swoje książkowe życie. Oczywiście te wybrane - jedne po kosmetycznych poprawkach, inne po mocniejszym liftingu. I już nie mam wątpliwości - Jola miała rację - one na książkę zasłużyły. A na pewno zasłużyli ci, o których miałem przyjemność pisać. Dobrze pisać; teksty krytyczne, kąśliwe teraz bowiem w większości pominąłem. Z wiekiem złagodniałem... I zasłużył na ten wybór „Dziennik Polski”; te zapiski są i o nim. O tym, jak ta gazeta była dla świata kultury istotna. O, to jest temat na książkę...

Mam więc „Kulturałki” i to z rysunkami Andrzeja Mleczki! Był czas, gdy jego prace sąsiadowały na łamach z mym felietonem; teraz znów się spotkały. I mam w książce wstęp Łukasza Maciejewskiego, który, będąc jeszcze licealistą w Tarnowie, wysyłał do mnie swe pierwsze teksty. Dziś to uznany autorytet w dziedzinie filmu i teatru.

Mam zatem kolejną książkę - którą dobrze się czyta, co zasługą Universitasu, bo zadbał o czcionkę stosowną dla oczu mojego pokolenia, książkę zatrzymującą ważnych dla tego pokolenia ludzi, istotne zdarzenia, zjawiska i obyczaje. Ot, przyczynek do dziejów kultury nie tylko Krakowa. A że spotykają się „Kulturałki” z uznaniem – tym większa satysfakcja dla autora. Satysfakcja, którą dały mi cztery wieczory promocyjne, a wcześniej rekomendacje pomieszczone na okładce, autorstwa Anny Dymnej, Józefa Barana, Józefa Opalskiego i Jana Kantego Pawluśkiewicza.

Był październik 2000 roku; redakcyjny kolega Jakub Ciećkiewicz zaproponował mi cosobotnią rubrykę w „Dzienniku Polskim” – od lat zajmowałem się w nim kulturą, a od niedawna kierowałem jej, reaktywowanym po dekadach, działem. I tak zrodziły się „Kulturałki”. Ukazywały się przez ponad 17 lat.

Nazywałem te teksty felietonami, choć nierzadko były to relacje, recenzje, komentarze, omówienia, impresje z lektur, wspomnienia ludzi, zjawisk. Dominowała tematyka kulturalna, acz nieraz nosiło mnie z salonów kultury w stronę jakże niesalonowej polityki.

Niezwykle ceniłem sobie możliwość korzystania „z luksusu własnego zdania”, że przywołałam Bismarcka. Możliwość wyrażania poglądów, ujawniania gustu, przekonań. Pozwalała ta rubryka podpowiadać, co godne zobaczenia w teatrze, na estradzie, co warte przeczytania, posłuchania. Mogłem powracać do moich ulubionych artystów, do idoli mej młodości, odwoływać się do pamięci o ludziach i zdarzeniach, a także po prostu być kronikarzem życia kulturalnego, zapisywać umykający czas. Czas, przemijanie – były, co teraz widzę wyraźnie, lejtmotywem tych sobotnich zapisków. Odbijały nasze tu i teraz, były też lustrem ukazującym autora. Mój gust, poglądy, wierność wielu artystom i twórcom. Zawsze żyłem z głową zwróconą do tyłu; chętnie zatem powracałem do artystów z czasów mej młodości, coraz bardziej osnuwanych mgłą zapomnienia. pamiętanych głównie przez moje pokolenie.



Od lewej: Waław Krupiński, Łukasz Maciejewski, Tadeusz Kwinta, Kamila Klimczak, Halina Jarczyk, Marta Bizoń - Klub Pod Jaszczurami

ŁUKASZ MACIEJEWSKI

JESZCZE SIĘ SPOTKALIŚMY

Ostatni, opublikowany 30 grudnia 2017 roku, napisany trzynastozgłoskowcem felieton Waława Krupińskiego w cyklu „Kulturałki”, zamyka zdanie: „Jeszcze się spotkamy”.

Nadzieja się spełniła. Nie na łamach „Dziennika Polskiego” już (spuśćmy zasłonę miłosierdzia na te łamy), ale w książce. Spotkaliśmy się ponownie. Waław Krupiński, „Kulturałki”, Kraków i my.

Przez siedemnaście lat, na łamach „Dziennika Polskiego”, Krupiński, wieloletni szef działu kulturalnego tegoż, w blisko dziewięciuset felietonach – w tomie wybranych zostało blisko 140 spośród nich – relacjonował życie kulturalne miasta. Czytając te felietony po latach, felietony drukowane najpierw w weekendowym wydaniu „Dziennika” - „Pejzaż”, zauważamy, jakie to było ważne. Ocaliło pejzaż, część krakowskiego pejzażu.

Waław Krupiński pisze o muzyce, jest mu najbliższa, o teatrze, filmie, literaturze. Jego felietony są wypracowane, stylistycznie bezbłędne, widać, że nigdy nie były pisane na kolanie, na wczoraj, na za chwilę.

Kraków w „Kronikach Tygodniowych” Waława Krupińskiego skrzy się i intryguje, czasami śmieszy, chwilami przeraża – wszystkie te emocje towarzyszą mi zresztą po dziś dzień, kiedy coraz rzadziej i z coraz większą rezerwą uczestniczę w wydarzeniach kulturalnych inicjowanych przez lekko uspięne smogiem miasto. Krupiński nawołuje w felietonach do wybudzenia

z tego letargu, szuka sensu, jasnego przekazu, a ponieważ z przekonania jest w sztuce konserwatystą, tym może lepiej. Dostajemy obraz miasta z konsekwentnej pozycji kogoś, kto odwołuje się do ikonicznych adresów – tak dosłownych (Hefajstos, Jama Michalikowa, czy Piwnica pod Baranami, której Waław Krupiński był zresztą ciekawym monografem), ale i metaforycznych – Kraków jako właściwy adres dla kindersztuby, ironii, dowcipu przekazywanego nie wprost, ale za woalką ironii, mgiełką literackiej tajemnicy. Z tym kojarzył się przez całe dekady Kraków, z tym chyba mało komu kojarzy się dzisiaj. A Waław Krupiński pisząc o współczesności, dokumentując współczesność, tamten Kraków ocala. Przywołuje nazwiska, postaci, miejsca.

Oto subtelna Marta Stebnicka ukrywa oczy za wachlarzem; napisała o tych bibelotach cudnej urody książkę. Powraca Janina Garycka i Plac na Groblach, a w tomie wierszy i felietonów Jana Nowickiego, których adresatem był Piotr Skrzynecki, Krupiński odnajduje prawdziwą, wrażliwą twarz ironicznego na co dzień artysty. Jerzy Treła obchodzi huczne artystyczne urodziny, a kronikarz tę uroczystość zapisuje. Na cześć Treli przemawiają kolejno wspomniana Stebnicka, Halina Kwiatkowska, Edward Dobrzański. Z tego grona nie ma już nikogo...

Maja Komorowska na niedawnym spotkaniu w Małopolskim Ogrodzie Sztuki, po pokazie „Za ścianą” Zanusiego, mówiła: „Mam 85 lat. Nie żyje

większość ludzi, którzy byli dla mnie ważni, towarzyszyli mojej drodze artystycznej i życiowej. Nazywam siebie delegatką. Jestem w delegacji za tych, którzy nie mogą już przyjechać”. Czytając „Kulturałki” Wacława Krupińskiego, dzięki autorowi, byłem również w delegacji. Kraków mi wrócił. I ludzie, i krajobraz.

Tom podzielony został na trzy niezależne części: „Krakowianie”, „Cracoviana” i „Nie samym Krakowem...”. W każdej z tych części odbija się jednak Kraków jako punkt odniesienia. I Wacław Krupiński jest wobec Krakowa zarówno lojalny, jak i krytyczny. Zauważa to, co dzisiaj jest już normą: brak więzi z przeszłością, nieuszanowanie tradycji, ucieczkę od rzemiosła, na rzecz niezrozumiałego dla większości eksperymentu.

Potrafi należycie zachwycić się wybitnym dziełem, uczciwie formułuje jednak własne poglądy – pisze jasno, co w Krakowie akceptuje, co mu przeszkadza, a chociaż opisuje również sprawy natury ogólnej, przywołuje wydarzenia z przeszłości prywatnej i historycznej, „Kulturałki” to jednak przede wszystkim ludzie. O nich pisze najpiękniej.

Poczułem się w tym świecie jak u siebie. Powróciły obrazki z lat studenckich, z moich pierwszych zawodowych kroków dziennikarskich, ale i odkryć późniejszych: literackich, filmowych, muzycznych. Wacław Krupiński znał wszystkich. Wspaniale pisze o Osieckiej i Kalinie Jędrusik, o Januszu Szydłowskim i o Zbigniewie Wodeckim, o Marianie Eilem i Wojciechu Młynarskim, Irenie Kwiatkowskiej i Barbarze Krafftównie, Jeremim Przyborze i Barbarze Sass, Annie Dymnej i Ewie Demarczyk. Dziennikarstwo Wacława Krupińskiego staje się czystą liryką, czy wręcz poezją, kiedy frazy Krupińskiego zaludniają poeci, chociażby Wojciech Bellon czy Józef Baran. Urzekły mnie gawędy o Lemie (od sceptycyzmu do entuzjazmu), Dorocie Terakowskiej, Edycie Geppert, Marcie Bizon.

W „Kulturałkach”, co jakiś czas, autor żegna się z tymi, którzy odchodzą. Są to oczywiście również bardzo znane postaci, ale najciekawsze były dla mnie mikroportrety odchodzących przedwcześnie przyjaciół czy znajomych Krupińskiego, nieraz zapomnianych, choćby żony poety, Adama Ziemanina, czy polityka lewicy, Andrzeja Urbańczyka. To portrety pisane z czułością i świadomością, że trzeba ocalić, trzeba się spieszyć. Że jeżeli sam tego nie napisze, nie zrobi tego nikt inny. Udało się. Portrety zostały ocalone.

Takich sytuacji się nie zapomina. Byłem licealistą, kiedy z bijącym ze strachu sercem, dzierżąc w dłoni przepisany przez mojego tatę na maszynie wywiad z Andrzejem Sewerynem przeprowadzony parę miesięcy wcześniej na festiwalu w Gdyni, zapukałem do drzwi gabinetu redaktora Krupińskiego w „Dzienniku Polskim”.

Miałem na koncie jakieś publikacje, ale rozpoczęta wówczas, trwająca wiele lat współpraca z „Dziennikiem Polskim”, była dla mnie szczególnym wyróżnieniem. W wielkim Pałacu Prasy na rogu Wielopola i Starowiśnej, długo czułem się niepewnie. Na korytarzach same tuzy: Bruno Miecugow, Władysław Cybulski, Paweł Głowacki, Jolanta Antecka. Te nazwiska naprawdę coś znaczyły. Były autorytetami.

Dzięki Wacławowi Krupińskiemu, dzięki „Dziennikowi Polskiemu”, zobaczyłem, jak to może wyglądać, jak to działa. Mam wrażenie, że dotknąłem końcówki świetności nie tylko samego „Dziennika Polskiego” - wydania piątkowe „Dziennika...” miały wówczas nakład dwustu tysięcy egzemplarzy, ale i końcówki świetności prasy drukowanej w Polsce. Potem było niestety tylko gorzej.

Wacław był wybitnym redaktorem. Dział kultury, którym kierował, mógł być wzorem dla czołowych polskich dzienników. Komentatorzy, recenzenci, felietony, wywiady. „Kulturałki” pisane przez samego Krupińskiego stanowiły w tym zestawie wartość szczególną. Były rodzajem sumy tego, o czym pisali inni.

Paradoksalnie bardzo dobrze się stało, że tę książkę otrzymujemy dopiero dzisiaj. Czasy, krytykowane przez nas wówczas zawzięcie, z dzisiejszej perspektywy wydają się pełne, kolorowe i potrzebne. A praca dziennikarza, obserwatora i interpretatora kultury, miała sens.

Dziennikarz taki jak Wacław Krupiński dostrzegał rzeczy ulotne: koncert, recital, spektakl. Zapisywał wrażenia, oddawał temperaturę i klimat wydarzenia. W felietonistyce Wacława Krupińskiego to właśnie wydaje się najważniejsze. Zapisanie wrażenia. Zapamiętanie go – w poszukiwaniu proustowskiego czasu. Na pewno nie był stracony.



Od lewej: Rafał Jędrzejczyk, Leszek Piskorz, Anna Polony, Waclaw Krupiński, Bronisław Maj - Piwnica pod Baranami

WACŁAW KRUPIŃSKI

"KULTURAŁKI"

MÓJ JEST TEN KAWAŁEK DZIENNIKA

Tak mi się skojarzyło - 70-lecie „Dziennika” i niegdysiejszą śpiewka Mr Zooba. Skorom na tych łamach pojawił się w 1974 roku, i jako „Wak”, i już z nazwiskiem, skoro przepracowałem w nim ponad 30 lat (z 40, jakie wkrótce stukną - warunek: trzeba dożyć), to jakiś kawałek podłogi, nic to, że już nie z Pałacu Prasy, mój być musi.

70 lat „Dziennika” „Cóż to byłby za Kraków /bez Sukiennic, bez ptaków, /bez spacerów w wieczory majowe - /bez hejnału starego, /bez „Dziennika Polskiego”/ Taki Kraków nie byłby Krakowem...” - zrymował na pierwszy „Dziennikowy” jubileusz w roku 1955 Ludwik Jerzy Kern, a zaśpiewała gwiazda tamtych lat - Maria Koterbska. Był w owych czasach „DzP” fenomenem w polskiej prasie codziennej. Ilość wierszy, fraszek i innych rymowanych form na jego łamach mogła szokować. A jacy twórcy! W jakże mało poetyckich, tuż powojennych latach służył poetom dodatek „Od A do Z”, który potem przeistoczył się w „Dziennik Literacki”, aż usamodzielniał się jako „Życie Literackie”, przez parę dekad liczący się tygodnik.

Ale i później wierszy na naszych łamach nie brakowało. 10 lat temu przywołał te literackie tradycje „Dziennika” 146. Salon Poezji Anny Dymnej, podczas którego nasz nestor, red. Władysław Cybulski wspominał lata, kiedy to poezja swą urodą konkurowała z językiem produkcyjniaków. Czasy były, jakie były, zatem zdarzyło się, że Roman Bratny obraził się na redakcję, jego wiersz

bowiem, przeleżawszy się nieco, został opublikowany w momencie, gdy autor już się z nim nie identyfikował. Tak, tak, dzieje powojennej literatury można by spisać bez mała w oparciu o nasze roczniki. Nic tedy dziwnego, że kończył swą opowieść red. Cybulski apelem „Niech nam to nie będzie zapomniane”. Tak więc przypominam.

Fakt, imponujący jest zestaw nazwisk zdobiących nasze łamy: od Wisławy Szymborskiej poczynając (debiutowała w 1945 r.), po Leca, Herdegena (niewiele brakowało, a dla pisania rzuciłby szkołę teatralną), Iłkowiczównę, Ficowskiego, Kubiaka, Różewicza, Załuckiego, Zechentera, Sztudyngera, Śliwiaka, Ireduńskiego, Harasymowicza („Dziennik” przez lata to była trybuna tego piewcy Bieszczad i łemkowszczyzny), Brylla, Nowaka, Długosza, Lipską, Ziemianina... A trzeba by do tego grona i Brunona Miecugowa dopisać jako zmyślnego rymotwórcę głównie o zacięciu satyrycznym, który poza Jamą Michalika i nasze łamy zasilał nie tylko felietonami.

W kolejnych latach również o poezji nie zapominaliśmy, zwłaszcza że byli wśród nas Andrzej Warzecha, a następnie Józef Baran, posadowieni (jak niegdyś Mrozek, Bursa, Zechenter) na etatach. Józek Baran zasilał mój dział kultury, dzięki czemu mogę chlubić się, że byłem szefem wybitnego poety. Oczywiście z czasem poezja na łamy te trafiała już sporadycznie, ale jeszcze ponad dekadę temu udało mi się pomieścić kilka epitafijnych wierszy innego wielkiego twórcy - Leszka

Aleksandra Moczulskiego (debiut w „Dzienniku” - 1959).

Przywołuję dawne czasy, nic to, że w większości nie moje, bo wszak z nimi czuję ciągłość, tamte nazwiska są mi bliskie, ale też z radością myślę, że właśnie ta tradycja każe „Dziennikowi” wciąż poświęcać kulturze wiele miejsca. I znów być swoistą wyspą na mapie prasy codziennej w Polsce. „Na naszej wyspie /żyjemy wszyscy /Śliczni i czyści...” - pisał Dymny. Ciąg dalszy też przewidział...

70 lat „Dziennika”, z czego ponad trzydzieści - mojego „Dziennika”. Byłem w nim redaktorem depeszowym, kierownikiem działu krajowego, redaktorem wydania, kierowałem nieistniejącym w tym czasie działem kultury, a później już powołanym... Teraz już jako autor uprawiam mój kawałek podłogi. Aż przyjdzie mi kiedyś jakiś wyciąć sobie na pamiątkę. I może nawet (nie prędko, nie prędko, mam nadzieję) udam się z nim gdzieś Tam...

7 II 2015

RZECZ O WYJŚCIACH

Ciężko mi to wyznać, nielekkko się przyznać – i niech ten rym, zamierzony, odda choć część mego zawstyżenia. Ale cóż, są świadkowie, zatem nie mam co udawać, że było inaczej. Niech zatem czyniona publicznie konfesja choć po części mnie usprawiedliwi.

Faktycznie, zaproszenie przyjąwszy i potwierdziwszy, udałem się do Teatru Scena STU na spektakl „Romeo i Julia” wg Szekspira. Fakt; to „wg” powinno wzmoczyć mą czujność, ale z drugiej strony osoba Agaty Dudy-Gracz - scenariusz, reżyseria i scenografia - przenikliwość mą osłabiła. No i jeszcze fakt niebagatelny - gra Anna Polony. Julię gra, ale zagrała też, w pamiętnym roku 1981, Ofelię w „Hamlecie” Wajdy - i odniosła zwycięstwo. Zasiadłem zatem na widowni STU... I już po paru minutach czułem się fatalnie. A Teatr STU, choć za dyrekcji pp. Koniecznego i Jasińskiego silnie wypiękniał, to jednak nie ma ścian, które by można oglądać dłużej niż pięć minut. Pozostało wpatrywanie się widzów. Widok Marty Stebnickiej nie pozostawiał złudzeń, Jerzy Nowak, co to z żoną Marią przybył, też jakiś błąd mi się zdał, przerzuciłem zatem wzrok na lewo. Do sektora A. Wprowadzie miny dyr. Adolfa Weltschka nie widziałem, bo zatopił twarz w dłoniach, ale było pewne, że długo w tej niewygodnej pozycji nie wytrzyma. I nie myliłem się. No, ale on siedział na skraju rzędu.

Aż wreszcie, po bitej godzinie z nielichym okładem, nastąpiła przerwa. Nie umiałem się powstrzymać. Przeżywszy wstyd odbierania płaszcza z szatni w trakcie spektaklu - wyszedłem. Dopiero następnego dnia dowiedziałem się, że nie sam. Jakoś jedna czwarta sali wyszła. Za to Krzysztof Jasiński nie wyszedł. Po

spektaklu do publiczności. Widać poczuł się dotknięty tym naszym wyjściem. Cóż - za siebie przepraszam. Za innych nie będę. Nie czuję się upoważniony.

Za to szkoda, wielka szkoda, że Jasiński wyszedł ze swej roli dyrektora artystycznego STU. Toż nazbyt wiele doskonałych spektakli zrobił, by nie widzieć, że ta opowieść według słynnej tragedii Szekspira jedynie rechot młodych widzów wywoła. I wywołuje. Rechot w STU – hm...

I pozostaje jeszcze kwestia bodaj najpoważniejsza. Dlaczego nie wyszła Anna Polony? Rzecz jasna, nie tego wieczoru. Tego wieczoru, będąc Julią Ostatnią, była w sytuacji bez wyjścia. Zresztą nawet wyjście po kilku próbach, kiedy Anna Polony dostrzegła, a dostrzec musiała, co swoim nazwiskiem przyjdzie jej firmować, też nie byłoby dobrym wyjściem. Ono wręcz słabe byłoby. Wyjściem na miarę prof. Anny Polony, która parę lat temu u swej byłej studentki Agaty Dudy-Gracz zjawiskowo zagrała w poruszającym spektaklu „Kreatura”, wyjściem dla Anny Polony, wybitnej aktorki Swinarskiego, asystentki tego reżysera w „Dziadach”, Muzy z „Wyzwolenia” byłoby wytłumaczenie Agacie D.-G., by porzuciła tę żonglerkę opowieścią według Szekspira, bo tu ani Szekspira, ani opowieści, ani Romea, ani Julii, choć są trzy, ani spektaklu. Jeno humbug bezguścia, rozwrzeszczana sceniczna hucpa, która skazuje wielką aktorkę na wykonywanie osobliwych podrygów, jakiegoś tańca Św. Wita. A może Anna Polony mówiła Agacie D.-G., że z tego zamysłu, do którego nie wiedzieć po co Szekspir został wplątany - albo wiedzieć, bo wciąż jeszcze Szekspir na plakacie to lepsze nazwisko niż Agata Duda-Gracz - nic dobrego nie wyjdzie? Zresztą pal licho porażkę tego spektaklu; ani pierwszy on, ani ostatni. Tu o porażkę całego teatru idzie – krakowskiego na pewno. Teatru, który nie umie wielkiej Annie Polony zaproponować roli na jej miarę skrojoną. Zatem stając przed scenicznym być albo nie być trafiła do spektaklu, w którym, nie wierzę, by czuła się dobrze. I tak znalazła się w sytuacji nieporównanie gorszej niż moja.

Ja nie musiałem trwać do końca...

18 X 2008



"ABAKANOWICZ BEZ REGUŁ" RZEŹBY W OGRODACH KRÓLEWSKICH NA WAWELU



Magdalena Abakanowicz w swojej
pracowni (2010)

25 IV – 28 IX 2025

Magdalena Abakanowicz (20.06.1930 – 20.04.2017)

to artystka totalna, skoncentrowana na tworzeniu ponadczasowych form z pogranicza abstrakcji i figur przedstawiających. Wystawa w Ogrodach w Zamku Królewskim na Wawelu pogłębia spojrzenie na pozornie dobrze już znany dorobek artystki, przedstawiając go z nowej perspektywy. Wpisanie dzieł Magdaleny Abakanowicz i ich prezentacja w zabytkowych przestrzeniach Zamku ma wyjątkowy charakter.

Ogrody Królewskie po raz kolejny staną się przestrzenią, w której zostanie zaprezentowana rzeźba współczesna. Jest to miejsce, w którym sztuka dawna doskonale koresponduje ze sztuką artystów tworzących w XX i XXI wieku, dzięki czemu, otwierając się na nowe znaczenia – zaskakuje odbiorców i – inspiruje.

**Redaktor Naczelna:**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
e-mail: joanna.kt@poczta.fm
tel. 12 429 -70-40

**Sekretarz Redakcji:**

Barbara Korta-Wyrzycka
e-mail: barbarawyrzycka@gmail.com

**Sekretarz Redakcji:**

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
e-mail: trzebiatowska.izabela@poczta.fm

Wydawca:

Janusz Trzebiatowski
Stowarzyszenie Twórcze POLART
<http://polart-stowarzyszenie.pl/>

ISSN 1731- 9668

ISBN: 83- 8664855 -11- 6



Józef Baran



Bolesław Faron



Ignacy S. Fiut



Wacław Krupiński

Kolegium Redakcyjne

Irena Kaczmarczyk



Ferdynand Nawratil



Tadeusz Skoczek



Marek Sołtysik

Redakcja:

30-250 Kraków, ul. Gajówka 25
tel. 12 429-70-40

Korekta:

Barbara Korta-Wyrzycka

Na okładka:

Janusz Trzebiatowski, obrazy olejne

Zdjęcia:

Katarzyna Dróżdż
Bolesław Faron
Andrzej Głuc
Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
Andrzej Makuch
Konrad Pollesch
Wojciech A. Sobczyński
Kaja Solecka
Jan Zych
Andrzej Ziębliński

Druk:

Drukarnia Cyfrowa Eikon

Naukowa Rada Redakcyjna:

dr Edward Chudziński
prof. dr hab. Stefan Dousa
prof. dr hab. Bolesław Faron
prof. dr hab. Ignacy St.Fiut
prof. dr hab. Ewa Okoń-Horodyńska
prof. dr hab. Jerzy Nowakowski
prof. dr hab. Elżbieta Stefańska-Kłysz
prof. dr hab. Zdzisława Tołłoczko
prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

Numer konta:

Stowarzyszenie Twórcze POLART
30-250 Kraków, ul. Gajówka 25 A
40 1240 4533 1111 0010 3142 4771





HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART